



FRANCES HODGSON BURNETT

---

# Tajemniczy ogród

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

FRANCES HODGSON BURNETT

# Tajemniczy ogród

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY

TŁUM. JADWIGA WŁODARKIEWICZOWA

## ROZDZIAŁ I. NIKT SIĘ NIE OSTAŁ

W chwili gdy Mary Lennox została wysłana do Misselthwaite Manor dla zamieszkania tam przy wuju, twierdzono ogólnie, że było to najniesympatyczniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziano. I było to szczerą prawdą. Twarz jej była mała, chuda, postać mała i chuda, włosy miała jasne, rzadkie, skwaszony wyraz twarzy. Włosy jej były żółte, jak żółta również była twarzyczka, ponieważ Mary urodziła się w Indiach i wiecznie zapadała na zdrowiu — to na to, to na owo. Ojciec jej był na stanowisku rządowym, wiecznie zapracowany i sam chory; matka zaś, słynna piękną, dbająca jedynie o siebie, lubiąca zebrania, zabawy, otaczająca się młodym, wesołym towarzystwem. Nie pragnęła ona zupełnie dziecka; toteż gdy Mary na świat przyszła, oddała ją pod opiekę niańki Hinduśki, zwanej w narzeczu tamecznym Ayah, której dano do zrozumienia, że jeśli jej chodzi o względy pani, to powinna dziecko trzymać o ile możności jak najdalej od jej oczu. Kiedy zatem Mary była chorowitym, nieznośnym, brzydkim niemowlęciem, usuwano ją matce z drogi; a gdy stała się chorowitym, nieznośnym, zaczynającym chodzić dzieckiem, usuwano ją również sprzed matki oczu. Mary nie pamiętała, by z bliska widziała kogokolwiek innego prócz ciemnych twarzy swojej Ayah i reszty służby hinduskiej, a ponieważ jej byli posłuszni we wszystkim ze względu na to, że wrzaskami swymi mogła w razie oporu rozniewać panią, przeto Mary w szóstym roku życia była najwięcej despotycznym<sup>1</sup> i samolubnym zwierzątkiem, jakie kiedykolwiek żyło na kuli ziemskiej. Młoda nauczycielka Angielka, która ją miała nauczyć czytać i pisać, tak trudne miała zadanie, że po trzech miesiącach porzuciła miejsce<sup>2</sup>, a inne jej następczynie uciekały po krótszym jeszcze przeciągu czasu. Toteż gdyby Mary nie była przyszła<sup>3</sup> po prostu fantazja i chęć poznać książki, nie byłaby się chyba nigdy zapoznała z alfabetem.

Pewnego rozpaczliwie upalnego rana, gdy miała lat około dziewięciu, zbudziła się w bardzo złym humorze, a humor się jej jeszcze o wiele pogorszył, skoro spostrzegła, że służąca stojąca przy jej łóżku to nie jej Ayah.

— Po coś przyszła? — rzekła do obcej kobiety. — Nie pozwalam ci tutaj zostać. Przyślij mi moją Ayah.

Kobieta patrzyła na Mary wystraszonym wzrokiem i wyjąkała, że Ayah przyjąć nie może, a kiedy Mary wpadła w pasję i biła ją i szczypała, Hinduska patrzyła na nią coraz bardziej wystraszona i powtarzała, że Ayah w żaden sposób do panienki przyjąć nie może.

Owego ranka było coś tajemniczego w powietrzu. Nic nie było wykonane w zwykłym porządku, a kilku hinduskich sług brakowało, ci zaś, których Mary widziała, skradali się lub uciekali z twarzami przerażonymi. Lecz nikt jej nic nie chciał powiedzieć; a jej Ayah nie przychodziła. Mary zostawiona była sama w dalszym ciągu i wreszcie wyszła do ogrodu i zaczęła bawić się sama pod drzewami w pobliżu werandy. Udawała, że urządza klomby

<sup>1</sup>najwięcej despotycznym — dziś popr.: najbardziej despotycznym.

<sup>2</sup>miejsce — tu: miejsce pracy, posada.

<sup>3</sup>była przyszła — konstrukcja daw. czasu zaprzeczonego, tj. wyrażająca czynność wcześniejszą od tej wyrażonej zwykłym czasem przeszłym.

z kwiatów, i zatykała wielkie szkarłatne pęki kwiatów w małe kupki ziemi i przy tym złość jej rosła, i dziewczynka mruczała do siebie pod nosem wszystko, co powie niani, gdy ta powróci.

— Świnia! Świnia! Córka świni! — mówiła, bo nazwać Hindusa świnia jest najstraszniejszą obelgą.

Zgrzytała zębami ze złości i wciąż powtarzała to samo, gdy wtem usłyszała, że matka jej jest z kimś drugim na werandzie. Była tam z młodym blondynem i stali tak oboje, rozmawiając przyciszonym, dziwnym głosem. Mary знаła młodego blondyna, wyglądającego na chłopca. Słyszała, iż był to bardzo młody oficer, świeżo z Anglii przybyły. Dziecko patrzyło na niego, ale patrzyło i na matkę. Mary przyglądała się zawsze matce, ilekroć udało jej się ją widzieć, ponieważ „pani” — Mary tym mianem najczęściej nazywała matkę — była taką wysoką, wysmukłą, śliczną osobką i nosiła takie urocze suknie. Włosy jej były niby faliste przędze jedwabne, miała mały, wykwinny nosek i wielkie, śmiejące się oczy. Wszystkie jej suknie były cienkie i powłóczyste, a Mary mówiła, że „pełno na nich było koronek”. Lecz dzisiaj wydawało się, że więcej na niej koronek niż zazwyczaj, lecz oczy jej nie śmiały się wcale. Były szeroko otwarte i błagalnie wzniesione ku twarzy młodego oficera.

Mary usłyszała jej słowa:

— Czyż tak bardzo źle? tak bardzo?

— Strasznie — odrzekł młody człowiek drżącym głosem. — Strasznie, pani. Powinna pani była wyjechać w góry przed dwoma tygodniami.

Wtedy pani Lennox ręce załamała.

— Och! wiem, że powinna była wyjechać — szlochała. — Wszak zostałam jedynie dla tego pikniku niemądrego. Jakże byłam szalona!

W tej chwili doszedł ich uszu taki lament rozpaczliwy z baraków dla służby, że pani Lennox gorączkowo chwyciła za ramię młodego oficera. Mary zaś drząc poczęła na całym ciele. Lament i jęki stawały się coraz głośniejsze.

— Co to? co to? — szeptała przerażona pani Lennox.

— Ktoś znów zmarł — odpowiedział młodzieńczy oficer. — Nie mówiłaś, pani, że zaraza wybuchnęła między służbą pani.

— Nic o tym nie wiedziałam! — zawołała. — Chodź pan ze mną, chodź! — i odwróciwszy się, wbiegła do wnętrza domu.

Nastąpiły potem rzeczy okropne i tajemniczość poranka tego wytłumaczona została małej Mary. Oto cholera<sup>4</sup> wybuchnęła w najgroźniejszej swej formie i ludzie padali jak muchy. Jej Ayę zabrano w nocy chorą, a lament ów w zabudowaniach służby powstał był właśnie wskutek jej śmierci. Do dnia następnego zmarło jeszcze troje służby, reszta w trwodze i popłochu uciekła. Paniczny strach opakował wszystkich, a ludzie marli jeden po drugim.

W zamęcie i przerażeniu następnego dnia, zapomniana przez wszystkich, Mary ukryła się w dziecinny pokój. Nikt o niej nie pomyślał, nikt jej nie pragnął, a tymczasem wydarzyły się dziwne a straszne rzeczy, o których nie wiedziała nic zgoła. Mary na przemian płakała lub spała. Wiedziała tylko, że ludzie chorowali i że słychać było tajemnicze, przerażające jakieś głosy. W pewnej chwili wśliznęła się do jadalni, którą znalazła pustą, jakkolwiek częściowo dopiero opróżnione półmiski stały na stole, a talerze i krzesła wyglądały tak, jak gdyby je poodsuwano w pośpiechu. Dziewczynka zjadła owoców i biszkoptów, a dla ugaszenia pragnienia wypiła szklankę całą stojącego opodal wina. Wino było słodkie, lecz Mary nie знаła jego mocy. Po małej chwili uczuła odurzenie, wróciła do swej nursery<sup>5</sup> i znów się zamknęła, przestraszona krzykami i odgłosami uciekających kroków. Uczuła ogarniającą ją, nieprzewyciężoną sennosć, położyła się na łóżeczku i na bardzo długo straciła świadomość tego, co się wkoło niej dzieje.

Tymczasem zaszło bardzo wiele, gdy Mary spała snem tak twardym, lecz jej już nie budziły ani jęki, ani odgłosy wnoszonych i wynoszonych przedmiotów.

<sup>4</sup>cholera — choroba zakaźna spowodowana zakażeniem bakterią przecinkowca cholery (*Vibrio cholerae*) przez spożycie skażonej wody lub jedzenia; początkowe objawy obejmują biegunkę, wymioty, niekiedy bóle brzucha, a następnie charakterystyczne pomarszczenie skóry, zmianę głosu, zapadnięcie oczu i wyostrenie rysów twarzy; nieleczona cholera powoduje zgon.

<sup>5</sup>nursery (z ang.) — pokój dziecinny.

Po przebudzeniu Mary leżała jeszcze, patrząc w sufit. W domu była cisza zupełna. Nie знаła ona ciszy takiej nigdy przedtem. Nie słyszała ani głosów, ani kroków niczyich i ciekawa była, czy już wszyscy wyzdrowieli i czy trwoga minęła. Ciekawa też była, kto będzie się nią opiekował po śmierci jej Ayah. Będzie zapewne nowa Ayah i może nawet umieć będzie nowe bajeczki. Mary była już, co prawda, znudzona dawnymi. Nie płakała ona zupełnie z powodu śmierci swej niani. Nie było to dziecko tkliwe i nie dbało nigdy o nikogo. Hałasy, bieganina, jęki i lament z powodu cholery straszły ją jedynie, a teraz była zła, bo nikt zdawał się nie pamiętać o jej istnieniu. Znadto wszyscy byli przerażeni, by myśleć o dziecku, którego nikt nie lubił. Kiedy cholera wybuchła, każdy zdawał się myśleć tylko o sobie. Ale teraz, gdy już wszystko minęło, przyjdzie ktoś zapewne, by zobaczyć, co się dzieje z Mary.

Lecz nikt się nie zjawiał, a podczas gdy dziewczynka leżała wyczekując, dom cały zdawał się zapadać w coraz to głębszą ciszę. Usłyszała, że coś się czołga po matach na podłodze i, spojrzawszy w dół, ujrzała małego żółwia, czołgającego się wzdłuż muru i patrzącego na nią oczkami jak brylanty. Nie zlekka się wcale, gdyż wiedziała, że to stworzonko niewinne, które jej krzywdy nie robi, a tymczasem żółwik zdawał się śpieszyć, by się jak najprędzej z pokoju wydostać. Wyśliznął się wreszcie przez szparę pod drzwiami.

— Jakże jest cicho i spokojnie! — rzekła do siebie. — Zdawać by się mogło, że prócz mnie i żółwia nikogo w domu całym nie ma.

W tymże samym momencie usłyszała kroki w ogrodzie, następnie na werandzie. Były to kroki męskie i kilku mężczyzn weszło do domu, rozmawiając przyciszonym głosem. Nikt nie wyszedł na powitanie, nikt do nich nie przemówił, a oni zdawali się otwierać jedne drzwi po drugich i zaglądać do pokoi.

„Cóż za spustoszenie! — usłyszała Mary. — Ta śliczna, urocza kobieta! Sądzę, że i dziecko; bo słyszałem, że miała córeczkę, choć jej nigdy nikt nie widział”.

Mary stała pośrodku swego pokoju, gdy w kilka minut później drzwi do niej się otwarły. Wyglądała na brzydką, niesforną dziewczynkę, a drżała przy tym z głodu i oburzenia, że o niej tak niegodziwie zapomniano. Pierwszy, który wszedł, był to starszy oficer, którego Mary widziała niegdyś rozmawiającego z ojcem. Wyglądał na zmęczonego i wzruszonego, ale gdy spostrzegł Mary, tak się przeraził, że literalnie<sup>6</sup> skoczył wstecz.

— Barney'u! — wykrzyknął. — Tutaj jest dziecko! Dziecko zupełnie same! W takim miejscu! Na miłość boską, kto ona?

— Jestem Mary Lennox — rzekła dziewczynka, prostując się sztywno. Pomyślała sobie, że ten pan jest bardzo niegrzeczny, że dom jej ojca nazywa „takim miejscem!”. — Zasnęłam, gdy wszyscy chorowali na cholere, i właśnie teraz się obudziłam. Czemu nikt do mnie nie przychodzi?

— To jest to dziecko, którego nikt nigdy nie widział! — zawołał oficer, zwracając się do swych towarzyszy. — Zapomnieli o niej wszyscy!

— Dlaczego o mnie zapomnieli? — zapytała Mary, tupiąc nogami. — Czemuż nikt nie przychodzi?

Młody człowiek, którego nazwano Barney, spojrział na nią z ogromnym smutkiem. Mary zdawało się nawet, że mu powieki zadrgały, jakby od łez.

— Biedne maleństwo! — rzekł. — Nie ostał się nikt. Nikt przyjść nie może.

I w ten oto dziwny i nieoczekiwany sposób Mary dowiedziała się, że nie ma już ni ojca, ni matki; że umarli oboje i że ich w nocy pochowano, a nieliczni słudzy, którzy uniknęli śmierci, opuszczali dom jak mogli najspieszej, zapominając o istnieniu „panienki”. Oto przyczyna tej głuchej ciszy otaczającej Mary. W całym domu została przy życiu istotnie tylko ona i mały żółw.

## ROZDZIAŁ II. PANNA MARY KAPRYŚNICA

Mary lubiła z daleka patrzeć na swą matkę i znajdowała ją uroczą, ale nie znała jej prawie wcale, nic też dziwnego, że nie mogła jej kochać, ani tęsknić po niej, gdy ją straciła. I nie tęskniła zupełnie, a ponieważ była zawsze dzieckiem nader egoistycznym, przeto wszystkie swe myśli skierowała ku sobie, jak zresztą zawsze zwykła była czynić. Gdyby była starsza,

<sup>6</sup>literalnie — dosłownie.

może by przeraziła ją myśl, że została całkiem sama na świecie, ale przecież była jeszcze mała i inni o niej myśleli, sądziła zatem, że tak zawsze być musi. Chciała tylko wiedzieć, czy znajdzie się teraz między ludźmi miłymi, którzy będą dla niej grzeczni i pozwolą jej na wszystkie wybryki, jak to czyniła jej Ayah i reszta służby.

Wiedziała o tym, że nie pozostanie w domu pastora, gdzie ją na razie umieszczono. Nie życzyła sobie tam pozostać. Pastor był biedny, miał pięcioro dzieci, wszystkie prawie w równym wieku; sukienki ich były brudne, a dzieciaki klóciły się ciągle i wydzierały sobie zabawki. Mary nienawidziła brudnego domu pastora i taka nieznośna była dla wszystkich, że po dwóch dniach żadne z dzieci nie chciało się z nią bawić. Drugiego zaraz dnia dali jej przezwisko, które ją wprawiało w furję.

Pierwszy pomyślał o tym Bazyli. Był to mały chłopczyk o blado niebieskich oczach i zadartym nosie i Mary cierpieć go nie mogła. Bawiła się sama pod drzewami, tak samo zupełnie, jak owego dnia fatalnego. Robiła klombiki z ziemi, ścieżki — a Bazyli stał w pobliżu i przyglądał się. Naraz zajęła go zabawa i podał projekt.

— Czemu nie ustawisz kupki kamieni, niby, że to są skały? — rzekł do niej. — O! tutaj, w środku — i pochylił się, by wskazać miejsce.

— Idź precz! Nie cierpię chłopców, idź precz! — wołała Mary.

Przez chwilę Bazyli był zły, potem zaczął się droczyć. Droczył się zawsze z siostrami. Zaczął około niej tańczyć i podskakiwać, śmiał się i śpiewał:

„Panno Mary, kapryśnico.  
Odwróć zagniewane lico!  
Czy w ogródku rosną kwiatki,  
Maki, fiołki i bławatki?”

Śpiewał dopóty, dopóki reszta dzieci nie posłyszała i nie zaczęła śmiać się z nim razem. A im gorzej Mary się złościła, tym więcej śpiewali: „Panno Mary, kapryśnico”, nazywając ją tak później między sobą, a nawet wtedy, gdy do niej się zwracali.

— W końcu tego tygodnia pojedziesz do domu — rzekł do niej Bazyli. — A my się strasznie z tego cieszymy.

— Ja też cieszę się strasznie — odparła Mary. — Ale gdzie jest „dom”?

— Ona nie wie, co znaczy „dom”! — rzekł Bazyli z oburzeniem. — To znaczy oczywiście Anglia. Nasza babunia tam mieszka, a siostra nasza, Mosel, pojechała do niej w zeszłym roku. Ale ty nie masz babuni, ty pojedziesz do wuja, który się nazywa pan Archibald Craven.

— Nie wiem nic o nim — sapała Mary.

— Wiem, że nic nie wiesz — odparł Bazyli. — Dziewczęta w ogóle nic nie wiedzą. Słyszałem, jak rodzice o nim mówili. Otóż wuj twój mieszka w ogromnym, rozległym, opuszczonym domu na wsi i nikt u niego nie bywa. Taki jest niemiły, że nikogo by nie przyjął, a gdyby chciał przyjąć, to by znów nikt do niego nie pojechał. Jest w dodatku garbaty i okropny.

— Nic ci nie wierzę — rzekła Mary; odwróciła się tyłem i zatkała uszy palcami, bo nie chciała już nic słyszeć.

Długo jednakże myślała później o wszystkim, co słyszała; a gdy pani Crawford powiedziała jej tegoż wieczora, że za dni kilka pojedzie do Anglii, do wuja, pana Archibalda Craven, mieszkającego w Misselthwaite Manor, Mary wydawała się tak kamiennie i uparcie obojętną, że nie wiedziano, co o niej myśleć. Starano się traktować ją serdecznie, lecz ona odwracała twarz, ilekroć pani Crawford usiłowała ją pocałować, i sztywna stała jak kij, gdy pan Crawford poklepał ją po ramieniu.

— Dziwne jakieś dziecko — rzekła później pani Crawford z politowaniem. — Matka jej była taką uroczą istotą i takie miała miłe obejście, a Mary to najniesympatyczniejsze dziecko, jakie w życiu widziałam. Dzieci nazywają ją „Panną Mary kapryśnicą”, a choć to niepoczciwie z ich strony, wcale im się nie dziwię.

— Być może, że gdyby jej matka była częściej zaglądała do dzieciennego pokoju, to i Mary byłaby nabrała miłego obejścia. Smutne to wspominać obecnie, gdy to uroczyste stworzenie nie żyje, że większość otaczającego ją towarzystwa nie wiedziała nawet, że ma dziecko.

— Sądzę, że nawet nie spojrziała na córkę — z westchnieniem odparła pani Crawford. — Wszak gdy jej Ayah umarła, to nikt zgoła nie pomyślał o tym biedactwie. Pomyśl tylko, że wszystko się rozbiegło, zostawiając to maleństwo samiuteńkie w całym tym opustoszo-  
nym domu. Kapitan Mac Grew mi mówił, że po prostu osłupiał, gdy, otworzywszy drzwi, znalazł ją samą na środku pokoju.

Długą podróż do Anglii Mary odbyła pod opieką żony pewnego oficera, która dzieci swoje odwoziła do szkół. Była ona bardzo zajęta własnymi dziećmi, toteż bardzo była rada, gdy w Londynie mogła Mary oddać jejmości, którą Archibald Craven przysłał po siostrzenicę. Jejmość ta była jego gospodynią w Misselthwaite Manor i nazywała się pani Medlock. Była to kobieta tęga, o bardzo czerwonych policzkach i ostrych, czarnych oczach. Miała na sobie jaskrawą, czerwoną suknię, mantylę<sup>7</sup> czarną, jedwabną, z dżetową frędzlą i czarny kapelusz z czerwonymi welwetowymi kwiatami, które przy każdym poruszeniu głową chwiały się i trzęsły na wszystkie strony. Mary nie poczuła sympatii do niej, ale ponieważ nigdy do nikogo sympatii nie czuła, przeto nie było w tym nic dziwnego; przy tym widoczne było aż nadto, że pani Medlock nie troszczyła się o nią zbyt.

— Słyszeliśmy, że matka jej była piękna. Nie dała urody córce w spuściznie, prawda, proszę pani?

— Może wyładnieje, gdy będzie starsza — odparła dobrotliwie żona oficera. — Gdyby nie była taka niegrzeczna i miała miłszy wyraz, to rysy jej są raczej ładne. Dzieci się tak zmieniają!

— No, będzie się musiała bardzo zmienić — odparła pani Medlock. — A nie można powiedzieć, by w Misselthwaite były dobre lub jakiegokolwiek wpływy na dzieci!

Sądziły obie, że Mary nie słucha, gdyż dziewczynka stała trochę z dala, przy oknie hotelu, w którym stanęły. Przyglądała się ruchowi ulicznemu, lecz słyszała każde słowo i strasznie ciekawa była, jaki jest wuj i dom, w którym mieszkał. Co to znaczy „garbaty”? Nie wiedziała nigdy garbatego. Może w Indiach nie ma garbatych?

Odkąd Mary żyła między obcymi ludźmi i nie miała przy sobie swej niani, poczęła czuć się samą i myśleć o dziwnych rzeczach, całkiem nowych dla niej. Poczęła się teraz dziwić, dlaczego ona nigdy nie była czyjaś, nawet wtedy, gdy ojciec i matka jej żyli. Inne dzieci byli zawsze swego tatusia i swej mamusi, a ona nigdy niczyją nie była córeczką. Miała służbę i jedzenie, i sukienki. Ale nikt na nią nie zwracał uwagi. Nic wiedziała również o tym, że było to wszystko dla tej przyczyny, że ona sama była bardzo niemilym dzieckiem; a Mary nie wiedziała, że była niemila. Wręcz myślała o drugich, że są nieprzyjemni, lecz nie myślała tego nigdy o sobie.

Pani Medlock wydawała jej się najbardziej nieprzyjemna ze wszystkich ludzi — raziła ją swoimi czerwonymi policzkami i ordynarnym, pretensjonalnym kapeluszem. Gdy dnia następnego wyjeżdżały w dalszą drogę do Yorkshire, Mary przez stację szła do pociągu z odwróconą głową i jak najdalej od pani Medlock, bo nie chciała, żeby myślano, że należą do siebie. Była zła na samą myśl, że mogliby ją wziąć za córeczkę pani Medlock.

Ale pani Medlock nie przejmowała się ani samą Mary, ani tym, co Mary sobie myślała. Była to kobieta, która „nie zwracała sobie głowy wybrykami młodych”. W każdym razie, gdyby ją zapytano, tak byłąby odpowiedziała. Nie chciała ona pojechać do Londynu nawet wtedy, gdy siostra jej, Maria, córkę wydawała za męża, lecz pani Medlock miała wygodne, dobrze płatne miejsce ochmistrzyni w Misselthwaite Manor, a zatrzymać je mogła nadal pod tym jedynie warunkiem, że wykona natychmiast rozkaz pana Archibalda Craven. Nie byłąby nawet śmiała zakwestionować<sup>8</sup> cośkolwiek.

— Kapitan Lennox i żona jego zmarli na cholera — rzekł pan Craven, jak zwykle krótko i zimno. — Kapitan Lennox był bratem mojej żony, jestem więc opiekunem jego córki. Dziecko przywiezione będzie tutaj. Pojedzie pani do Londynu i przywiezie je do mnie.

<sup>7</sup>mantyla — szal, często ozdobny, noszony daw. przez kobiety na ramionach, a niekiedy również okrywający głowę.

<sup>8</sup>zakwestionować — podać w wątpliwość słuszność czegoś.

Pani Medlock spakowała manatki<sup>9</sup> i puściła się w podróż.

Mary wtuliła się w kąt wagonu z miną kwaśną i złą. Nie miała co czytać, nie miała na co patrzeć, złożyła swoje cienkie, w czarne rękawiczki obciągnięte rączki na kolanach i siedziała cicho. Czarna jej sukienka podnosiła i uwydatniała żółtość jej cery, a jej sztywne, jasne włosy wymykały się kosmykami spod krepowego<sup>10</sup> kapelusza.

„W życiu swoim nie widziałam takiego niemilego, zepsutego dziecka jak ta!” — myślała pani Medlock. Nie widziała ona nigdy, żeby dziecko mogło tak długo siedzieć na jednym miejscu w zupełnej bezczynności; toteż znużyło ją przyglądanie się dziewczynie i poczęła mówić ostrym, twardym głosem:

— Opowiem ci cośkolwiek o miejscu, do którego jedziesz — rzekła. — Czy wiesz cośkolwiek o swoim wuju?

— Nie — odparła Mary.

— Nie słyszałaś nigdy, by rodzice o nim mówili?

— Nie — odrzekła Mary i zadrżała. Zadrżała, przypomniawszy sobie, że ojciec i matka nigdy o niczym z nią nie mówili. Nigdy nie opowiadali jej o niczym.

— Hm! — mruzczała pani Medlock, patrząc na jej zamkniętą w sobie, złą twarzyczkę. Zamilkła na czas jakiś, po czym znów mówić zaczęła:

— Sądzę, że jednak trzeba cię przygotować. Jedziesz do miejsca bardzo dziwnego.

Mary nic na to nie rzekła, a pani Medlock, rozczarowana jej obojętnością, dopiero po chwili zaczerpnęła powietrza i ciągnęła dalej:

— W każdym razie jest to ogromny dom, lecz ponury, a pan Craven dumny jest z niego na swój sposób i to jest dziwne. Dom ten ma już sześćset lat i stoi na końcu rozległego wrzosowiska; ma on blisko sto pokoi, chociaż większość z nich jest zamknięta na klucz. I od lat całych są tam obrazy i stare, piękne meble, i różne rzeczy; wokół jest park ogromny, ogrody i drzewa ze starymi, do ziemi dostającymi gałęzmi. — Odpoczęła, zaczerpnęła oddechu — i to już wszystko — zakończyła nagle.

Mary mimo woli poczęła się przysłuchiwać. Wszystko, co słyszała, było tak odmienne od tego, co było w Indiach, a każda nowość miała dla niej urok. Lecz nie chciała dać po sobie poznać, że ją cokolwiek zajmuje. Był to jeden z jej nieprzyjemnych, nieszczęsnych narowów<sup>11</sup>. Siedziała zatem cicho.

— No i cóż? — rzekła pani Medlock. — Co panienka o tym myśli?

— Nic — odparła. — Nie znam się na takich domach.

Odpowiedź ta wywołała krótki, urwany śmiech pani Medlock.

— Ech! panienka jest zupełnie jak stara baba — powiedziała. — Czy to wszystko panienkę nic nie obchodzi?

— Wszystko jedno, czy mnie obchodzi czy nie — odparła Mary.

— Co do tego, to ma panienka rację — powiedziała znów pani Medlock. — Dlaczego panienkę zatrzymują w Misselthwaite Manor, to nie mam pojęcia. A może to najłatwiejszy sposób opiekuństwa<sup>12</sup>. Że on się nie będzie o panienkę troszczył, to więcej niż pewna. On się nigdy o nikogo nie troszczy.

Zatrzymała się, jak gdyby sobie coś w porę przypomniała.

— On ma krzywe plecy — rzekła — dlatego jest taki zły. Jako młody człowiek był zgryźliwy i mimo swej fortuny nic dobrego nie zaznał, dopóki się nie ożenił.

Mary zwróciła oczy na mówiącą mimo usiłowań udawania obojętnej. Nie myślała nigdy o tym, że garbus mógł się ożenić i była nieco zdziwiona. Spostrzegła to pani Medlock, a jako niewiasta bardzo gadatliwa ciągnęła dalej, z większym zapałem. Był to jedyny sposób skrócenia nudnej podróży.

— Ona, było to słodkie, śliczne stworzenie, a on byłby dla niej na kraniec świata poszedł po źdźbło trawy, gdyby tego zapragnęła. Nikt nie przypuszczał, że go zaślubi, a jednak zaślubiła. Ludzie mówili, że to zrobiła dla pieniędzy, ale to nieprawda. Nieprawda! — dodała z przeświadczeniem. — Gdy umarła...

Mary mimo woli poruszyła się.

<sup>9</sup>manatki (pot.) — rzeczy osobiste zabierane w podróż; bagaż podręczny.

<sup>10</sup>krepowy — wykonany z czarnego materiału, z jakiego robiono stroje żałobne.

<sup>11</sup>narów — zły nawyk, przywara.

<sup>12</sup>opiekuństwo — dziś: opieka.

— Ach! Więc umarła! — wykrzyknęła, niewiele myśląc. Przypomniała sobie była bajkę francuską, którą niegdyś czytała *Riquet à la Houpe*. Bajka mówiła o biednym garbusku i cudnej księżniczce, i naraz zrobiło jej się żal pana Archibalda Cravena.

— Tak, umarła — powiedziała pani Medlock — i odtąd zdziwaczał jeszcze więcej. Nie dba już o nikogo. Ludzi widzieć wcale nie chce. Po największej części wyjeżdża, a gdy jest w Misselthwaite Manor, to zamyka się w skrzydle zachodnim domu i tylko Pitchera dopuszcza do siebie. Pitcher to już stary dziad, ale opiekował się nim niegdyś, gdy był dzieckiem jeszcze, i zna dobrze jego usposobienie.

Było to wszystko dziwne jak w bajce i Mary wcale wesoło nie usposobiło. Dom o stu pokojach, wszystkich prawie zamkniętych i zaryglowanych — dom na krańcu wrzosowiska, wszystko to było dziwnie niewesołe. I ten człowiek, garbaty, który się także zamykał na dziesięć spustów! Mary patrzyła oknem z zaciśniętymi wargami i zdało jej się całkiem naturalne, że w tej chwili zaczął deszcz sieć ukośnymi strugami i bić o szyby wagonu. Gdyby żyła ta śliczna kobieta, byłaby rozweselała swoje otoczenie, tak jak jej mamusia, szczebiotem, ruchliwością, chodzeniem z jednej zabawy na drugą w cudnej, ozdobionej koronkami sukni. Ale i ta już nie żyła.

— Niech się panienka nie spodziewa ujrzeć pana. Daję głowę, że go panienka nie zobaczy — rzekła pani Medlock. — I nie trzeba się spodziewać, że tam ktokolwiek będzie z panią rozmawiał. Trzeba będzie samej się bawić i myśleć o sobie. Powiedzą panience, do których pokoi wolno jej wchodzić, a od których należy trzymać się z daleka. Ogrodów tam pod dostatkiem. Ale nie trzeba kręcić się po domu i nosa wszędzie wtykać. Pan Craven nie życzy sobie tego.

— Wcale nie pragnę wtykać wszędzie nosa — odparła nasza mała Mary; i jak nagle zrobiło jej się żal pana Archibalda, tak teraz nagle przestała go żałować, a myślała natomiast, że był taki niedobry, że zasłużył na to wszystko, co go spotkało.

I zwróciła twarzyczkę ku oknu, patrząc na strugi ściekającego po szybach deszczu, który padał nieprzerwanie, jakby nigdy ustać nie miał. Patrzyła tak długo i uparcie, dopóki wszystko nie zaczęło jej przed oczyma szarzeć, szarzeć, aż wreszcie znużona zasnęła.

### ROZDZIAŁ III. PRZEZ WRZOSOWISKO

Mary długo tak spała. Po przebudzeniu się jej pani Medlock kupiła na jednej ze stacji koszyk ze śniadaniem, w którym były kurczęta i wołowina na zimno, chleb z masłem i gorąca herbata. Deszcz padał zawzięciej niż przedtem, a na stacjach wszyscy poubierani byli w płaszcze gumowe, lśniące i ociekające od deszczu. Konduktor zapalił lampy w wagonie, a pani Medlock rozkoszowała się swoją herbatą, kurczętami i wołowiną. Zjadła dużo, po czym sama zasnęła, a Mary siedziała, przyglądając się jej i jej kapeluszowi, który się smętnie zsunął na prawe ucho, aż wreszcie i ona zasnęła powtórnie, wtulona w kąt wagonu i ukołysana jednostajnym biciem deszczu o szyby. Było już zupełnie ciemno, gdy się zbudziła. Pociąg zatrzymał się na stacji, a pani Medlock zaczęła nią trząść.

— No, ale też panienka spała! — wykrzyknęła. — Wszakże czas już otworzyć oczy! Jesteśmy już w Thwaite, a jeszcze długa jazda przed nami.

Mary wstała i usiłowała otworzyć oczy, podczas gdy pani Medlock zbierała pakunki. Dziewczynce na myśl nie przyszło pomóc jej w tej czynności, gdyż w Indiach tubylcza służba zawsze wszystko za nią robiła i zdawało jej się zupełnie naturalne, żeby ją obsługiowano.

Była to mała jakaś stacyjka i nikt inny nie wysiadł tu prócz nich. Naczelnik stacji zaczął rozmawiać z panią Medlock w szorstki, ale poczyty sposób, wymawiając wyrazy dziwnie rozwlekłe, tak jak, Mary to później spostrzegła, mówią w Yorkshire.

— Co to, już pani z powrotem? I przywiozła pani tę małą?

— Ehe, to ona — odparła pani Medlock, mówiąc też w narzeczu jorkshirskim i wskazując ruchem głowy Mary. — Jakże się ma żona?

— Nieźle, dziękuję. Powóz czeka tam po drugiej stronie.

Powóz stał istotnie przed zajazdem stacji. Mary spostrzegła, że powóz jest wykwinny i że wykwinny służący pomógł jej wsiąść do niego. Długi jego płaszcz gumowy i pokrycie głowy lśniły i ociekały od deszczu, jak wszystko bez wyjątku, nie wyłączając grubego naczelnika.



Gdy służący drzwiczki zatrzasnął i usiadł obok stangreta na koźle, dziewczynka usadowiła się w wygodnym, miękkim kąciku, lecz senność ją całkiem odeszła. Siedziała, wyglądając oknem i pragnąc zobaczyć cośkolwiek na tej drodze, wiodącej do owego dziwnego domu, o którym mówiła pani Medlock. Nie było to dziecko lekkie i nie można powiedzieć, by była wystraszona, lecz czuła, że jednak Bóg wie, co się może zdarzyć w domu, w którym jest sto zamkniętych pokoi, w domu stojącym na krańcu wrzosowiska.

— Co to jest wrzosowisko? — spytała nagle panią Medlock.

— Patrz wciąż oknem, a za jakie dziesięć minut sama zobaczysz — odparła kobieta. — Musimy pięć mil jechać wrzosowiskiem, zanim dojedziemy do domu. Wiele panienka nie zobaczy, bo noc ciemna, ale cośkolwiek dostrzec można.

Mary nie zadawała już więcej pytań, lecz czekała w swym kąciku, wpatrzona uparcie w okno. Latarnie rzuciły naprzód smugi światła i Mary dostrzegła zarysy przedmiotów mijanych. Po opuszczeniu stacji przejeżdżali przez małą wioskę, dostrzegła białe domki i światła w domu ludowym. Później minęli kościół, probostwo i domek z rodzajem okna wystawowego z zabawkami, słodyczami i rozmaitymi przedmiotami na sprzedaż. Później wyjechali na trakt i Mary dostrzegła żywopłoty i drzewa. Potem długo nie było nic godnego uwagi; w każdym razie Mary wydawało się to długo.

W końcu konie zwolniły biegu, jak gdyby wjeżdżały na wzgórek, i zdawało się, że już nie ma ni żywopłotów, ni drzew. W istocie Mary nie mogła nic dostrzec prócz nieprzeniknionej ciemności po obu stronach. Pochyliła się naprzód i przytuliła twarz do szyby, kiedy naraz powóz podskoczył.

— No, teraz to już na pewno jesteśmy na wrzosowisku — powiedziała pani Medlock.

Latarnie rzuciły trochę światła na nierówną, złą drogę, która była jakby poprzecinana krzakami i czymś nisko rosnącym dokoła, czymś, co się kończyło gdzieś na krańcu horyzontu. Powstał wiatr, który wydawał dziwne, dzikie, szumiące odgłosy.

— Czy to... czy to morze czy nie? — spytała Mary swą towarzyszkę.

— Nie, to nie morze — odparła pani Medlock — ale też nie pola, ani góry, tylko mile całe, mile i mile dokoła dzikiego pastwiska, gdzie nic nie rośnie prócz wrzosów i gdzie nic nie żyje prócz dzikich koników zwanych *ponney* i owiec.

— A jednak czuję, żeby to mogło być morze, gdyby była woda — powiedziała Mary. — Takie to odgłosy wydaje, zupełnie jak morze.

— To wiatr, który jęczy w zaroślach. Dla mnie to dosyć dzikie i samotne miejsce, choć mnóstwo ludzi je lubi, zwłaszcza gdy wrzosy kwitną.

Jechały tak coraz dalej w ciemności, a choć deszcz ustał, ruszył się silny wiatr, który świszczął i niemiłe wydawał dźwięki. Droga prowadziła w górę, to znów na dół, a kilka razy powóz przejeżdżał mostki, pod którymi z łoskotem szumiały spienione wody strumyków. Mary miała uczucie, że jazda ta nigdy się nie skończy i że wielka zimna wydma to ciemny ocean, a ona przezeń jedzie wąskim pasem łądu.

„Nie lubię tej wydmy” — powiedziała sobie w duchu i cienkie wargi silniej zacisnęła.

Konie pięły się w górę drogi, gdy Mary pierwsza dostrzegła światełko. Pani Medlock spostrzegła je równocześnie i odetchnęła z uczuciem wielkiej ulgi.

— Kontenta<sup>13</sup> jestem z tego światełka — zawołała — to światło w domku portiera. No, za chwilę napijemy się gorącej herbaty.

Było to „za chwilę”, jak rzekła, dość niezwykle, bo powóz po przejechaniu bramy parku musiał przebyć dwie mile angielskie alei, a drzewa, które niemal zupełnie stykały się czubami, tworzyły nad nimi jakby długie, ciemne sklepienie.

Wyjechali zeń wreszcie na jaśniejsze miejsce i zatrzymali się przed ogromnie długim, niskim, a nieregularnie zbudowanym domem. Na razie zdawało się Mary, że dom cały jest ciemny, dopiero gdy wysiadła, dostrzegła słabe światło w jednym z okien na piętrze.

Wchodowe drzwi olbrzymie, ciężkie, były zbite z masywnych, dziwnie rżniętych desek dębowych, nabijane wielkimi, żelaznymi gwoźdźmi i powiązane żelaznymi sztabami. Przez nie wchodziło się do olbrzymiego hallu, który był tak słabo oświetlony, że Mary wcale nie czuła ochoty przyglądać się starym portretom pań i panów w całkowitym uzbrojeniu. Gdy tak stała na kamiennej posadzce olbrzymiego hallu, wydawała się bardzo drobną i bardzo niezwykłą, czarną figurką i czuła się tak nikła i osamotniona, i dziwna, jak była istotnie.

<sup>13</sup>*kontent* (daw.) — zadowolony.

Ubrany bez zarzutu, chudy, stary człowiek stał w pobliżu lokaja, który mu drzwi otwierał.

— Ma ją pani wziąć zaraz do jej pokoju — rzekł głosem zachrypniętym. — Pan nie życzy sobie jej widzieć. Rano wyjeżdża do Londynu.

— Doskonale, panie Pitcher — odparła pani Medlock. — O ile wiem, czego chcą ode mnie, z pewnością to wykonam.

— Czego od pani chcą, mościa dobrodziejko? — rzekł Pitcher. — Oto jedynie tego, aby on miał spokój zupełny i aby nie widział tego, czego widzieć nie pragnie.

Potem zaprowadzono Mary Lennox przez szeroką klatkę schodową i długi korytarz i znów w górę po kilku stopniach, i znów przez inny korytarz, i jeszcze przez jeden, póki nie natrafiono na drzwi prowadzące do jej pokoju, gdzie znalazła ogień na kominku i kolację na stole.

Pani Medlock odezwała się bez ceremonii:

— No, otóż jesteśmy! Ten oto pokój i ten obok, przeznaczone dla panienki, muszą panience wystarczyć. Proszę o tym nie zapomnieć.

W ten oto sposób panna Mary znalazła się w Misselthwaite Manor i chyba nigdy w życiu nie czuła się taką prawdziwą „kapryśnicą” jak w tej chwili.

#### ROZDZIAŁ IV. MARTA

Nazajutrz z rana Mary otworzyła oczy, gdy młoda dziewczyna weszła do jej pokoju rozniecić ogień, a teraz klęczała przed kominkiem, hałaśliwie wygarniając niedopalone węgle. Mary przyglądała jej się chwilę, leżąc, po czym zaczęła rozglądać się po pokoju. Nigdy jeszcze nie widziała nic podobnego, pokój wydał się jej i dziwny, i ponury, ściany pokryte były tkaniną, na której wyhaftowano sceny leśne. Byli tam dziwnie ubrani ludzie wśród drzew, a w dali widniały wierzchołki wieżyc zamkowych. Byli tam myśliwi, konie i psy, i piękne panie. Mary miała uczucie, że się wraz z nimi w lesie znajduje. Przez okno dostrzegła wielką przestrzeń falistego gruntu, który był całkiem ogołocony z drzew i wyglądał jak bezbrzeżne, krwawo purpurowe morze.

— Co to takiego? — spytała, wskazując przez okno.

Młoda służąca, Marta, która właśnie powstała była z klęczek, wskazała również w tym kierunku i rzekła:

— To?

— Tak.

— To wrzosowisko — rzekła z poczciwym uśmiechem. — Czy panienka lubi wrzosowiska?

— Nie cierpię — odparła Mary.

— Bo panienka jeszcze nie przywykła — rzekła Marta, wracając do kominka. — Panience się ono teraz wydaje takie wielkie i takie gołe. Ale ja wiem, że panienka strasznie je polubi.

— A ty lubisz je? — zagadnęła Mary.

— Ojoj! i jak jeszcze — odparła Marta, czyszcząc zawzięcie kratę kominka. — Ja moje wrzosowisko po prostu miłuję. A nie jest ono nagie, oj, nie! Całe ono roślinek cudnych pełne, a pachną ci one, oj, pachną! Toż ono śliczniuchne takie na wiosnę i latem, jak ono kwiecie zakwitnie, one wrzosy różowe. Pachnie, jakby miód rozlał! A tyle tam powietrza, że się upić można; a niebo to tak het, het wysoko nad nim, a pszczoły i pasikoniki takie miły rozgwar czynią, tak brzęczą a dzwonią! Za nic bym nie chciała żyć z dala od mego wrzosowiska!

Mary słuchała jej słów z powagą i zdumieniem. Tubyłcza służba w Indiach nic a nic podobna nie była do tutejszej. Tamci byli uniżeni, służalczy i nie ośmieliliby się nigdy do państwa odzywać się jak do równych sobie. Bili im pokłony, nazywając ich „opiekunami biednych” i inne jeszcze nadając im nazwy. Indyjskiej służbie rozkazywano, nie proszono ich. Nie było zwyczaju mówić „proszę” i „dziękuję”, a Mary biła swą Ayah po twarzy, gdy się rozzłościła. I pomyślała sobie, co by też ta oto dziewczyna zrobiła, gdyby jej dano policzek? Było to rumiane, pulchne, miłe stworzenie, ale miała dziwnie ostre obejście i panna Mary zastanawiała się, czy by ona po prostu nie „oddala”, gdyby ją uderzono w twarz i gdyby uderzającą była mała dziewczynka.

— Dziwna jakaś z ciebie służąca — rzekła wyniośle.

Marta usiadła na piętach z szczotką do czyszczenia w ręce i śmiała się, niezagniewana zupełnie.

— Dobrze to wiem — odparła, śmiejąc się. — Żeby sama jaśnie pani była w Misselthwaite, to bym przecie i pomocnicą pokojowej być nie mogła. Może by mi pozwolili być przy kuchni, ale nie do posługi w pokoju. Znadto prosta<sup>14</sup> i mówić pięknie nie potrafię. Ale to dziwny jakiś dom, choć taki wielki. Rzekłby kto, że tu ni dziedzica, ni pani nie ma, a jeno pan Pitcher i pani Medlock. Jak jaśnie pan w domu, to i wiedzieć o niczym nie chce, a wreszcie on ciągle w podróży. To pani Medlock z dobroci swojej dała mi to miejsce. Ale mi powiedziała, że gdyby Misselthwaite było takie jak inne dwory, to nigdy nie byłaby mogła przypuścić mnie do dworskiej służby.

— Czy ty będziesz moją służącą? — spytała Mary, zawsze tym samym wyniosłym, w Indiach nabytym tonem.

Marta poczęła znów czyścić kominek.

— Ja, proszę pani, jestem służącą pani Medlock — odparła z godnością. — A ona służy jaśnie panu, ale ja niby mam robić robotę pokojowej i panience to i owo usłużyć. Aleć panienka nie potrzebuje znów tak dużo obsługi.

— Któż mnie będzie ubierał? — zagadnęła Mary.

Marta znów przysiadła na piętach, przyglądała się Mary, nie rozumiejąc, wreszcie ze zdumieniem spytała:

— To panienka sama nie potrafi?

— Cóż to ma znaczyć? Nie rozumiem cię.

— Chciałam powiedzieć, że panienka chyba umie sama się ubrać.

— Nie — rzuciła Mary z zupełną pogardą. — Nigdy w życiu nie ubierałam się sama. Ayah zawsze mnie całą ubierała.

— W takim razie wielki czas, żeby się panienka nauczyła sama to robić — rzekła Marta, nie zdając sobie sprawy z swego zuchwalstwa. — Trzeba było młodziej zacząć. To panience dobrze robi, gdy sama koło swoich rzeczy pochodzi. Moja matka to zawsze się dziwuje, że dzieci bogatych państwa nie są do cna głupie, kiedy od małości nianki je myją i ubierają, i na spacer prowadzą jak te lalki!

— W Indiach są zupełnie inne zwyczaje — rzekła Mary pogardliwie. Już jej to gderanie kością w gardle poczęło stawać.

Lecz Marta niełatwo się detonowała<sup>15</sup>.

— Hm, ja zaraz spostrzegłam, że to tam całkiem musi być inaczej — odrzekła serdecznie. — A ja myślę, że to wszystko przez to, że tam tyle tych czarnych, zamiast poczciwych białych ludzi. Jakem usłyszała, że panienka z Indii przyjeżdża, tom myślała, że panienka też jest czarna.

Mary wściekła usiadła na łóżku.

— Co! — zawołała — Co! Myślałaś, że Hinduska! Ty... ty córko świni!

Marta spojrzała przełękła i spłoszona.

— Na kogo panienka tak mówi? — rzekła. — Nie wolno panience tak się złościć i nie powinna panienka tak brzydko mówić. A ja przeciw tym czarnym to nawet nic nie mam. Księża to nam mówią i piszą, że oni są nawet bardzo pobożni. A mówią i to, że choć to czarny, ale zawsze on też człowiek i bliźni. Jeszczem nigdy w życiu nie widziała czarnego człowieka i okrutniem się cieszyła, że nareszcie zobaczę choć jednego z bliska. Jakem tu rano weszła zapalić na kominku, tom się do panienki łóżka zakradła cichutko i kołderki cichutko uchyliliłam, żeby na panienkę spojrzeć. A tu panienka biała! — rzekła z rozczarowaniem — nie czarniejsza niż ja, choć panienka ode mnie znów żółciejsza.

Mary już nie usiłowała nawet zapanować nad swą wściekłością i upokorzeniem.

— I ty myślałaś, że Hinduska! I ty śmiałaś! Nie masz żadnego pojęcia o Hindusach! To nie są ludzie, to są sługi, które ci się muszą kłaniać. Nic nie wiesz o Indiach, w ogóle o niczym pojęcia nie masz.

Wpadła w taką pasję i czuła się taka bezbronna przed szczerym spojrzeniem Marty, przy tym poczuła się nagle tak strasznie osamotniona i tak oddalona od wszystkiego,

<sup>14</sup>zanadto prosta — skrócone: z nadto jestem prosta.

<sup>15</sup>zdetonować się — spieszyć się, zmieszać się.

co rozumiała i co ją rozumiało, że rzuciła się twarzą na poduszki i wybuchnęła szalonym szlochem. Płakała tak rozpaczliwie, że poczciwej Marcie strasznie się jej żal zrobiło. Podeszła do łóżka i prosiła, pochylając się nad dziewczynką:

— Panienko! Nie trzeba tak płakać; doprawdy nie trzeba. Nie wiedziałam, że taką przykrość paniusi sprawię. W ogóle głupia jestem i nic nie wiem, jak panienka słusznie powiedziała. Bardzo panienkę przepraszam i proszę przestać płakać.

Było coś dodającego otuchy, coś rzeczywistie przyjacielskiego w jej mowie prostej, a szczerzej, coś, co na Mary dodatni wpływ wywarło. Przestała płakać i z wolna uspokoiła się zupełnie. Marta była uradowana.

— No, a teraz, panienko, czas wstawać. Trzeba... Pani Medlock kazała mi podać śniadanie, herbatę i obiad tu, do przyległego pokoju. Tam jest urządzoney dziecinny pokój dla panienki. Pomogę się panience ubrać, jeśli panienka z łóżeczka wyjdzie. A jeśli sukienki zapinane na plecach, to naturalnie sama panienka zapiąć nie może.

Kiedy się Mary zdecydowała nareszcie wyjść z łóżka, Marta podała jej z szafy suknię inną niż ta, w której Mary przyjechała.

— To nie moja sukienka. Moja jest czarna — rzuciła Mary.

Przyjrzała się ładnej sukience z grubej, miękkiej, białej wełny z chłodnym uznaniem.

— Ale ta sukienka ładniejsza od mojej — dodała.

— A panienka musi się w nią ubrać — odrzekła Marta. — Pan Craven kazał ją kupić w Londynie. Powiedział przy tym: „nie chcę, by mi po domu chodziło czarno ubrane dziecko jak dusza potępiona”, tak powiedział. „To by ten dom czyniło jeszcze smutniejszym, niż jest. Ubierajcie ją w jasne kolory!”. Moja matka mówi, że wie, co on sobie myślał. Matka zawsze wie, co sobie kto myśli. Ona też nie lubi czarnego koloru.

— Nie cierpię czarnych rzeczy — zawołała Mary.

W czasie procesu ubierania się, obie nauczyły się rzeczy nowych. Marta „zapinała” wprawdzie swoje rodzeństwo nieraz, ale nie widziała jeszcze dziecka, które by stało jak pień, pozwoliło robić za siebie wszystko, jakby nie miało własnych rąk i nóg.

— Czemu panienka się sama nie obuje<sup>16</sup>? — spytała, gdy Mary spokojnie wystawiła nogę.

— Ayah mi zawsze nakładała buciki — odparła Mary ze zdziwieniem. — Taki był zwyczaj.

Mary często powtarzała: „taki był zwyczaj”. Służba hinduska zawsze zwykła była tak mówić. Gdy im kazano zrobić coś, czego ich przodkowie przed tysiącem lat nie robili, spoglądali z słodkim uśmiechem, mówiąc: „tego nie było w zwyczaju” i wiadomo już było, że sprawa skończona.

Nie było też w zwyczaju, by Mary robiła cośkolwiek; umiała stać tylko i pozwalała łaskawie, by ją ubierano jak lalkę; zanim wszakże gotowa była do śniadania, zaczęła domyślać się, że ją życie w Misselthwaite Manor nauczy wielu rzeczy — całkiem dla niej nowych — jako to: wkładania na nogi bucików, pończoch, zbierania porozrzucanych rzeczy itd. Gdyby Marta była dobrze wytresowaną panną służącą jakiej wielkiej pani, byłaby więcej służbista i byłaby wiedziała, że do niej należało wyszczotkować włosy i buciki zapiąć, i pozbierać, i poskładać rzeczy. Była ona wszakże tylko prostą wiejską dziewczyną, wychowaną w chacie wraz z gromadką rodzeństwa i myślała jedynie o tym, jak im usłużyć, jak się zająć maleństwami, które zaczynały stawiać pierwsze kroki.

Gdyby Mary miała w sobie więcej wesołości, byłaby się z pewnością uśmiechała z gadulstwa Marty. Ale Mary przysłuchiwała się tylko wyniośle i dziwiła się jej śmiałości. Zrazu nie zwracała uwagi na dziewczynę, ale gdy ta gadała i gadała bez końca, zaczęła z wolna uważać na jej opowiadanie.

— Oj, żeby panienka wiedziała! — rzekła. — Jest nas dwanaścioro, a ojciec zarabia tylko szesnaście szylingów na tydzień. Mówię panience, że matka to nie wie czasem, skąd wziąć na chleb dla nich. Cały dzień biegają po wrzosowisku, a matka mówi, że powietrze tutejsze ich tak tuczy i że pewna jest, że wszystkie bębny<sup>17</sup> trawę jedzą jak te dzikie konie. A nasz Dick to ma już dwanaście lat i oswoił sobie małego pony i mówi, że to jego.

— Gdzie sobie oswoił? — spytała Mary.

<sup>16</sup>obuć się — założyć buty.

<sup>17</sup>bęben (daw., pot.) — małe dziecko.

— Ano na stepie spotkał, jak pony był jeszcze małym źrebakiem przy matce i jak mu zaczął dawać kawałki chleba, a trawkę zieloną, świeżuchną zrywać, tak też się zaprzyjaźnili. Tak się źrebiątko do niego przyzwyczało, że za nim chodzi i pozwoli Dickowi na grzbiecie sobie siadać. Dick to dobry bardzo chłopak i zwierzęta strasznie go lubią.

Mary nie miała nigdy na własność ulubionego zwierzątka, a zawsze mieć je pragnęła. Zaczęła więc interesować się po trosze Dickiem, a ponieważ dotychczas zajmowała ją jej osoba jedynie, była to zatem jakby jutrzienka nowego, pocziwego uczucia. Gdy weszła do przeznaczanego dla siebie drugiego pokoju, zauważyła, że był on zupełnie podobny do tego, w którym spała. A był to raczej pokój dorosłej osoby, lecz nie dziecka, z ponurymi, starymi portretami i ciężkimi, dębowymi sprzętami. Stół na środku zastawiony był pożywnym śniadaniem. Lecz Mary nigdy nie grzeszyła zbytym apetytem, a teraz patrzyła więcej niż obojętnie na stawiane przed sobą potrawy.

— Nie lubię tego — rzekła.

— Co! panienka kaszy nie lubi? — wykrzyknęła Marta niedowierzająco.

— Nie lubię.

— Panienka nie wie, jakie to dobre. Trzeba posypać trochę cukrem.

— Nie lubię tego — powtórzyła Mary.

— Okropnie nie lubię, jak się takie dobre jedzenie marnuje — rzekła Marta. — Żeby tu nasze dzieci siedziały, to by w mig salaterka była pusta.

— Dlaczego? — spytała Mary chłodno.

— Dlaczego? — jak echo powtórzyła Marta. — Ano bo one nigdy nie mają żołądków jak się patrzy pełnych. Głodne to, a jadła chciwe jak młode jastrzębie albo lisy.

— Ja nie wiem, co to jest być głodną — rzekła Mary z obojętnością prawdziwej nieświadomości.

Marta była oburzona.

— Dobrze by panience zrobiło trochę się przegłodzić, już ja wiem — powiedziała szczerze. — Cierpliwości mi braknie, jak tak kto siedzi i tylko się gapi na chleb i mięso, a nie je. Mój Boże! żeby tak naszym dzieciakom dać to wszystko, co tu jest na stole, byłaby ci uciecha, oj, była!

— Czemuż im tego zatem nie dasz? — poddała<sup>18</sup> Mary.

— Bo to nie moje — odparła Marta z godnością. — A przy tym to nie moje wychodne. Wychodne mam raz na miesiąc, jak reszta służby. Wtedy idę do domu, porządku porobię, a matczyśko spocznie sobie dzień jeden.

Mary wypila herbatę, zjadła sucharek z odrobiną marmolady.

— A teraz niech się panienka ciepło otuli i idzie pobiegać i pobawić się na dworze — rzekła Marta. — Dobrze panience zrobi trochę spaceru i apetyt będzie lepszy na obiad.

Mary podeszła ku oknu. Widać było ogrody, ścieżki, drzewa, ale wszystko wyglądało jakoś smutno i zimowo.

— Wyjść? Na co? Tak szkaradnie na dworze.

— Jak panienka nie wyjdzie, to będzie musiała siedzieć tu w pokoju, a co by tu panienka robiła?

Mary spojrzała dokoła siebie. Prawda, że nie miała tu co robić. Pani Medlock nie pomyślała o rozrywkach dziecinnych, przygotowując pokój dla dziewczynki. A może rzeczywiście lepiej będzie pójść obejrzeć ogrody?

— A kto mnie zaprowadzi? — spytała.

Marta spojrzała zdziwiona.

— Sama panienka pójdzie — odparła. — Musi się panienka nauczyć sama się bawić, jak inne dzieci, które nie mają braciszków i siostrzyczek. Nasz Dick, jak wybiegnie na pole, to godzinami całymi tam się bawi. Dlatego tylko tak się zaprzyjaźnił z kucykiem. Ma on na wrzosowisku i owieczki znajome, i ptaszki, co mu do rąk po jedzenie przychodzą. Choć tam w chacie głodno, ale on zawsze okruszyny chleba schowa na przywabienie swoich faworytów.

Wzmianka o Dicku zdecydowała Mary do wyjścia, choć dziewczynka sprawy sobie z tego nie zdawała. Na dworze będą ptaszki, choć nie będzie koników, ani baranków. Będą zapewne inne niż ptaszki w Indiach, a ją to bardzo będzie zajmować.

<sup>18</sup>poddać — zaproponować.

Marta podała jej płaszczyk i kapturek, i parę mocnych, ciepłych buczków i pokazała, którędy się schodzi na dół.

— Jak panienka tą drogą pójdzie, to znajdzie panienka do ogrodów — rzekła, wskazując na furtkę w żywopłocie. — Latem to tam kwiatów co niemiara, ale teraz pusto.

Zawahala się chwilkę, po czym dodała:

— Jeden ogród jest całkiem zamknięty na klucz. Od dziesięciu lat nikt w nim nie był.

— Dlaczego? — spytała Mary mimo woli. Oto jeszcze jedne drzwi zamknięte w dodatku do owych stu w tym dziwnym domu.

— Pan Craven zamknął go, kiedy jego żona tak nagle umarła. Nie chce, żeby tam ktokolwiek chodził. To był pani ogród. A on drzwi zamknął, wykopał dziurę i klucz pochował. Tak! Ojoj! Pani Medlock dzwoni, muszę śpieszyć!

Gdy Marta odeszła, Mary zwróciła się ku furtce w żywopłocie. Wciąż myślała o ogrodzie, w którym nikt nie był od dziesięciu lat. Ciekawa była, jak też wygląda i czy są tam jeszcze kwiaty kwitnące. Po przejściu furtki znalazła się w rozległych ogrodach, o wielkich strzyżonych trawnikach i wijących się, dobrze utrzymanych ścieżkach. Były tam drzewa i klomby, i w dziwne kształty strzyżone bukszpany, i staw z fontanną z szarego kamienia pośrodku. Ale klomby puste były, zimowe, a fontanna nie tryskała żywą wodą. To nie był ów ogród zamknięty. Ale jak można zamknąć ogród? Przecież do ogrodu zawsze można wejść.

Myślała właśnie o tym, gdy na końcu dróżki, którą szła, dostrzegła wysoki mur obrośnięty bluszczem. Nie знаła Anglii i nie spostrzegła się, że wchodzi do ogrodów warzywnych i owocowych. Podeszła do muru i spostrzegła wśród bluszczu zielone, otwarte drzwi. To przecież nie był zamknięty ogród, mogła wejść do niego.

Przekroczyła drzwi i spostrzegła, że to znów ogród murem okolony i że jest to jeden z kilku otoczonych murem ogrodów, które się z sobą łączyły. Znów dostrzegła drzwi, a przez nie krzewy i ścieżki między inspektami z warzywami zimowym. Drzewa owocowe porożpinane były na murach, a wiele inspektów przykrytych oknami. Było tu i pusto, i brzydko, myślała Mary, stojąc i rozglądając się dokoła. Może w lecie było ładniej, gdy było zielono, ale teraz tu doprawdy nic nie było godnego widzenia.

W tejże chwili wszedł furtką z drugiego ogrodu stary człowiek z łopatą na ramieniu. Na razie zdumiał się na widok Mary, potem dotknął czapki. Miał starą, pomarszczoną twarz i wydawał się bardzo niekontent, gdy zobaczył Mary. Ale i ona rozczarowana była jego ogrodem, miała swój wyraz twarzy „panny Mary, kapryśnicy” i wcale nie była zadowolona ze spotkania.

— Co to za ogród? — spytała.

— Jeden z warzywnych — odparł.

— A tamten? — spytała, wskazując przez drugie drzwi.

— Inny ogród warzywny. Po tamtej stronie muru jest jeszcze jeden, a z tamtej strony sad.

— Mogę tam iść? — spytała Mary.

— Jak się podoba. Ale nie ma nic ciekawego.

Mary nie odpowiedziała. Doszła do końca ścieżki przez drugie zielone drzwi. Tam było więcej murów i warzyw, i okien inspektowych, ale w murze była znów zielona furtka, tym razem zamknięta. A może tam był ów ogród, w którym od dziesięciu lat nikt nie był? Ponieważ Mary nie była wcale dzieckiem trwożliwym, a robiła zawsze, co chciała, więc podeszła do furtki i nacisnęła klamkę. Spodziewała się, że drzwi się nie otworzą, bo chciała mieć pewność, że znalazła tajemniczy ogród — lecz drzwi otworzyły się z łatwością i Mary znalazła się w dużym sadzie. Wokoło był mur, drzewa owocowe rozpięte i inne, nagie obecnie wśród poółkłej trawy, ale drugiej zielonej furtki widać nie było. Mary rozglądała się, szukając jej; wszakże gdy wchodziła z tamtego końca ogrodu, zauważyła, że mur nie kończy się tam, gdzie sad, lecz ciągnie się dalej, jakby oddzielał znów ogród inny po tamtej stronie. Dostrzegła zresztą wierzchołki drzew ponad murem, a stojąc cicho, ujrzała na najwyższym z nich ptaszka z jasnym czerwonym upierzeniem na piersiach, który zaraz uderzył w śpiew swój zimowy — zupełnie jak gdyby ją dostrzegł i jakby ją wołał.

Stanęła i zaczęła słuchać, a jego miły, przyjacielski jakiś świergot rozbudził w niej dziwne uczucia i choć było z niej takie niemiłe dziecko, ale przecież samotne, a ów wielki zamknięty dom, wielkie, puste wrzosowiska, wielkie, puste ogrody przejęły ją uczuciem, że jest samiuteńka na tym wielkim świecie. Gdyby była czułym, tkliwym dzieckiem, mogło jej serce pęknąć z żalu, ale choć była tylko „panną Mary kapryśnicą”, przecież czuła się strasznie smutna, a ta ptaszyna patrzyła na jej skwaszoną twarzyczkę jakby z uśmiechem. Mary słuchała dopóty, dopóki ptaszek nie pofrunął. Nie był on podobny do indyjskich ptaszków, podobał się dziewczynce i ciekawa była, czy też go jeszcze kiedy zobaczy. A może ptaszek mieszka w tajemniczym ogrodzie i wie wszystko o nim?

Być może, że Mary tak dużo myślała o opuszczonym ogrodzie, nie mając nic do roboty. Była strasznie ciekawa i chciała zobaczyć, jak wygląda. Dlaczego pan Archibald Craven klucz zagrzebał? Jeśli tak bardzo kochał żonę, dlaczego nienawidził jej ogrodu? Ciekawa była, czy wuja kiedy zobaczy, ale wiedziała, że jeśli go zobaczy, to go lubić nie będzie, a i on jej nie będzie lubił; a ona stanie, będzie patrzyła na niego, ani słówkiem się nie odezwie, choć co prawda miałyby straszną ochotę zapytać go, dlaczego taką dziwną rzecz zrobił.

„Mnie nikt nie lubi i ja nikogo nie lubię — myślała — i nie umiem paplać tak jak dzieci Crawfordów. Te wiecznie gadały, śmiały się i hałasowały”.

Myślała o gilu i o tym, że zaśpiewał tak jakby dla niej umyślnie, a kiedy przypomniawszy sobie czubek drzewa, na którym siedział, stanęła nagle na ścieżce.

„Jestem pewna, że to drzewo jest w tajemniczym ogrodzie, jestem całkiem pewna” — rzekła do siebie. Był tam przecież mur, a nie było furtki.

Wróciła do pierwszego ogrodu warzywnego i zastała tam starego zajętego kopaniem. Podeszła, stanęła przy nim i po swojemu — chłodno — zaczęła mu się przyglądać. Nie zważał na nią, więc go zagadnęła:

— Byłam w tamtych ogrodach.

— Nic nie stało na przeszkodzie — odparł szorstko.

— Byłam w sadzie.

— A toć tam pies przy drzwiach nie siedzi, żeby gryźć — odrzekł.

— Ale tam już nie było furtki do tego innego ogrodu — rzekła Mary.

— Do jakiego ogrodu? — powiedział ostro, przerywając na chwilę kopanie.

— No, do tego po tamtej stronie muru — odparła Mary. — Tam są drzewa, widziałam czubki. A ptaszek z czerwonym gardziółkiem siedział na jednym wierzchołku i śpiewał.

Ku swemu zdumieniu Mary spostrzegła, że szorstka, zmarszczkami poorana twarz zmieniła od razu wyraz. Słaby uśmiech rozlał się na obliczu i stary ogrodnik zmienił się do niepoznania<sup>19</sup>. Przyszło jej na myśl, o ile ładniej się wygląda z uśmiechem na ustach. Nie pomyślała nigdy o tym.

Ogrodnik zwrócił się ku sadowi i zaczął gwizdać cichutko, łagodnie. Nie mogła pojąć, jak taki szorstki człowiek mógł umieć tak łagodnie wabić.

W tej chwili stało się coś zadziwiającego. Usłyszała cichy lot w powietrzu. Był to ptaszek z czerwonym gardziółkiem, który opuścił się na ziemię i usiadł na grudzie ziemi tuż przy nogach ogrodnika.

— Jesteś tu! — zaśmiał się stary, po czym zaczął przemawiać do ptaszka jak do dziecka.

— Gdzieś to bywał, łobuzie jeden? Długoś się jakoś nie pokazywał. Jużes to na zalecanki wyleciał tak wcześniej? Żony sobie szukasz?

Ptaszek główkę w bok przechylił i patrzył na starego, a oczki mu świeciły, jak duże, ciemne rosy perelki. Miało się uczucie, że to ptaszyna bardzo oswojona, nietrwożliwa zupełnie. Skakał z grudki na grudkę, dziobał zawzięcie, szukając ziarenek i owadów. Dziwne uczucie zrodziło się w serduszkach Mary, taki był śliczniuchny i tak zdawał się podobny do ludzi. Był drobny, ale tłuszczyk, dziób miał cienki i wysmukły, cienkie nóżki.

— Czy on przylatuje zawsze, gdy go zawołacie? — zapytała szeptem.

— A jeszcze by też przylecieć nie miał! Znam tego łobuza, jak to jeszcze wypierzone nie było. Wyleciał z gniazda w tamtym ogrodzie, przeleciał przez mur, ale był za słaby jeszcze, żeby pofrunąć z powrotem i od tego czasu datuje się nasza przyjaźń. A potem,

<sup>19</sup>do niepoznania — dziś raczej: nie do poznania.

gdy po kilku dniach do gniazda wrócił, było ono już puste, więc znowu przyleciał do mnie.

— A co to jest za ptaszek? — spytała Mary.

— Nie widzi o panienka? To gil z czerwoną szyjką, a gile to najmilsze ptaszki pod słońcem. Przywiązują się też jak psy, o ile się umie z nimi postępować. Niech no panienka spojrzy, jak on dziobie, a kręci się, a na nas ciągle spogląda. Wie, bestia, że o nim mowa.

Nie było chyba nic zabawniejszego jak widok starego. Patrzył on na małego, pękatego ptaszka, jakby go kochał, a jednocześnie dumny był z niego.

— Strasznie, szelma, próżny! — zaśmiał się znowu. — Lubi okrutnie, jak się o nim mówi. A ciekawy! Bóg świadkiem, że chyba nie ma drugiego takiego na świecie ciekawskiego i wścibskiego. Zawsze mi tu przyleci zobaczyć, co się albo sadzę. On i to wie, czego pan Craven nie wie. Tak, to naczelnym ogrodnik, tak, tak.

A gil skakał, dziobał, przystając od czasu do czasu i przyglądając się tym obojgu. Mary zdawało się, że ptaszek przygląda jej się z szczególną ciekawością. I doprawdy tak wyglądało, jakby się wszystkiego o niej chciał dowiedzieć. Dziwne uczucie wzrastać poczęło w sercu dziewczynki.

— A gdzie poleciały te drugie ptaszki z gniazdka? — zapytała.

— Nie wiadomo. Stare wyganiają młode z gniazda i każą im latać, i rozpierzchnie się to też nie wiadomo gdzie. Ten tutaj to mądrała, wiedział, że jest sam.

Panna Mary podeszła bliżej do ptaszka, spojrzała na niego twardo i rzekła:

— Jestem sama.

Przedtem nie zdawała sobie sprawy, że to było główną przyczyną, dlaczego czuła się skwaszoną i w złym humorze. Nabrała tego przeświadczenia dopiero teraz, pod wpływem wzroku gila i gdy sama nań patrzyła.

Stary ogrodnik poprawił czapkę na łysinie, popatrzył na nią i rzekł:

— To panienka jest ta mała, co to przyjechała z Indii?

Mary potakująco skinęła głową.

— Nie dziw, w takim razie, że panienka sama. Później, kiedy panienka będzie większa, to będzie jeszcze więcej sama — powiedział.

Począł znów kopać, zagłębiając łopatę mocno w tłustą, czarną ziemię, podczas gdy gil, zajęty ogromnie, obskakiwał dokoła.

— Jak się nazywacie? — dopytywała Mary.

Przerwał robotę, by dać odpowiedź:

— Ben Weatherstaff — odparł, a potem z dziwnym grymasem dodał — Jam też jestem sam, chyba że ten do mnie przyjdzie — i wskazał palcem na gila. — To mój jedyny przyjaciel.

— Ja wcale nie mam przyjaciół i nigdy nie miałam. Nawet moja niania mnie nie lubiła i nigdy się z nikim nie bawiłam — opowiadała Mary.

W Yorkshire panuje zwyczaj, żeby prawdę mówić ostro, bez ogródek, a że Ben Weatherstaff był rodem z Yorkshire, więc odparł:

— My oboje, niby panienka i ja, to sobie podobni jesteśmy. Jesteśmy ulepieni z tej samitkiej gliny. Oboje urodziwi nie jesteśmy, ale za to skwaszeni, nieprzyjemni tak, jak nam to z oczu patrzy. No i idę o zakład, mamy równie niemily charakter.

Powiedziane to było prosto z mostu, a Mary dotąd nie słyszała nigdy prawdy o swej osobie. Tam, w Indiach, służba biła jej pokłony i przytakiwała jej we wszystkim. Dziewczynka nie zastanawiała się nigdy nad swoim wyglądem i ciekawa była, czy rzeczywiście jest tak mało ponętą jak Ben Weatherstaff, i ciekawa była również, czy wygląda taka skwaszona jak ogrodnik zanim gil przyfrunął. Zaczęła się także zastanawiać, czy i ona miała „niemily charakter”. Zrobiło jej się nieprzyjemnie.

Naraz cichy, łagodny tryl zabrzmiał tuż przy niej. Odwróciła się i stanęła w pobliżu młodej jabłoni, a gil, usiadłszy na jednej z jej gałązek, w piosenkę swoją zadzwonił. Ben Weatherstaff szczerze się zaśmiał.

— Czemu on tu przy mnie tak śpiewa? — spytała Mary.

— Chce się z panienką zaprzyjaźnić — odparł Ben. — Głowę daję, że się w paniencę zakochał.

— We mnie? — spytała Mary i łagodnym ruchem odwróciła się ku drzewu i spojrzała.



— Chcesz być moim przyjacielem? — zwróciła się do ptaszka jak do człowieka. — Chcesz? — A nie wyrzekła tych słów swoim szorstkim głosem, na swój sposób rozkazujący, lecz tak słodko, szczerze, tak wabiąco, że z kolei Ben Weatherstaff był niemniej zdziwiony niż Mary, gdy usłyszała jego gwizdanie.

— Hej! — wykrzyknął. — Tak to panienka ślicznie i po ludzku powiedziała, jakby panienka była prawdziwym dzieckiem, a nie starą, zgryźliwą babą. Powiedziała panienka tak, jak Dick przemawia do swoich zwierzątek na wrzosach.

— To wy znacie Dicka? — spytała Mary, rażno zwracając się ku staremu.

— A kto by go nie znał! Toć on wszędzie łązi. Nawet jeżyny dzikie i kwiatki wrzosów go znają. Założę się, że mu lisy mówią, gdzie się ich młode znajdują, a pasikoniki gniazda mu swoje pokazują.

Mary miała wielką ochotę pytać dalej. Była tak zaciekawiona Dickiem, jak tajemniczym ogrodem. Lecz w tejsze chwili gil śpiew swój urwał, rozwinął skrzydełka z trzepotem i odfrunął. Wizytę złożył — miał teraz inne zajęcia.

— Przeleciał przez mur! — zawołała Mary, śledząca lot ptaszka. — Teraz poleciał do sadu. O, a teraz przez drugi mur do tego ogrodu, do którego nie ma furtki!

— Bo on tam mieszka i tam się z jajka wykluł. Jeżeli sobie poszuka żony, to tylko tam, między młodymi pannami gilskimi, które mieszkają w starych krzakach róż.

— W krzakach róż? To tam są róże? — spytała Mary. Ben Weatherstaff chwycił za łopatę i na nowo kopać począł.

— A były dziesięć lat temu — zamruczał.

— Chciałabym zobaczyć te róże — powiedziała Mary. — Gdzie jest zielona furtka? Gdzieś przecież być musi.

Ben łopatę w ziemię zatknął i wyglądał tak niemiło, jak na początku ich znajomości.

— A była, była dziesięć lat temu, ale teraz nie ma — powiedział.

— Furtki nie ma? Musi być! — zawołała Mary.

— Nie ma i nikt nie znajdzie, i nikomu nic do tego. Niech panienka nie będzie wścibska i nie wtyka nosa w nieswoje rzeczy. No, a teraz do roboty! Niech panienka idzie się bawić. Nie mam już czasu.

Potem zarzucił sobie łopatę na ramię i odszedł, nie spojrzawszy nawet na dziewczynkę.

## ROZDZIAŁ V. KRZYK W KORYTARZU

Z początku wszystkie dni były dla Mary Lennox podobne do siebie. Każdego ranka budziła się w swoim pokoju obwieszonym tkaninami i zawsze spostrzegła przed kominem Martę rozniecającą ogień; każdego ranka zjadała śniadanie, ale ani odmiany żadnej, ani nic zabawnego w tym nie było. Po śniadaniu patrzyła oknem na rozległy step, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność, a patrząc tak, przychodziła z wolna do wniosku, że jeśli nie wyjdzie na dwór, to będzie musiała siedzieć w pokoju i nic nie robić. To ją niewoliło do wyjścia. Nie wiedziała o tym, że nie mogła zrobić nic lepszego, nie wiedziała również, że w miarę, jak biegła po ścieżkach i alejach, krew szybciej poczyniała krążyć w jej żyłach, a walka z wiatrem, wiejącym od strony stepu, siły jej wyrabiała. Biegła po to tylko, by się zagrzać, a nie cierpiała wichru, który jej dął prosto w twarz i wyl, i w biegu zatrzymywał jak olbrzym jakiś niewidzialny. Ale owe podmuchy ostrego, świeżego powietrza płynącego znad wrzosów napełniały jej płuca czymś bardzo zbawiennym dla całej jej wątłej postaci, napędzały kolory na twarzyczkę i rozszerzały, i rozjaśniały jej smętne dawniej oczy.

Po kilku dniach całkowicie niemal spędzonych na dworze, Mary zbudziła się pewnego ranka z uczuciem silnego głodu, a gdy zasiadła do śniadania, nie patrzyła już obojętnie na kaszę, nie odsunęła jej od siebie, lecz wzięła łyżkę i jadła, aż się uszy trzęsły, a talerz opróżnił.

— Dzisiaj to się panienka ładnie uwinęła. Czy nie? — rzekła Marta.

— Tak mi dzisiaj smakuje — odparła Mary, nieco jednak zdziwiona.

— To powietrze stepowe taki panience dało apetyt — rzekła jej Marta. — Jaka panienka szczęśliwa, że jak ma apetyt, to ma i co jeść. Nas tam dwanaścioro w chacie i żołądki mamy zdrowe, a nie ma co w nie włożyć. Niech no panienka co dzień wychodzi pobawić się, to i przytyje panienka, i taka żółta nie będzie.

— Ja się nie bawię — odparła Mary. — Nie mam się czym bawić.

— Nie ma się panienka czym bawić? — wykrzyknęła Marta. — Nasze dzieci bawią się drewnkami i kamykami. Biegają jak opętane, a pokrzykują, a przyglądają się wszystkiemu.

Mary nie pokrzykiwała, ale się przyglądała. Nie miała zresztą nic innego do roboty. Chodziła po ogrodach i dziwiła się różnym rzeczom w parku. Kilka razy poszła do starego ogrodnika, lecz Ben Weatherstaff był zbyt zajęty zawsze, by na nią choć spojrzeć, albo też w zbyt złym humorze. Pewnego zaś razu, gdy Mary szła ku niemu, wziął łopatę na plecy i odszedł w drugą stronę — zupełnie jakby umyślnie.

W jedno miejsce chodziła częściej, niż gdzie bądź. Była to przestrzeń poza ogrodami, zewsząd otoczona murem. Pod murami wszędzie były puste obecnie klomby, a mur obrośnięty był gęsto bluszczem. Na jednej części muru ciemna zieleń wijących się roślin była wiele gęściejsza niż wszędzie. Tak to wyglądało, jakby ta część od dawna była zaniedbana. Bluszcz był wszędzie porządnie, równo przyszyty, a tutaj, na końcu muru zupełnie musiał nie być równany od dawna.

W kilka dni po rozmowie z ogrodnikiem zauważyła to Mary i poczęła się zastanawiać, dlaczego tak było. Zatrzymała się tu właśnie i patrzyła na długą odnogę bluszczu, bujającą się na wietrze, gdy ujrzała małą, czerwoną plamkę i usłyszała srebrzysty tryl, a tam wysoko na murze dostrzegła gila z czerwoną szyjką, pochylonego naprzód, z główką na bok przechyloną, jakby się jej chciał przyjrzeć.

— Och! — zawołała. — Tyżes to, ty?

I nie wydało jej się dziwnym zupełnie, że przemawiała do ptaszka, jakby pewna była, że ją zrozumie i odpowie.

I ptaszek odpowiedział. Ćwierkał i gwizdał, i skakał po murze, jakby jej chciał opowiadać. Mary zdawało się, że go rozumie, choć słowami nie mówił. A gil jakby mówił:

— Dzień dobry! Prawda, że miły wiaterek? A słońce jakie cudne! Prawda, że wszystko ładne? Ćwierkajmy zatem oboje i poskaczmy sobie. Chodź ze mną, chodź!

Mary zaczęła się śmiać, a w miarę jak gil skakał i przelatywał z miejsca na miejsce, dziewczynka biegła za nim. Biedna mała, drobna, bledziutka, brzydka Mary wyglądała w tej chwili bardzo ładniutko.

— Lubię cię, strasznie cię lubię! — wołała Mary, tupocąc po ścieżce; i ćwierkała, i próbowała gwizdać, ale tak naprawdę, to gwizdać nie umiała. Lecz gil był zupełnie kontent z niej i ćwierkał, i gwizdał ku niej jak w odpowiedzi. Wreszcie rozwinął skrzydełka i w błyskawicznym locie znalazł się na wierzchołku drzewa, skąd w rozgłosny śpiew uderzył.

To przywiodło Mary na pamięć ów pierwszy raz, gdy go zobaczyła. Wtedy też siedział na czubku drzewa, a ona była w sadzie. W tej chwili była ona po drugiej stronie sadu, stała na ścieżce zewnątrz muru, wiele niżej — a poza murem było to samo drzewo.

— Oto ogród, do którego nikt nie wchodzi — powiedziała do siebie. — To ten ogród bez drzwi. On tam mieszka. Ach, Boże! żebym ja mogła zobaczyć, jak tam jest!

Pobiegła ścieżką do owej zielonej furtki, przez którą przeszła pierwszy raz do ogrodu, później ścieżką do drzwi następnych. Wbiegła do sadu, a spojrzawszy ku górze, spostrzegła po tamtej stronie muru to samo drzewo, a gil, siedząc na wierzchołku, ukończył był właśnie piosenkę i czyścił piórka dzióbkiem zawzięcie.

— Tak, to ten ogród — rzekła do siebie. — Jestem teraz całkiem pewna.

Obeszła cały mur dokoła od strony sadu, ale dostrzegła tylko to, co wprawdzie, że w murze tym nie było drzwi.

„To bardzo dziwne — pomyślała. — Ben Weatherstaff powiedział, że nie ma żadnych drzwi, no i nie ma. A jednak musiały być przed dziesięć laty, skoro pan Craven zagrzebał klucz”.

Tak ją te myśli zajęły, tak ją pochłonęły całkowicie, że poczuła się w wiele lepszym humorze i nie gniewała się wcale, że przyjechała do Misselthwaite Manor. W Indiach było jej zawsze za gorąco i czuła się zawsze zmęczona i nie chciało jej się nic robić. Faktem było, że świeży powiew stepowego wiatru oczyszczał jej płuca i począł ją budzić do życia.

Cały dzień prawie była na dworze, a kiedy zasiadła do kolacji wieczorem, poczuła się głodna, śpiąca i było jej z tym dobrze. Nie gniewała się wcale, gdy Marta bezustannie

gadała. Co dziwniejsza, poczuła, że słucha jej z przyjemnością, w końcu postanowiła zadać jej pytanie. Po skończonej kolacji zatem, usiadłszy przed kominkiem, spytała:

— Dlaczego pan Craven nie cierpi tego ogrodu?

Prosiła Martę, żeby z nią została, i Marta nie robiła trudności. Była ona młoda jeszcze bardzo, przyzwyczajona do ożywionej gwarnej chatki pełnej małego rodzeństwa i czuła się smutna w ogromnym hallu dla służby, gdzie lokaje i starsze służące naśmiewały się z jej mowy, uważając ją za coś gorszego, i gwarzyli tylko między sobą. Marta była gadulską, a to dziwne dziecko przybyłe z Indii, gdzie jej służyli „czarni”, było dla niej nowością podniecającą jej ciekawość.

Usiadła teraz obok Mary przed kominkiem, nie czekając, aż ją upoważnią.

— Ciągłe panience ten ogród w głowie? — spytała. — Wiedziałam ja, że tak będzie. Tak samiuśko było ze mną, jakem się o tym dowiedziała<sup>20</sup>.

— Dlaczego on go tak nie cierpi? — nalegała Mary.

Marta podłożyła nogę pod siebie i usadowiła się wygodnie.

— Niech no panienska posłucha, jak wiatr od stepu wyje. Żeby panienska była teraz na wrzosach, to by się pewno nie utrzymała na nogach.

Mary poczęła nasłuchiwać i zrozumiała, co to jest wycie wichru. Były to owe świszczące poszumy, co hulały wokoło domu, jakby jakiś olbrzym niewidzialny bił w mury i okna, usiłując dom rozwalić. Ale miało się pewno, że się do wnętrza mimo wszystko nie dostatnie, a przy tym uczucie, że dobrze tu pewno i zacisznie w tym pokoju z ciepłym ogniem na kominku.

— Ale mi powiedz, czemu on tak nie cierpi tego ogrodu? — spytała dziewczynka, chcąc wymiarkować, czy Marta wie czemu, czy nie wie.

Tu Marta poczęła opowiadać wszystko, co wiedziała.

— Ale muszę panience powiedzieć, że pani Medlock zakazała mówić o tym. Tutaj jest wiele ważnych spraw, o których mówić nie wolno. Taki jest rozkaz jaśnie pana. Jego troski nic nie obchodzą służbę: nie wolno nam do nich się wtrącać. A to wszystko przez ten ogród, że pan taki się zrobił. To był ogród pani, zaraz jak się pobrali, i pani strasznie ten ogród lubiła, i zawsze państwo na wiosnę razem kwiatki sadzili. Żadnemu ogrodnikowi nie wolno było wchodzić. Państwo razem sobie wchodzili, zamykali drzwi na klucz i tak całe godziny siedzieli, a rozmawiali, a czytali. A pani to taka była jak paniątko jakie młodziutkie, a w ogrodzie była ławeczka, a drzewo stare jedno gałęzie nad nią zwieszało. A pani pnącymi różami obsadziła drzewo, a na ławeczce pod nim siadać lubiła. Ale jednego razu, jak tam siedziała, złamała się gałąź i pani na ziemię upadła, i tak się strasznie uderzyła, że na drugi dzień umarła. Doktorzy to mówili, że pan pewno zmysły straci i też za nią pójdzie. I tak teraz pan tego ogrodu cierpieć nie może. I już od tego czasu nikt tam nie był, a nawet mówić o tym nie wolno.

Mary nie pytała już więcej. Patrzyła w ogień na kominku i słuchała wycia wiatru, który zdawał się dąć ze zdwojoną siłą i wściekłością.

W tej chwili stało się z nią coś dobrego. Odkąd przybyła do Misselthwaite Manor, był to czwarty dodatni fakt, jaki jej się wydarzył. Najpierw zdawało jej się, że zrozumiała i zrozumiana była przez ptaszka; po wtóre, nauczyła się biegać i walczyć z wiatrem, co jej krew w żyłach poruszyło i rozgrzało; następnie poczuła się pierwszy raz w życiu głodna i wreszcie poznała, co to znaczy kogoś serdecznie żalować. Mary robiła postępy.

Lecz przysłuchując się teraz wichrowi, poczęła uchem łowić inne odgłosy. Zrazu nie zdawała sobie sprawy, co to być może, gdyż głosy te zaledwie odróżnić mogła od wycia wiatru. Dziwne to jakieś były dźwięki — był to jakby jakiś daleki płacz dziecka. Wprawdzie jęki wiatru podobne były niekiedy do płaczu, lecz tym razem Mary była zupełnie pewna, że głosy pochodziły z wnętrza domu — nie z zewnątrz. Było to gdzieś daleko, ale było z domu. Odwróciła się i spojrzała prosto w twarz Marty:

— Słyszysz? Ktoś płacze — rzekła.

Marta się zmieszala.

— Nie — odparła — to wiatr. Czasem to się tak zdaje, jakby się ktoś w stepie zagubił, a jęczał. Wiatr to potrafi na różne tony świszcząć.

<sup>20</sup>jakem się (...) dowiedziała — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak się dowiedziałam.

— Ależ posłuchaj dobrze — rzekła Mary. — Wszakże to ktoś w domu płacze, to na jednym z tych korytarzy.

I w tejże chwili musiał ktoś jakieś drzwi na dole otworzyć, bo straszny przeciąg na korytarzu otworzył z łoskotem drzwi pokoju, w którym siedziała Mary, i obie z Martą skoczyły na równe nogi, lampa zgasła, a przesywający krzyk na korytarzu dał się słyszeć zupełnie wyraźnie.

— No widzisz! — rzekła Mary. — Przecież ci mówiłam! Ktoś tu płacze, a to nie jest płacz dorosłej osoby.

Marta pobiegła, zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku, lecz zanim to zrobiła, usłyszały obie trzask zamykanych drzwi gdzieś na jednym z owych długich korytarzy, po czym wszystko ucichło, bo nawet wiatr uspokoił się na kilka minut.

— To wiatr jęczał — uparcie dowodziła Marta. — A jeżeli nie wiatr, to pewno mała Betty Butterworth, ta z kuchni, bo ją dzisiaj cały dzień strasznie zęby bolały.

W głosie mówiącej czuć było jednak coś nienaturalnego, jakby przymus, tak że Mary spojrzała na nią przenikliwie. Nie wierzyła w prawdę tego, co mówiła Marta.

## ROZDZIAŁ VI. „A JEDNAKŻE KTOŚ PŁAKAŁ”

Dnia następnego padał od samego rana ulewny deszcz i step osłonięty był gęstą, nieprzeniknioną szatą mgły. O wyjściu na dwór, o spacerze mowy być nie mogło.

— Cóż wy robicie w domu, gdy tak strasznie pada? — zagadnęła Mary Martę.

— Ano, musimy najpierw uważać, żeby się nie pognieść — odparła Marta. — Ojoj! Jak też nas wtedy wydaje się wiele! Matka jest zawsze pogodna, ale wtenczas to mówi, że już i głowę można stracić. Starsi to idą się bawić do obory. Dick to na deszcz nie zważa. Wychodzi sobie jakby w pogodę. On mówi, że jak deszcz pada, to można widzieć przeróżne rzeczy, których się w pogodne, słoneczne dni nie ujrzy. Raz to znalazł młodego liska na poły zatopionego w jamie, więc go wziął i na piersiach za bluzę włożył, żeby go ogrzać, i do domu przyniósł. Starą liskę niedaleko od jamy zabito, a jamę zalała woda z deszczu i resztę lisiąt zatopiła. Teraz go sobie w domu chowa. Innym razem znalazł młodą, też na pół zatopioną wronę i także do domu przyniósł i oswoił. Wrona się nazywa „Sadza”, bo strasznie czarna, a skacze i lata za nim wszędzie.

I przyszła chwila, że Mary zapomniała oburzać się na poufale gadulstwo Marty. Poczęła nawet w nim smakować, a była bardzo niekontenta, gdy Marta przerywała lub wychodziła z domu. Bajki, które jej opowiadała Ayah w Indiach, różne były zupełnie od opowieści Marty o chacie wśród stepu i o czternaściorgu ludziach, którzy mieszkali w małych czterech izdebkach i nigdy dosyć do jedzenia nie mieli. Dzieci skakały jak gromadka dzikich, pocziwych kózek. Mary czuła najwięcej sympatii do matki i Dicka. Wszystko to, co Marta opowiadała o „matce”, było jakieś miłe i pocziwe.

— Ja bym się też chętnie pobawiła z młodym liskiem albo wroną — rzekła Mary. — Ale nic nie mam!

Marta spojrzała z ogromnym zdziwieniem.

— Umie panienka robić pończochę? — spytała.

— Nie — odparła Mary.

— A szyć?

— Nie.

— No, a czytać?

— Umiem.

— To czemuż sobie panienka nie poczyta albo się nie pouczy trochę? Panienka już duża, powinna by się uczyć!

— Kiedy bo widzisz, nie mam książek — odparła Mary. — Te, które miałam, pozostały tam, w Indiach.

— O, to szkoda! — rzekła Marta. — Dobrze by było, gdyby pani Medlock pozwoliła panience pójść do biblioteki. Tam dopiero moc książek!

Mary nie zapytała, gdzie się znajduje biblioteka, bowiem natknęła ją myśl nowa. Postanowiła sobie sama pójść ją znaleźć. Mniejsza o panią Medlock! Toż siedziała ona ciągle na dole, w swoim wygodnie urządzonej saloniku. W tym dziwnym domu rzadko się kogoś widziało. W ogóle widywało się tylko służbę, która pod nieobecność pana żyła

jak u Pana Boga za piecem; pomieszczeniem ich była ogromna kuchnia z błyszczącymi rondlami i równie olbrzymia sala, gdzie jadali pięć razy dziennie bardzo obficie, a baraszkowali wesoło, gdy pani Medlock nie było.

Posiłki Mary podawane były regularnie. Usługiwała jej Marta, lecz poza tym nikt się o nią zupełnie nie troszczył. Pani Medlock odwiedzała ją codziennie lub co drugi dzień, lecz nikt nie spytał o to, co robi, nikt jej nie rozkazał, co ma robić. Mary myślała, że to może angielski sposób wychowania dzieci. W Indiach uważała wciąż na nią Ayah, która jej towarzyszyła wszędzie i obsługiwała na każdym kroku. Nieraz dziewczynka była zmęczona jej towarzystwem. Teraz nikt za nią nie chodził, co więcej: uczyła się sama ubierać się, gdyż Marta patrzyła na nią jak na wariata albo głuptasa, kiedy sobie kazała podawać lub kłaść na siebie to i owo.

Pewnego razu, kiedy Mary stała, czekając, aż jej Marta rękawiczki nałoży, ta wykrzyknęła:

— Czy panienka ma źle w głowie? Nasza Zuzia jest dwa razy dzielniejsza od panienki, a ma dopiero cztery lata. Czasem to mi się coś zdaje, że panienka nie ma całkiem dobrze w głowie.

Mary dąsała się potem przez godzinę, lecz dało jej to znów całkiem nowe myśli.

Ranka tego, gdy Marta, wyczyściwszy kominek, wyszła z pokoju, Mary stała czas pewien przy oknie. Myślała o tym, co jej przez głowę przeszło, gdy usłyszała o bibliotece. Nie chodziło jej znów tak bardzo o bibliotekę, bo w ogóle mało jeszcze czytała; lecz wzmianka o bibliotece przywiodła jej na pamięć owych sto pokoi o drzwiach zamkniętych. Ciekawa była, czy wszystkie są doprawdy zamknięte i co by było, gdyby mogła się do którego z nich dostać. Czy też ich było rzeczywiście aż sto? Czemuż by nie miała pójść i porachować drzwi? W każdym razie będzie miała zajęcie, skoro nie może wyjść do ogrodu. Nie zwykła była<sup>21</sup> ona prosić o pozwolenie, by móc coś zrobić, nie miała pojęcia, co to jest „zwierzchność”, toteż na myśl jej nie przyszło prosić panią Medlock o pozwolenie chodzenia po domu, nawet gdyby ją była widziała<sup>22</sup>.

Otworzyła drzwi, wyszła na korytarz i zaczęła wędrowkę. Był to długi bardzo korytarz, rozgałęziający się w kilku kierunkach; przechodzić musiała różne schodki, raz w górę, to znów na dół wiodące. Drzwi i drzwi bez końca — na ścianach mnóstwo obrazów. Czasem były to ciemne, poczerniałe pejzaże, lecz najwięcej było portretów mężczyzn i kobiet w dziwnych, pysznych strojach z atlasu i aksamitu. Wreszcie Mary ujrzała się w długiej galerii, której ściany zawieszono całkowicie portretami. Nie przypuszczała, żeby w jednym domu mogło ich być aż tyle. Wolno szła przez galerię, przyglądając się wszystkim twarzom, które ze swej strony zdawały się spoglądać na nią. Mary miała uczucie, że chcieliby wiedzieć, co tutaj wśród nich robi ta mała dziewczynka, która przybyła z Indii. Niektóre portrety przedstawiały dzieci — małe dziewczynki w ciężkich jedwabnych sukniach, sięgających im aż do stóp i szeroko odstających, chłopców z bufiastymi rękawami, kolorowymi kołnierzami, długimi lokami lub z krzami naokoło szyi. Mary zatrzymywała się przed portretami dzieci i byłaby chciała wiedzieć ich imiona, kto byli, dokąd odeszli i dlaczego tak dziwnie byli ubrani. Była tam między innymi mała, sztywna dziewczynka, bardzo do Mary podobna. Miała suknię z zielonej brokateli, a na ręku trzymała zieloną papuzkę. Oczy jej miały przenikliwy, ciekawy wyraz.

— Gdzie teraz jesteś? — głośno spytała Mary. — Bardzo bym chciała, żebyś była tutaj.

Pewno żadne dziecko jeszcze nie spędziło tak dziwnego poranka. Zdawać by się mogło, że w tym ogromnym, dziwnym domu nie ma żyjącej istoty prócz małej Mary, wędrującej w górę i na dół, szerokimi i wąskimi korytarzami, po których, jak jej się zdawało, nikt prócz niej nigdy nie chodził. Skoro zbudowano aż tyle pokoi, to przecież musieli tu ludzie mieszkać, lecz teraz było tu tak pusto, że się Mary w głowie nie chciało pomieścić, żeby to wszystko mogło być prawdą.

Dopiero gdy dotarła na drugie piętro, dziewczynka pomyślała o naciśnięciu klamki. Wszystkie drzwi były zamknięte, jak powiedziała pani Medlock, lecz w końcu Mary

<sup>21</sup>nie zwykła była — konstrukcja daw. czasu zaprzeczonego, tj. wyrażająca czynność wcześniejszą od tej wyrażonej zwykłym czasem przeszłym.

<sup>22</sup>była widziała — konstrukcja daw. czasu zaprzeczonego, tj. wyrażająca czynność wcześniejszą od tej wyrażonej zwykłym czasem przeszłym.

położyła rączkę na klamce i nacisnęła. Na chwilę strach ją opanował, bowiem poczuła, że klamka otwiera się bez trudności, a gdy popchnęła drzwi, otworzyły się one z wolna. Były to ciężkie, masywne drzwi, prowadzące do wielkiej sypialni. Były tam haftowane portiery, a meble inkrustowane<sup>23</sup>, jakie widziała w Indiach, stały w pokoju. Szerokie, staroświeckie okno z małymi, w cynę oprawnymi szybami, otwierało widok na step; zaś nad kominkiem był drugi portret owej małej, sztywnej dziewczynki, która zdawała się patrzeć na Mary więcej jeszcze zdziwiona.

„Może ona tutaj niegdyś sypiała — pomyślała Mary. — Patrzy na mnie, aż mi się nieprzyjemnie robi”.

Po czym zaczęła otwierać drzwi jedne po drugich. Widziała taką moc pokoi, że ją to zmęczyło, i pomyślała, że pewnie ich jest sto, choć ich zliczyć nie mogła. A we wszystkich prawie były stare obrazy i stare makaty i gobeliny o bogatych wzorach.

W jednym pokoju, który miał wygląd buduaru, portrety były z haftowanego cudnie welwetu, a w szklanej gablotce znajdowało się sto słoni z kości słoniowej. Były one różnych rozmiarów, niektóre miały na grzbiecie palankiny<sup>24</sup> lub ujeżdźaczy swych Hinduśców. Jedne były bardzo duże, inne mniejsze, niektóre zaś tak małe, że wyglądały jak dzieci. Mary widziała rzeźby z kości słoniowej w Indiach, a o słoniach wiedziała wszystko. Otworzyła drzwi gabloty, weszła na stołeczek i długo, długo się bawiła. Gdy ją to zmęczyło, ustawiła słonie w porządku i gablotę zamknęła.

Podczas całej swej długiej wędrówki po korytarzach i pustych pokojach nie dostrzegła żywej istoty; lecz tutaj coś dojrzała. Kiedy zamykała gablotę, usłyszała delikatniuchny szelest. Skoczyła, rozejrzała się dokoła i wzrok jej padł na sofkę przed kominkiem, skąd odgłos zdawał się dochodzić. W narożniku sofy była poduszka, a w aksamicie, który ją pokrywał — dziura; z dziury wyglądała para wystraszonych oczek.

Mary ostrożnie podeszła bliżej, by się przyjrzeć. Oczki należały do małej szarej myszki, która wygryzła dziurę w poduszce i wygodnie urządziła sobie mieszkanko. Sześć malutkich myszek skulonych spało obok niej. Jeżeli nikogo tu nie było, było w każdym razie siedem myszek, które na samotne nie wyglądały.

„Żeby się one nie bały, to bym je z sobą zabrała” — pomyślała Mary.

Długo, długo wędrowała, wreszcie poczuła się zbyt zmęczona, by wędrować dalej, i zawróciła z powrotem. Dwa lub trzy razy zmyliła drogę, wszedłszy na inny korytarz, i musiała błędzić, zanim trafiła na właściwy: lecz wreszcie dotarła na swoje piętro, jakkolwiek od swego pokoju była jeszcze daleko i nie wiedziała dobrze, gdzie się znajduje.

— Zdaje mi się, że znów złą drogą idę — rzekła do siebie, przystając, jak jej się zdawało, na końcu krótkiego pasażu z ścianami osłoniętymi makatami. — Teraz nie wiem, w którą iść mam stronę. A, jaka też cisza!

Właśnie kiedy tak stała i wyrzekła te słowa, ciszę przerwały jakieś odgłosy. Był to znów płacz, lecz inny niż w nocy; był to tylko urwany, krótki, zły wrzask niegrzecznego dziecka, stłumiony przez grube mury.

„Teraz to o wiele bliżej było niż wtedy — pomyślała Mary z bijącym serduszkiem. — No i to znów płacz!”.

Przypadkowo wsparła się ręką o ścianę pokrytą zasłoną i w tejże chwili odskoczyła przerażona. Zasłona ukrywała drzwi, które się rozwarły i ukazały dalszy ciąg korytarza, a w nim panią Medlock z pękiem kluczy i bardzo zagniewaną miną.

— Co tu panienka robi? — rzekła, biorąc Mary za rękę i pociągając za sobą. — Co panienka ma zapowiedziane?

— Zbłądziłam — tłumaczyła się Mary. — Nie wiedziałam, w którą stronę iść, gdy usłyszałam, że ktoś płacze.

Nienawidziła pani Medlock w tej chwili, lecz znenawidziła ją gorzej jeszcze w następnej.

— Nie słyszała panienka żadnego płaczu, ani nic podobnego — rzekła ochmistrzyni. — Proszę zaraz iść do swego pokoju albo dostanie panienka za uszy.

I wzięwszy ją za rękę, ciągnęła za sobą, czasem popychając przez jeden i drugi korytarz, póki jej nie wypchnęła do jej pokoju.

<sup>23</sup>inkrustowany — zdobiony techniką *inkrustacji*, polegającą na wydrążaniu wgłębień w drewnie i wypełnianiu ich drewnem innego gatunku i koloru, względnie kością słoniową, metalem itp.

<sup>24</sup>palankin — zadaszone siedzisko ustawiane na grzbiecie zwierzęcia; rodzaj lektyki.

— Teraz proszę siedzieć tam, gdzie panience każą, inaczej zamknę się panienkę na klucz. Pan by powinien dać panience nauczycielkę, jak to zresztą mówił. Panienkę to trzeba bardzo krótko trzymać, a ja mam bez tego dosyć do roboty.

Wyszła, trzaskając za sobą drzwiami, a Mary usiadła przed kominkiem blada z wściekłości. Nie płakała, lecz zgrzytała zębami.

— A jednakże ten ktoś płakał... płakał i już! — rzekła do siebie.

Dwa razy już słyszała, no i dojdzie ona do źródła tego płaczu. W ogóle dużo rzeczy różnych odkryła tego ranka. Miała uczucie, że była w dalekiej podróży; w każdym razie nie nudziła się przez cały ten czas, bawiła się słoniami i widziała szarą myszkę z dziećmi w gniazdku z aksamitnej poduszki.

## ROZDZIAŁ VII. KLUCZ OD OGRODU

W dwa dni po tym wszystkim Mary, otworzywszy z rana oczy, usiadła niezwłocznie na łóżku i zawołała Martę.

— Spójrzj na step! Spójrzj! — zawołała.

Deszcz ustał, a szarą mgłą i obłoki w nocy wiatr rozwiął. Wiatr także ucichł, a ponad stepem jaśniała świetna, ciemnoszafirowa kopuła niebios. Mary nigdy, nigdy nie myślała, by niebo mogło być tak szafirowe. W Indiach bywało rozpalone, płomienne; tutejsze miało głęboki, chłodny błękit, niby jeziora bezdenne, a tu i ówdzie, wysoko, wysoko płynęły małe, śnieżno-białe obłoki. Rozległy obraz stepu sam poblękitniał, porzucając swą ciemną, szaro purpurową, smutną szatę.

— Aha! — rzekła Marta z radością. — Huragan ustał. Zwykle tak bywa o tej porze roku. Jedna noc i już go nie ma, jakby udawał, że nigdy tu nie bywa i być nie myśli.

— A ja myślałam, że w Anglii ciągle pada i ciemno — odparła Mary.

— Oj, co to, to nie! — rzekła Marta, siadając na piętach wśród swych szczotek i czernidła.

— Yorkshire to najśłoneczniejsze miejsce na świecie, jak słońce świeci. Zaraz mówiłam, że tylko poczekać trochę, to już panienka stepy polubi. A niech tylko panienka poczeka, aż zakwitnie janowiec i żarnowiec żółty, a wrzosa czerwona, a niech no motylki zaczną latać, a pszczołki brzęczeć, a skowronki śpiewać! To panienka o wschodzie słońca będzie chciała w step polecieć i dzień cały po nim biegać jak Dick!

— A czy będę mogła tam pójść? — spytała Mary smutno, patrząc przez okno na daleki błękit. Było to dla niej nowe, potężne, przedziwne i tak niebiańsko błękitne!

— Bo ja wiem? — odparła Marta. — Panienka nigdy nog nie ćwiczyła, odkąd panienka żyje na świecie, tak mi się coś zdaje. Nie uszlaby panienka pięciu mil angielskich. Bo pięć mil jest stąd do naszej chatki!

— Chciałabym bardzo widzieć wasz dom.

Marta ze zdziwieniem i ciekawością spojrziała na nią, po czym zaczęła znów czyścić kominek. Pomyślała sobie, że ta drobna mała twarzyczka nie wygląda wcale na taką skwaszoną jak owego pierwszego ranka, kiedy tu przybyła. Była raczej podobna do małej Zuzi, gdy ta o coś bardzo prosiła.

— Poradzę się matki co do tego — rzekła. — Ona jest jedną z tych, co zawsze wiedzą, jak się do czego wziąć. Dzisiaj moje wychodne i idę do domu. Oj! Jakam też rada! Pani Medlock bardzo matkę szanuje. Może będzie matka mogła z nią pomówić.

— Lubię twoją matkę — rzekła Mary.

— Wierzę — przyznała Marta, nie przerywając czyszczenia.

— Nigdy jej nie widziałam — dodała Mary.

— Wiem — odrzekła Marta.

Usiadła na piętach, potarła koniec nosa ręką, jakby zdziwiona na chwilę, po czym dodała stanowczo:

— Tak, matka jest dobra, pracowita i wesoła, i porządna, że nie można jej nie lubić, czy ją się zna, czy nie. Jak w moje wychodne idę do domu, to skaczę z radości, jak już na wrzosa wchodzę.

— I Dicka też lubię, a nie widziałam go nigdy — dodała Mary.

— Ano, toć powiedziałam panience — odparła Marta z godnością — że nawet ptaki go lubią i króliki, i owce dzikie, a nawet i lisy. Ciekawa jestem, co by Dick o panience powiedział? — dodała, patrząc na Mary w zamyśleniu.

— Nie lubiłby mnie — powiedziała na swój dawny, szorstki sposób. — Nikt mnie nie lubi.

Marta znów się zamyśliła.

— A czy panienka lubi samą siebie? — zapytała takim tonem, jakby rzeczywiście chciała wiedzieć.

Mary zawahała się chwilkę i zastanowiła się.

— Doprawdy, wcale nie — odrzekła. — Ale nigdy przedtem o tym nie pomyślałam.

Marta skrzywiła się zabawnie, jakby przypominając coś sobie.

— Matka tak do mnie raz powiedziała. Stała przy balii, a ja byłam zła i zaczęłam wygadywać na ludzi, a ona odwraca się do mnie i mówi: „Ty mała czarownico! Co ty sobie myślisz, żeby mówić: »tego nie lubię, a tamtego nie lubię«. A siebie lubisz?”. Roześmiałam się i zaraz się opamiętałam.

W doskonałym humorze pobiegła do domu, skoro tylko podała Mary śniadanie. Miała zrobić pięciomilowy spacer i pomóc matce uprać, i upiec chleba na tydzień, i całą duszą się radować.

Mary pod jej nieobecność czuła się więcej samotna<sup>25</sup> niż zwykle. Wyszła do ogrodu jak mogła najspieszniej i najpierw obiegła ogród z fontanną dziesięć razy dokoła. Liczyła starannie, ile razy przebiegła, a gdy skończyła, poczuła się w lepszym humorze. Słońce nadawało całkiem inny wygląd całemu ogrodowi. Wysoka, błękitna kopuła niebios zaciągała się i nad Misselthwaite, a Mary, w górę podniósłszy główkę i patrząc w niebo, rozmyślała nad tym, jakie by się miało uczucie, żeby tak można położyć się na jednym z owych śnieżnobiałych obłoczków i hen w dal popłynąć. Weszła potem do pierwszego ogrodu warzywnego i zastała tam Bena Weatherstaffa z dwoma innymi ogrodnikami. Wydawać by się mogło, że zmiana powietrza i na niego dobrze wpłynęła. Pierwszy do niej zagadał.

— Wiosna się zbliża — rzekł. — Czuje panienka?

Mary poczęła wciągać noskiem powietrze i zdawało jej się, że poczuła.

— Czuję coś ładnego, świeżego, wilgotnego — odparła.

— To ta kochana bogata ziemia — odparł ogrodnik, kopiąc dalej. — Wesoła ona, że już gotowa do przyjęcia ziarna w swe łono. Wesoła ona, jak czas siewu nadchodzi. Nudno jej zimą, jak nie ma nic do roboty. W ogrodach kwiatowych zaczną roślinki kielkować. Słoneczko je ogrzewa. Niedługo już zobaczy panienka, jak małe zielone kielki z ziemi czarnej wychodzą.

— A co z nich będzie? — spytała Mary.

— Krokusy, pierwiosnki, narcyzy. Zna je panienka?

— Nie, nie znam. Po deszczach w Indiach wszystko jest zielone — rzekła Mary — i mnie się zdaje, że tam w jedną noc wszystko wyrasta.

— Nasze kwiatki nie wyrastają w noc jedną — rzekł Ben Weatherstaff. — Będzie panienka musiała na nie poczekać. Tutaj wyrosną trochę wyżej, tam znów wypuszczą parę kielków więcej, tu jednego dnia listek rozwiną, innego dnia inny. A panienka niech ich pilnuje.

— Ach i jak chętnie! — wykrzyknęła Mary.

Niebawem usłyszała cichy lot w powietrzu i wiedziała od razu, że to gil. Był strasznie śmiały, ożywiony i skakał tak blisko jej nóg, i przechylał główkę, i tak przebiegłe na nią patrzył, że dziewczynka spytała ogrodnika:

— Jak myślicie, czy on mnie pamięta?

— Czy pamięta panienkę? — odrzekł Ben oburzony. — Toć on zna każdy głąb kaptusy w ogrodzie, a nie miałby znać ludzi! Przedtem nigdy on tu nie widział dziewczyny, więc teraz sobie postanowił panienkę poznać. Przed nim to i nie trzeba nic ukrywać.

— A czy w tym ogrodzie, w którym on ma gniazdko, też już roślinki puszczają kielki? — indagowała<sup>26</sup> Mary.

<sup>25</sup>więcej samotna — dziś popr. bardziej samotna.

<sup>26</sup>indagować — dopytywać się, wypytywać; prowadzić śledztwo.



— W jakim znów ogrodzie? — zamamrotał stary, przybierając swój niemiły wygląd.

— No w tym, gdzie to rosną stare krzaki róż. — Nie mogła powstrzymać się od pytania, tak bardzo bowiem pragnęła wiedzieć coś pewniejszego. — Czy tam wszystkie kwiatki umarły, czy też jeszcze niektóre ożywają się na wiosnę? A czy są tam zawsze róże?

— Niech panienka zapyta *jego* — i Ben Weatherstaff skinął głową w kierunku gila. — On jeden coś o tym wie. Nikt inny nie zajął tam od dziesięciu lat.

„Dziesięć lat to strasznie dawno” — myślała Mary. Ona się urodziła dziesięć lat temu.

Odeszła z wolna, pograżona w myślach. Zaczęła lubić ów ogród, tak samo, jak zaczęła lubić gila i Dicka, i matkę Marty. Zaczęła lubić i Martę. Strasznie jakoś dużo było do lubienia — tym bardziej, jak się lubić poprzednio nikogo i nic nie umiało. O gilu myślała jak o „osobie”. Poszła na swój ulubiony spacer, wzdłuż długiego okrytego bluszczem muru, ponad którym dostrzec mogła wierzchołki drzew; a kiedy drugi raz przechodziła wzdłuż muru, spotkało ją coś dziwnego i podniecającego, a wszystko przez ogrodnikowego gila.

Usłyszała świergot, a spojrzawszy na огоłocony klomb, po lewej ręce ujrzała ptaszka skaczącego i udającego, że wydziobuje coś z ziemi, żeby nie myślała, że za nią tu przyleciał. Ale Mary wiedziała, że właśnie za nią podążył, i zdumienie, a równocześnie radość taka ją opanowała, że poczęła drzeć.

— Więc mnie pamiętasz! Pamiętasz! — wołała radośnie. — Jesteś najśliczniejszy na całym świecie!

Świergotała, szczebiotała, przypochlebiała się, a on skakał i ogon rozkładał i ćwierkał. Zdawało się, że rozmawia. Czerwona kamizelka jego była jak jedwabna i drobną pierś wydymał, i puszył się, i był przy tym taki drobny, a taki śliczny, jakby rzeczywiście chciał jej pokazać, że to gil może być podobny do człowieka. Mary zapomniała, że kiedykolwiek w życiu była rozkapryszona, gdy ptaszek pozwolił jej coraz więcej do siebie się zbliżyć i nachylić się, i rozmawiać, i usiłować wydawać dźwięki do świergotu jego podobne.

Och! I pomyśleć, że on jej pozwolił tak blisko do siebie podejść! Wiedział on dobrze, że za nic na świecie nie wyciągnęłaby do niego ręki i nie wystraszyła najdrobniejszym ruchem. Wiedział, bo był jak prawdziwy człowiek — tylko z wszystkich ludzi najśliczniejszy. Mary tak była szczęśliwa, że lękała się odetchnąć.

Klomb nie był goły zupełnie. Nie było w nim tylko kwiatów — zaś zimnotrwale przycięto, lecz były od tyłu klombu mniejsze i większe strzyżone krzewy, a podczas gdy tak gil skakał wśród nich, spostrzegła, że przeskoczył grudkę świeżo poruszonej ziemi. Przystanął na niej, by poszukać owada. Ziemia była poruszona przez psa, który usiłował schwycić kreta i wydrapał głęboką jamę.

Mary patrzyła, nie wiedząc, skąd się tu wzięła taka głęboka dziura, a patrząc dostrzegła coś na pół zagrzebanego w świeżo wyrzuconej ziemi. Było to coś w rodzaju kółka z mocno rdzą okrytego żelaza lub mosiądzu, a gdy ptaszek pofrunął na pobliskie drzewo, Mary wyciągnęła rękę i przedmiot ów podniosła. Było to jednak coś więcej niż kółko; był to stary klucz, który wyglądał tak, jakby od dawna był zagrzebany w ziemi.

Mary stała i przestraszona przyglądała się wiszącemu jej na palcu kluczowi.

„A może go zagrzebano dziesięć lat temu — rzekła sobie w duchu. — Może to klucz od ogrodu!”.

## ROZDZIAŁ VIII. GIL WSKAZAŁ DROGĘ

Długo patrzyła na klucz. Obracała go na wszystkie strony i rozmyślała. Jak już wyżej powiedziano, Mary nie przywykła była prosić starszych o pozwolenie lub o radę. A o kluczu tak sobie myślała, że jeśli to klucz od zamkniętego ogrodu, a ona by znaleźć mogła drzwi, to by je może mogła otworzyć i zobaczyć, co się tam dzieje za murem i co się stało z tymi krzakami róż. Pragnęła go zobaczyć i dlatego, że od tak dawna był zamknięty. Wystawiała sobie<sup>27</sup>, że musi on być odmienny i że coś niezwykłego musiało się w nim stać przez lat dziesięć. Poza tym jeżeli go polubi, będzie mogła co dzień doń chodzić i drzwi zamknąć za sobą, i będzie sobie mogła urządzić zabawę, i bawić się sama, bo nikt nie będzie wie-

<sup>27</sup> *wystawiać sobie* (daw.) — wyobrażać sobie.

dział, gdzie jest, myśleć będą, że drzwi są zamknięte jak od lat, a klucz gdzieś w ziemi pochowany. Myśl ta podobała jej się strasznie.

Życie, jakie tu wiodła, sama w domu o stu tajemniczo zamkniętych pokojach, brak jakiegokolwiek rozrywki, wszystko to pobudziło do pracy jej leniwy dawniej umysł i poczęło rozbudzać imaginację. Nie ulega kwestii, że świeże, jędrne, czyste powietrze ze stepu przyczyniało się do tego niemało. Jak ono dało jej apetyt, a walka z wiatrem krew rozbudziła, tak fakty wzbudziły umysł. W Indiach było jej zawsze za gorąco, czuła się zbyt znużona i słaba, by pragnąć czegośkolwiek, lecz tu zaczynała chcieć i pragnąć nowych wciąż czynności. Czuła się już o wiele mniej kapryśna, choć nie zdawała sobie sprawy dlaczego.

Włożyła klucz do kieszonki i poczęła chodzić tam i z powrotem. Zdawało się, że tu nikt nie przychodził prócz niej, mogła więc iść powolutku i patrzeć na mur, a raczej na okrywające go bluszcze. Bluszcz był największą przeszkodą w odnalezieniu drzwi. Jakkolwiek starannie się przyglądała, nie mogła nic dostrzec, prócz gęsto rosnących, świecących, ciemnych liści. Była strasznie rozczarowana. Opanował ją dawniejszy zły humor, gdy tak kroczyła wzdłuż muru, spoglądając żałośnie na rosnące za nim drzewa. Takie jej się to wydało głupie, żeby być tak blisko, a nie móc dotrzeć do celu. Wracając do domu, zabrała klucz z sobą, chowając go do kieszonki i postanawiając nie rozstawać się z nim nigdy, aby, na wypadek gdyby furtkę znalazła, móc ją niezwłocznie otworzyć.

Pani Medlock pozwoliła Marcie przemocować w domu, wszakże nazajutrz od samego rana była już przy robocie, różowsza niż zwykle i w złotym humorze.

— Wstałam dzisiaj o czwartej — rzekła. — Oj, jak też cudnie było na wrzosach, jak się ptaszki budzić zaczęły, a króliki gonić, a słońeczko wschodzić. I nie potrzebowałam całą drogę iść pieszo, bo mi pewien człowiek pozwolił przysiąść się na wozie, więc użyłam ci ja, użyłam!

Pełna była rozkosznych wspomnień z dnia ubiegłego. Matka była taka rada, że ją widzi, że prawie i pieczenie odłożyła na inny raz. Marta upiekła dla każdego dziecka ciastko z powidłami.

— Były jeszcze gorące, prosto z pieca, jak dzieci wrócili. A w izbie tak ślicznie pachniało świeżym pieczywem i ogień był dobry na kominie, więc wszystko aż piszczało z radości. A nasz Dick powiedział, że nasz dom taki śliczny, że i król mógłby w nim mieszkać.

Wieczorem usiedli dookoła komina. Marta z matką łątały podartą odzież i cerowały pończochy, a Marta opowiadała rodzeństwu o małej dziewczynce, która przybyła z Indii i której usługiwali „czarni”, i tak za nią wszystko robili, że teraz sama nie umie pończoszek włożyć na nogi.

— Oj, jak oni też lubią słuchać opowiadania o panience — rzekła Marta. — Wszystko zaraz chcieli wiedzieć i o „czarnych”, i o okręcie, na którym panienka przyплыnęła. Nie mogłam się dosyć naopowiadać.

Mary się zastanowiła.

— Opowiem ci jeszcze wiele różnych rzeczy przed twoim następnym wychodnym, żebyś miała więcej do opowiedzenia rodzeństwu — rzekła. — Myślę, że radzi będą słyszeć, jak się jeździ na słoniach i wielbłądach i o polowaniach na tygrysy.

— O mój Boże! — wykrzyknęła Marta zachwycona. — A toć oni chyba głowę stracą z radości. I naprawdę panienka opowie? To będzie zupełnie tak, jakby widzieli takiego dzikiego zwierza, jakiego tu raz podobno pokazywali w York.

— Indie nie są wcale podobne do Yorkshire — rzekła Mary i zastanowiła się nad tym. — Nie pomyślałam o tym nigdy. Czy Dick i matka twoja lubią słyszeć o mnie?

— Ano Dickowi to mało oczy na wierzch nie wylazły — odparła Marta. — Ale matka to się martwi, że panienka jest tu taka samusienka. I mówi: „Czy to jeszcze pan nie dał jej nauczycielki albo bony?”. A ja mówię: „Nie, nie dał, choć pani Medlock mówi, że da, jak o tym pomyśli, ale też mówi, że może być, że i za trzy lata nie pomyśli o tym”.

— Nie chcę nauczycielki — ostro rzuciła Mary.

— Ale matka mówi, że panienka już się powinna uczyć i mieć kogoś, co by na panienkę uważał, i powiada: „A ty sobie pomyśl, jakby ci było w takim ogromnym pustym domu samej zupełnie, bez matki. Staraj się jak możesz, żeby ją zabawić”. A ja powiedziałam matce, że się będę starała rozweselić panienkę.

Mary spojrzała na mówiącą długo, poważnie.

— I rozweselasz mnie bardzo — rzekła. — Lubię, gdy mówisz.

W tej chwili Marta wyszła z pokoju i wróciła niebawem, niosąc coś pod fartuchem.

— Co też panienka powie, żem panience przyniosła prezent — rzekła wesoło.

— Prezent? — zawołała Mary zdziwiona. Skąd z tego biednego domku można było przynieść prezent?

— Przejeżdżał koło nas taki Węgier — objaśniała Marta. — Zatrzymał się przed naszymi drzwiami. A miał kociolki, rondelki, garnuszki i przeróżne rzeczy, lecz matka nie miała pieniędzy, żeby móc coś kupić. Ale gdy już odjeżdżał, nasza mała Elżbietka zawołała: „Mamo, on ma skakanki z czerwonymi i niebieskimi rączkami”. A matka nagle zawołała: „Niech no się pan zatrzyma! Po czemu<sup>28</sup> skakanka?”. A on mówi: „Dwa pensy”, a matka zaczęła w kieszeni szukać i mówi do mnie: „Marta, przyniosłaś pewnie zasługi<sup>29</sup>, boś przecie poczciwe dziewczę; mam ci ja do kupienia co prawda akurat cztery rzeczy po pensie, ale doprawdy wołę za dwa pensy skakanekę kupić temu dziecku” i kupiła, i oto ona!

Wyciągnęła sznur spod fartuszka i z dumą rozłożyła. Była to mocna, cienka linka z rączką w paski czerwone i niebieskie na każdym końcu, lecz Mary nigdy przedtem nie widziała skakanki. Patrzyła więc zdziwiona.

— Do czego to jest? — spytała ciekawie.

— Do czego? — wybuchnęła Marta. — Czy to panienka w Indiach nie widziała skakanki, choć widziała słonie i wielbłądy, i tygrysy? Nie dziwno mi, toż tam najwięcej „czarnych”. A teraz niech no panienka patrzy, do czego to jest.

I pobiegłszy na środek pokoju, ujęła sznur w obie ręce, a przerzucając go, poczęła skakać, skakać, skakać, podczas gdy Mary jej się przyglądała, a dziwne twarze ze starych portretów zdawały się też na nią patrzeć i dziwić, jak ta mała wieśniaczka śmie im tu pod nosem tańczyć. Lecz Marta nawet nie spojrzała na nich. Zainteresowanie i ciekawość, malujące się na twarzyczce panny Mary, podniecały ją i skakała, i liczyła, i skakała, póki nie doliczyła do stu.

— Mogłabym jeszcze dłużej skakać — rzekła przystając. — Jakem miała<sup>30</sup> dwanaście lat, tom skakała do pięciuset, ale nie byłam taka tęga jak teraz i miałam więcej wprawy.

Mary wstała z krzesła, czując się strasznie podniecona.

— Ślicznie to wygląda — rzekła. — Twoja matka jest bardzo dobra. Czy myślisz, że mogłabym i ja tak skakać?

— Właśnie niech panienka próbuje — nalegała Marta, podając jej skakanekę. — Pierwszy raz to panienka do stu nie dociągnie, ale jak się panienka wprawi, to i dalej dojdzie. Tak mówi matka i powiada: „Nic jej się lepiej nie przyda od skakanek. To najwłaściwsza zabawa dla dziecka. Niech się na świeżym powietrzu bawi i skacze, to jej wzmocni ręce i nogi, i mięsny<sup>31</sup> wyrobi”.

To prawda, że Mary nie miała herkulesowych sił, gdy zaczęła skakać. I nie szło jej zbyt zręcznie, ale tak jej się podobało, że jej żal było przestać.

— Niech no panienka się ubierze i idzie poskakać na dworze — rzekła Marta. — Matka mi kazała powiedzieć, żeby panienka jak najwięcej na świeżym powietrzu się bawiła, nawet choćby padało, trzeba się ciepło przyodzierać i pójść.

Mary nałożyła płaszczyk i kapturek i skakanekę przerzuciła przez ramię. Otworzyła drzwi, by wyjść, lecz nagle coś sobie przypomniała i z wolna zawróciła.

— Marto — rzekła — to były twoje zarobione pieniądze. Te dwa pensy były twoją własnością. Dziękuję ci. — Powiedziała to sztywno, bo nie zwykła była ani dziękować, ani zwracać uwagę na to, że ktoś coś dla niej zrobił. — Dziękuję ci — powtórzyła, wyciągając rękę, nie wiedziała bowiem, co zrobić.

Marta niezgrabnie potrząsnęła jej rękę, jakby zupełnie nie znała tej formy. Potem się rozśmiała.

— Eh! Panienka to taka mała-stara — rzekła. — Żeby to była nasza Elżunia, to by mnie była uściskała.

Mary wyglądała na sztywniejszą niż zwykle.

— Chcesz, bym cię pocałowała?

<sup>28</sup>po czemu — dziś: po ile (pytanie o cenę).

<sup>29</sup>zasługi — tu: wypłata; pieniądze otrzymywane za wykonaną pracę.

<sup>30</sup>jakem miała — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak miałam.

<sup>31</sup>mięśnie.

Marta zaśmiała się znowu.

— Ja nie chcę — odparła. — Żeby panienka była inna, to sama by może chciała. Ale mniejsza o to. Proszę teraz pobiegać ze skakanką.

Mary było już nieswojo, gdy wychodziła z pokoju. Lud tutaj był zaiste dziwny, a Marta była dla niej zagadką. Zrazu bardzo jej nie lubiła; teraz to się zmieniło.

Skakanka była bajeczna! Liczyła, skakała, skakała i liczyła, dopóki jej się policzki nie zaczerwieniły, a zajęło ją to jak dotąd nic od urodzenia. Słońce świeciło i powiewał lekki wietrzyk — nie wicher ostry, lecz powiew łagodny, niosący z sobą zapach świeżo poruszonej ziemi. Mary skakała wokoło ogrodu z fontanną i wzdłuż jednej i drugiej ścieżki. Wreszcie doszła do ogrodu warzywnego i tam ujrzała starego Bena, kopiającego i prowadzącego dysputę z gilem, który obskakiwał dokoła. W podrygach doszła aż do ogrodnika, który zdjął czapkę i począł jej się przyglądać z ciekawością. Ciekawa była, czy ją dostrzeże, a pragnęła bardzo, by widział, jak skacze.

— Ho, ho! — zawołał. — Jak mi Bóg miły! A toć może panienka naprawdę jest młoda i ma w żyłach krew dziecka, a nie kwaśne mleko. Jakem Ben Weatherstaff, tak panience mało krew z buzi nie tryśnie. Nie byłbym myślał, że panienka potrafi tego dokazać.

— Nigdy przedtem nie skakałam — rzekła Mary. — To dopiero początek. Doszłam tylko do dwudziestu razy.

— Tylko śmiało dalej! — odparł Ben. — Panienka i tak dosyć dobrze skacze, jak na kogoś, co tam mieszkał z poganami. Ot, jak to się panience przygląda — wskazał na gila. — Wczoraj to za panienką poleciał i dziś pewno znów poleci. Będzie naturalnie chciał wymiarkować, co to jest skakanka. Nigdy przecież jeszcze jej nie widział. — A kiwając głową w stronę ptaka, dodał: — Ej, jak się nie poprawisz, to zginiesz przez ciekawość!

Mary obiegła ze skakanką wszystkie ogrody i sad, odpoczywając co kilka minut. Wreszcie doszła do swego własnego miejsca spacerem i postanowiła sobie spróbować, czy przeskacze całą długość muru. Była to długa droga i zanim dziewczynka doszła do połowy, tak się zgrzała i zziąwała, że musiała przystanąć. Nie martwiła się zbytecznie, bo naliczyła już była do trzydziestu. Zatrzymała się z uśmiechem radości, gdy naraz spostrzegła gila kołyszącego się na długiej gałęzi powoju. Leciał za nią i pozdrawiał ją świergotem. Mary, skacząc ku niemu, poczuła w kieszeni coś ciężkiego, co ją uderzało po nóżkach przy każdym ruchu, a ujrawszy gila, zaśmiała się powtórnie,

— Wczoraj pokazałeś mi, gdzie się znajduje klucz — rzekła. — Powinieneś mi dzisiaj pokazać furtkę. Ale ty sam nie wiesz pewno!

Gil fruwał z bujającej się gałęzi bluszczu, usiadł na murze, dziobek roztworzył i zaśpiewał głośny, cudny trył, tylko tak sobie, „żeby się pokazać”. Nie ma pod słońcem nic równie uroczego jak gil, który się „chce pokazać” — a prawie zawsze gile to robią.

Mary Lennox nasłuchiwała się wiele o czarach w bajkach swej Ayah i zawsze później twierdziła, że to, co stało się w tej chwili, to oczywiście czary.

Po ścieżce wzdłuż muru przeleciał podmuch wiatru, silniejszy niż poprzednie. Był on dość silny, by zakołysać konarami drzew, a aż nadto silny, by rozgarnąć długie, zwieszające się z muru pędy nieprzycinanego bluszczu. Mary podeszła blisko do ptaszka i naraz wiatr odchylił luźne sploty, a dziewczynka ruchem nagłym poskoczyła, chwytając coś ręką. Pochwyliła coś, co dojrzała pod bluszczem — okrągłą gałkę, zakrytą liśćmi. Była to klamka od drzwi.

Mary wsunęła rączki pod liście i zaczęła je rozsuwać, rozgarniać na bok. Gęsto wiszący bluszcz tworzył jakby luźną, powiewną zasłonę, jakkolwiek niektóre gałęzie pięły się na drzewo i żelazo. Serce dziewczynki poczęło bić jak młotem, a ręce drżeć z szczęścia i podniecenia. A gil śpiewał i ćwierkał dalej, a główkę przechylał, jakby i on również czuł się podniecony. Cóż to było, co Mary poczuła pod ręką — kwadratowe, żelazne, z otworem do klucza w środku?

Był to zamek od drzwi od dziesięciu lat zamkniętego ogrodu; Mary wsunęła rączkę do kieszeni, wyciągnęła klucz i spostrzegła, że nadawał się zupełnie do zamku. Włożyła klucz i przekręciła. Musiała obu rączek użyć, lecz osiągnęła skutek.

A potem pełną piersią zaczerpnęła powietrza, spojrzała poza siebie na długą ścieżkę, czy nikt nie nadchodzi. Lecz nie było żywego ducha. Nikt tu nigdy nie przychodził — zdawać by się mogło — i Mary musiała powtórnie zaczerpnąć powietrza, przytrzymała bujającą się zasłonę bluszczu i popchnęła drzwi, które się otworzyły — wolno — wolno.

Wśliznęła się do środka i drzwi za sobą zamknęła, oparła się o nie plecami, rozglądając się dokoła i oddychając pośpiesznie z upojenia, szczęścia i rozkoszy.

Oto znajdowała się w tajemniczym ogrodzie!

## ROZDZIAŁ IX. NAJdziwniejszy dom

Było to tajemniczo wyglądające, najrozkoszniejsze miejsce, jakie sobie wyobrazić można. Wysokie mury, okalające ogród od wewnątrz, pokryte były bezlistnymi gałęziami pnących róż, tak gęstymi, że były zupełnie splątane. Mary poznała, że to są róże, ponieważ ich dużo widziała w Indiach. Ziemia pokryta była wszędzie zrudziałą od zimna trawą, wśród której wyrastały tu i ówdzie klomby krzewów, które gdyby zakwitły, okazałyby się różami. Było tam mnóstwo róż sztamowych, których pnie tak się porozrastały, że wyglądały jak drzewa. Było bowiem jeszcze wiele innych drzew w ogrodzie, a jakiś specjalny, czarowny urok nadawało mu to, że owe róże pięły się po owej drzewinie, puszczając w dół długie, wiotkie warkocze gałązek, chwytające się wzajem tu i ówdzie, czepiające się wyżej rosnących gałęzi i tworzące czarujące łuki i arkady zewnątrz. Nie było na nich teraz ni listków, ni kwiatów i Mary nie wiedziała, czy żyją, czyli też pomarły, lecz ich cienkie, wiotkie szaro-brunatne gałązki i pędy wyglądały jak mglista osłona, opadająca na mury i drzewa, a nawet na rude trawy, po których czołgały się ich wężowe skręty. I ta właśnie delikatna gmatwanina, zwieszająca się od drzewa do drzewa, nadawała ogrodowi taki tajemniczy urok. Mary przypuszczała, że wszakże musi on być odrębny od innych ogrodów, których nie zostawiono w zaniedbaniu tak długo; i istotnie różnił się on zupełnie od wszystkich, jakie w życiu swoim widziała.

— Jak też tu cicho! — wyszeptwała. — Jak cicho!

Poczekwała chwilkę i przysłuchiwała się ciszy owej. Gil, który na swoim przysiadł drzewie, zamilkł jak wszystko dokoła. Skrzydłem nawet nie poruszył; siedział znieruchomieły i spoglądał na Mary.

— Nic dziwnego, że taka cisza — zaszepotała znowu. — Wszak od dziesięciu lat ja pierwsza odzywam się tutaj.

Posunęła się od drzwi, stąpając tak cicho, jakby lękała się zbudzić kogokolwiek. Cieszyła się, że trawę ma pod stopami, która kroki jej tłumi. Przeszła pod jeden z szarych luków pomiędzy drzewami, spoglądając na tworzące go gałązki i pędy.

— Ciekawam bardzo, czy wszystkie róże uschły — rzekła. — Czy to ogród całkiem umarły? Chciałabym ogromnie, żeby tak nie było.

Gdyby Mary była starym Benem, byłaby umiała ocenić od razu, czy te drzewa żyją lub nie, lecz dostrzegała tylko wszędzie szare i brunatne gałązki bez najmniejszego śladu choćby najdrobniejszego pączka.

Lecz w każdym razie była oto *wewnątrz* tajemniczego ogrodu i miała uczucie, jakby znalazła sobie jakiś świat własny.

Słońce rzucało bogate snopy blasków na ten zamknięty w murach światek, a wysokie, błękitne niebios sklepienie wydawało się świetniejsze i cudniejsze jeszcze nad tym dziwnym zakątkiem Misselthwaite. Gil sfrunął z gałęzi i przeskakiwał za Mary z krzewów na krzewy, ćwierkał i miał strasznie zaferowaną minę, jakby jej chciał coś pokazywać. Wszystko dokoła dziwne było i ciszy pełne i zdawało się, że Mary jest setki mil oddalona od wszystkiego, co żyje, a jednakże nie czuła się wcale osamotniona w tej chwili. Jedyną jej troską była niepewność, czy wszystkie róże pomarły, czy też niektóre z nich ożyją i pąkiem wiosennym się okryją, gdy je słońce przygrzeje. Tak by nie chciała, żeby ten ogród był martwy. A jeśli to wszystko żyje, co za cud będzie, gdy owe tysiące róż rozkwitną na wsze strony!

Skakanka zwieszała jej się przez ramię, gdy tu weszła, a teraz, pochodziwszy chwilkę, postanowiła obskakać cały ogród dokoła, zatrzymując się od czasu do czasu, gdyby miała ochotę przyrzec się czemuś. Tu i ówdzie widniały ślady ścieżek wśród trawy, a w narożnikach były altany barwinku z kamiennymi wewnątrz ławkami i kamiennymi, omszałymi wazonami.

Kiedy Mary podeszła do jednej z altan, przestała skakać. Niegdyś musiał tu obok być kwietnik i zdawało jej się, że coś małego, zielonego wychyla się z czarnej ziemi —

kilka drobnych bladezielonych kielków. Przypomniała sobie, co mówił Ben Weatherstaff, i przyklękała na ziemi, by się lepiej przyjrzeć.

— Tak, te maleńkie, kielkujące roślinki to będą albo krokusy, albo pierwiosniki, albo narcyzy — szeptała radośnie.

Pochyliła się nad nimi i wdychała świeży zapach wilgotnej ziemi. Lubiała go bardzo.

— A może tam inne jeszcze rosną w innych miejscach — rzekła. — Przejdę przez ogród i popatrzę.

Nie skakała, lecz szła. Posuwała się wolno z oczyma utkwionymi w ziemię. Patrzyła na dawno zaniedbaną rabatę, zaglądała na trawniki, a obchodząc dokładnie dokoła, znajdowała coraz to więcej drobnych, bladoróżowych kielków i znów ją to nadzwyczaj podnieciło i uradowało.

— Nie, ogród ten wcale jeszcze nie martwy — cicho wyrzekła do siebie. — Choćby różę zmarniała, to jeszcze tyle innych żyje roślinek.

Wprawdzie Mary pojęcia nie miała o ogrodnictwie, wszakże wydało jej się, że gęsta trawa tak zarasta te miejsca, gdzie się kielki pokazują, że przyszło jej na myśl, iż biedne roślinki nie będą miały dość miejsca, by się rozrastać. Wyszukała zatem dość ostro zakończony kawałek drzewa i przy jego pomocy poczęła kopać i wyrwać trawę i chwasty, dopóki nie porobiła wkoło roślinek miejsc czysto odsłoniętych.

— Teraz mam uczucie, że mogą oddychać — rzekła, kiedy skończyła pierwszą partię. — O! Ale przecież zrobię o tyle więcej jeszcze! Będę robiła, ile będę mogła. Jeśli dziś nie podołam, to jutro znów przyjdę tu mogę!

Szła od miejsca do miejsca, kopała i pełta, a radość jej była ogromna i ciągnęło ją coś od klombu do klombu i na trawniki pod drzew cieniem. Ruch tak ją rozgrzał, że zrzuciła płaszczyk, potem kapturek i nie zdając sobie z tego sprawy, uśmiechała się wciąż do traw i do kielków zielonych.

Gil był strasznie zajęty. Kontent był bardzo, że nareszcie zaczęto pracę w jego państwie. Często się dziwował Benowi. Przecież tam, gdzie się ogród uprawia, mnóstwo dobrych rzeczy do jedzenia w ziemi się znajduje. No i nareszcie oto znalazł się jakiś rodzaj stworzenia, które nie było ani pół tak duże jak Ben, a jednak miało rozum przyjdź tu oto, do tego ogrodu i od razu zabrać się do roboty.

Mary pracowała w ogrodzie do chwili, w której czas było pójść na obiad. A naprawdę trochę późno sobie o tym przypomniała, a kiedy włożyła płaszczyk, kapturek i podniosła z ziemi skakankę, wierzyć jej się nie chciało, że pracowała dwie, a może i trzy godziny. Czuła się bardzo szczęśliwą cały czas; a teraz na oczyszczonych miejscach dostrzec było można setki zielonych pączków, wyglądających dwa razy milej i weselej niż przedtem, gdy je chwasty i trawy przytłumiały.

— Wrócę tu po południu — rzekła, rozglądając się po swym nowym królestwie, zwracając się do drzew i krzewów różanych, tajemniczego czaru pełnych.

Lekko przebiegła po trawach, rozwarła z trudem drzwi i wysliznęła się pod bluszczami. Miała tak czerwone policzki, takie śmiejące, blasków pełne oczy i zjadała obiad z takim apetytem, że Marta wybuchnęła zachwycona:

— Dwa kawałki mięsa i dwie porcje budyniu! To się dopiero matka ucieszy, jak jej powiem, co jej skakanka dobrego narobiła!

Mary znalazła, kopiąc swoim kijkiem, rodzaj białego korzonka podobnego do cebuli. Włożyła go na to samo miejsce, troskliwie okryła ziemią, a teraz ciekawa była, czy Marta będzie umiała jej powiedzieć, co by to było.

— Marto — spytała — co to są takie białe korzonki podobne do cebuli?

— To są cebulki kwiatów — objaśniła Marta. — Moc kwiatów wiosennych z nich wyrasta. Te najmniejsze to pierwiosniki i krokusy, a duże to narcyzy, żonkile i hiacenty. Zaś największe to lilie. Oj, jakież śliczne! Dick nasadził tego dużo w naszym ogródeczku.

— Czy Dick zna się na nich? — spytała Mary, nową napelnioną myślą.

— Naszemu Dickowi to i na murze kwiat wyrośnie. Matka mówi, że on potrafi kwiaty z ziemi wyczarować.

— Czy cebulki długo żyją? Czy mogłyby rosnać lata i lata całe, gdyby nikt ich nie hodował? — lękliwie dociekała Mary.

— Niektórych kwiatów hodować nie potrzeba, same sobie radzą — odparła Marta. — Dlatego i biedni mogą je mieć. Jeśli im się nikt nie sprzeciwi, to będą pracować pod

ziemią bez ustanku, a coraz nowe roślinki wypuszczać. W jednym miejscu w parku tutaj to są tysiące pierwiosnków. Jak wiosna nadejdzie, to nie ma nic ładniejszego w Yorkshire. A nikt nie wie, kto pierwszego zasadził.

— Chciałabym, żeby to teraz była wiosna — odrzekła Mary. — Pragnę widzieć wszystko, co rośnie w Anglii.

Skończyła obiad i poszła na swoje ulubione miejsce przed kominkiem.

— Chciałabym... chciałabym bardzo mieć łopatkę — rzekła.

— Do czego łopatkę? — spytała Marta z uśmiechem. — Czy może panienka do kopania się weźmie? Muszę też o tym matce powiedzieć.

Mary patrzyła w ogień zamyślona. Będzie musiała być bardzo ostrożna, jeśli swoje królestwo chce w tajemnicy utrzymać. Przecież ona szkody żadnej nie zrobi — to pewna, ale jednak gdyby pan Craven dowiedział się prawdy, mógłby inny zamek kazać zrobić i zamknąć ogród na zawsze. A tego by doprawdy nie zniosła.

— Widzisz, Marto, to takie dziwne, osamotnione miejsce — wyrzekła z wolna, jakby ważąc każde słowo. — Dom jest pusty, park pusty i opustoszałe ogrody. A przy tym tyle pozamykanego. Wiele zajęcia w Indiach nie miałam, ale było więcej ludzi, na których mogłam patrzeć — dużo przechodniów, żołnierzy i Hindusów — czasami grała orkiestra, a Ayah opowiadała mi bajki. Tutaj nie mam się do kogo odezwać prócz ciebie i Bena. A ty znów masz swój tydzień, a Ben Weatherstaff nie zawsze chce ze mną rozmawiać. Więc sobie pomyślałam, że gdybym miała małą łopatkę, mogłabym sobie gdziekolwiek kopać jak on, a gdyby mi dał nasionkę, to mogłabym sobie zrobić ogródek.

Twarz Marty rozpromieniła się.

— No patrzcie! — zawołała. — Wszak matka zaraz mówiła, że tak być powinno. Powiada matka: „Toć tam tyle miejsca wolnego, niechby dziecku dali ziemi kawałek do zabawy, choćby sobie tam posiała trochę pietruszki i rzodkiewek? Kopałoby to sobie i grabiło i byłoby całkiem szczęśliwe”. To są matki słowa, widzi panienka.

— Naprawdę? Jak to ona wszystko wie, nieprawdaż Marto? — spytała Mary.

— Proszę panienki — odparła Marta — matka mówi, że kobieta, co ma dwanaścioro dzieci, to się już przez to samo nauczy więcej, niż ABC. Dzieci to dobra lekcja i rachunków, i zmyślności.

— A ile by kosztowała łopaska, taka mała? — spytała Mary.

— Ano — rzekła Marta po namyśle — w Thwaite jest sklep i widziałam tam małe narzędzia ogrodnicze, łopaska, grabie, motyczka, razem związane, za dwa szylingi. I dosyć mocne, porządne, można nimi w ziemi robić.

— Mam więcej niż to w portmonetce — rzekła Mary. — Pani Morrison dała mi pięć szylingów, a pani Medlock dała mi też pieniędzy od pana Craven.

— To aż tak o panience myślał! — niedowierzająco wykrzyknęła Marta.

— Pani Medlock powiedziała, że będę dostawała szylinga tygodniowo na moje wydatki, i wypłaca mi go co sobotę. Nie wiedziałam, na co te pieniądze wydać.

— A to ci z panienki bogacz! — zawołała Marta. — Panienka może wszystko na świecie sobie kupić, co tylko zechce. Komorne za nasz domek kosztuje szylinga i trzy pensy na miesiąc, a jak trzeba płacić, to jakby ząb wyrwał. Ale przyszło mi coś do głowy — rzekła, opierając ręce na biodrach.

— Co takiego? — skwapliwie podchwyciła Mary.

— W sklepie w Thwaite sprzedają po pensie paczuszki nasionek kwiatów przeróżnych, a Dick wie, które są najładniejsze i jak je trzeba siać. Do Thwaite to on prawie co dzień chodzi tak sobie, dla zabawy. — Potem dodała nagle: — Potrafi panienka wydrukować list?

— Umiem napisać — odparła Mary.

Marta potrząsnęła głową.

— Ale Dick umie tylko czytać drukowane. Jeśli panienka potrafi wydrukować list, to go będzie można poprosić, żeby poszedł kupić i narzędzia, i nasiona.

— Pocziwa z ciebie dziewczyna! — zawołała Mary. — Doprawdy. Nie myślałam, żeś taka dobra. Jak się postaram, to może i potrafię wydrukować list. Trzeba poprosić panią Medlock o pióro, atrament i trochę papieru.

— Mam wszystko — rzekła Marta. — Kupiłam sobie, żeby w niedzielę móc do matki liścik wydrukować. Pójdę przynieść, co trzeba.

Wybiegła z pokoju, a Mary z szczerą radością wycierała ręczki.

— Jak będę miała łopatkę — szeptała do siebie — będę mogła chwasty wykopywać, a ziemia będzie potem śliczna, pulchniutka. A jeśli w dodatku będę miała nasionka i jeśli mi kwiatki wyrosną, to ogród już nie będzie martwy.

Tego popołudnia nie wyszła do ogrodu powtórnie, bowiem gdy Marta wróciła z papierem, piórem i atramentem, musiała jeszcze sprzątnąć ze stołu, znieść wszystko na dół do kuchni, tam znów kazała jej pani Medlock coś zrobić, a Mary długo czekać musiała na jej powrót. Potem znów był kawał roboty ten list do Dicka. Mary mało się uczyła, bo jej guwernantki nie cierpiały i żadna być dłużej nie chciała. Z ortografią było krucho, ale swoją drogą potrafiła napisać list drukowanymi literami. Oto list, który jej Marta podyktowała:

Kochany Dicku!

Mam nadzieję, że mój list zastanie cię w dobrym zdrowiu, w jakim i ja jestem. Panna Mary ma mnóstwo pieniędzy i chce, żebyś poszedł do Thwaite i kupił nasion kwiatów i narzędzia ogrodowe, żeby mogła sobie zrobić klomb. Wybierz kwiatki najładniejsze i najłatwiejsze do hodowania, bo ona nigdy przedtem w ogrodzie nie sadziła i mieszkała w Indiach, a to zupełnie co innego. Uściskaj matkę i wszystkie dzieci. Panna Mary będzie mi opowiadała jeszcze wiele różności, więc jak przyjadę na przyszły raz, to wam i ja opowiem o słońcach i wielbłądach, i o takich panach, co zabijają lwy i tygrysy.

Kochająca siostra

Marta Sowerby

— No dobrze. A teraz niech panienka włoży pieniądze w kopertę, a ja oddam to chłopcu od rzeźnika, żeby dał Dickowi. To są wielcy przyjaciele.

— A w jaki sposób dostanę te rzeczy, kiedy je Dick kupi? — spytała Marty.

— On je paniencie sam przyniesie. Chętnie tu zajdzie.

— O, mój Boże! — zawołała Mary. — Więc go zobaczę! Nigdy nie myślałam, żebym mogła zobaczyć Dicka!

— Więc panienka chciałaby go zobaczyć? — nagle spytała Marta, wyglądając na ogromnie rozradowaną.

— Chciałabym. Nigdy jeszcze nie widziałam chłopca, którego by lubiły młode liski i wrony. Bardzo pragnę go zobaczyć.

Marta zrobiła ruch, jakby przypominając coś sobie.

— No i pomyśleć, że o tym zapomniała — wybuchnęła — a myślałam, że to będzie pierwsza rzecz, jaką paniencie dziś rano powiem. Więc mówiłam matce, a ona powiedziała, że sama z panią Medlock pomówi.

— Czy masz na myśli... — zaczęła Mary.

— To, o czym mówiłam we wtorek. To jest, czy pozwoli paniencie pojechać do nas i zjeść ciastko gorące matki roboty, i napić się szklankę mleka.

Doprawdy, same miłe rzeczy działy się dnia tego. Pomyśleć tylko, co za rozkosz jechać przez step — w dzień, przy tym cudnym błękicie! Pomyśleć tylko, że się będzie w domku, gdzie jest aż dwanaścioro dzieci!

— Czy matka twoja sądzi, że pani Medlock pozwoli mi pojechać? — spytała Mary zatrwożona.

— O tak! matka myśli, że pozwoli. Ona wie, że matka to bardzo porządna kobieta i czysto dom utrzymuje.

— Gdybym pojechała, to bym zobaczyła i twoją matkę, tak samo jak Dicka — rzekła Mary, rozważając to wszystko i ciesząc się tą myślą. — Ona chyba wcale nie jest podobna do matek w Indiach.

Praca w ogrodzie i wzruszenia popołudnia dały Mary uczucie błęgiego spokoju i zadumy. Marta siedziała przy niej do kolacji, lecz obie pogrążone były w słodkiej ciszy i rozmawiały niewiele. Lecz w chwili, gdy Marta schodzić miała po kolację, Mary zapytała:

— Marto, czy tę dziewczynę z kuchni znów dziś zęby bolą?

Marta widocznie drgnęła.



— Czemu panienka o to pyta? — zagadnęła.

— Bo czekając na ciebie tak długo, otworzyłam drzwi i wyszłam na korytarz zobaczyć, czy nie idziesz. I wówczas znów usłyszałam ów daleki płacz, który słyszałam wówczas w nocy. Dzisiaj wiatru nie ma wcale, widzisz zatem, że i wtenczas to nie był wiatr.

Marta była niespokojna.

— Nie musi panienka chodzić po korytarzach i nasłuchiwać. Pan Craven to by się tak strasznie gniewał, że Bóg wie, co by zrobił.

— Przecież ja wcale nie nasłuchiwałam — rzekła Mary. — Czekałam na ciebie i usłyszałam to już trzeci raz.

— Ojoj! Pani Medlock na mnie dzwoni! — zawołała Marta i wybiegła z pokoju jak strzała.

— Najdziwniejszy dom, w jakim kiedykolwiek ludzie mieszkali — rzekła Mary sennie, pochylając główkę na poduszkę głębokiego fotela, w którym siedziała. Świeże powietrze, kopanie, skakanka dały jej uczucie słodkiej niemocy, tak, że niebawem zasnęła.

## ROZDZIAŁ X. DICK

Już od tygodnia wciąż słońko przygrzewało tajemniczy ogród. *Tajemniczym Ogrodem* nazywała go Mary, ilekroć o nim myślała. Droga jej była ta nazwa, a stokroć droższe uczucie, że gdy ją zamykały wśród siebie stare, piękne mury, nikt nie mógł wiedzieć, gdzie się znajduje, nikt jej nie mógł odnaleźć. Zdawało jej się, że była zamknięta daleko od świata, w jakimś zaczarowanym ogrodzie. Niewiele książek, które przeczytała i lubiła, były to bajki czarodziejskie, opowiadające o różnych zaczarowanych miejscach. Czasem to ludzie i po sto lat tam spali, co się znów Mary wydawało nudnym i głupim. Co do niej, to wcale nie miała ochoty zasypiać, lecz odwrotnie, rozbudzała się z dniem każdym przeżytym w Misselthwaite. Zaczęła lubić przebywanie ciągle na świeżym powietrzu; już nie była nieprzyjaciółką wiatru — polubiła go nawet. Szybciej i dłużej mogła teraz biegać, a przeskakiwać umiała sznur już do stu razy. Cebulki w tajemniczym ogrodzie bardzo się dziwić musiały: takie śliczne, oczyszczone miejsca porobiono wokół nich, że miały teraz gdzie się rozrastać i skąd czerpać powietrze, a panna Mary ani wiedziała, jak intensywnie pracują pod ciemną ziemią. Słońce miało dostęp do nich i grzało je, a gdy spadał deszcz wiosenny, zraszał je obficie, toteż zaczęły żyć i rozwijać się.

Mary była dziwną trochę, stanowczą osobką, a obecnie musiała się zajmować wielu różnymi sprawami, toteż pochłaniały ją one całkowicie. Pracowała, kopała, wrywała chwasty wytrwale i nie tylko jej to nie nużyło, lecz odwrotnie, co godzina niemal pracowała z większym zapalem. Było to dla niej jakby pochłaniającą jakąś zabawę. Znalazła ona jeszcze o wiele więcej kielków zielonych, niż się kiedykolwiek mogła spodziewać. Zdawało się, że wschodzą wszędzie, a każdego dnia znajdowała nowe, drobne, tak drobnutkie, że zaledwie widać je było nad ziemią. Było ich tak wiele, że przypomniały jej orzeczenie Marty o pierwiosnkach, których były tysiące, o cebulkach, które się same rozmnażają i wyrastają. Te oto pozostawiono samym sobie przez lat dziesięć i kto wie — może i one rozmnażały się w tysiące — jak owe pierwiosniki. Ciekawa była, jak też długo potrwa, zanim się okaże, że to są kwiaty. Chwilami przestawała kopać, by popatrzeć na ogród i starać się wyobrazić sobie, jakby też wyglądał okryty tysiącem rozkwitniętego kwiecica.

Przez ten tydzień słoneczny Mary zaprzyjaźniła się ze starym ogrodnikiem. Kilka razy niespodziewanie stawała przy nim, jakby spod ziemi wyrosła. A naprawdę to było tak, że dziewczynka lękała się, by nie zabrał swej łopaty i grabi i nie odszedł — skradała się więc ku niemu cichuteńko. Lecz Ben Weatherstaff nie traktował jej tak, jak wpierw. Być może nawet, iż w głębi duszy pochlebiali mu to, że dziewczyneczka szukała widocznie jego towarzystwa. Przy tym i Mary była teraz o wiele grzeczniejsza. Stary Ben nie wiedział wcale, że kiedy pierwszy raz zagadała do niego, uczyniła to tak, jak zwykła była odzywać się do służby hinduskiej, nie wiedząc o tym, że stary, niezależny człowiek, nie umiał bić pokłonów i nie przywykł był do tego, by mu rozkazywano.

— Panienka to zupełnie jak ten gil — rzekł do niej pewnego razu, gdy ją obok ujrzał. — Z nim to też tak: nie wiem nigdy, kiedy go zobaczę i skąd przyleci.

— My jesteśmy teraz w wielkiej przyjaźni — rzekła Mary.

— Tak, to do niego podobne — sapał Ben Weatherstaff. — Zawracać głowę paniom, i to tylko przez próżność i łobuzowstwo<sup>32</sup>. Wszystko by zrobił, aby się tylko pokazać i ogonem powachlować. A puszy się to jak paw.

Ben rzadko kiedy był rozmowny, czasami odpowiadał na pytania Mary tylko mrucnięciem, lecz tego ranka rozgała się na dobre. Przystanął, oparł nogę o łopatę i począł przyglądać się dziewczynce.

— Panienska od jak dawna tu jest? — zaczął.

— Zdaje mi się, że będzie już miesiąc — odparła.

— Zaczyna panienska zaszczyt przynosić Misselthwaite — rzekł. — Już ździebelko panienska popełniała<sup>33</sup> i już nie taka żółta. Jak tu panienska pierwszy raz do ogrodu przyszła, to tak wyglądała akurat, jak ta wrona niewypierzona. I takim sobie myślał<sup>34</sup>, że jeszcze takiego szpetnego i niemiłego dziecka w życiu nie widział.

Mary nie była próżna i o swojej urodzie nie miała wielkiego wyobrażenia, więc też nie uczuła się wcale dotknięta.

— O tak, wiem, że utyla — rzekła. — Pończoszki są mi teraz ciasne, a tak się fałdowały przedtem! O, o! Benie, gil przyfrunął!

Był to istotnie gil, który ładniejszy dziś był niż zwykle. Czerwona jego kamizelka błyszcziała jak atlas i rozwijał skrzydełka i ogon, a główkę przechylał, a obskakiwał dokoła! Mogłoby się zdawać, że chce zmusić Bena do zachwyty. Lecz Ben ironizował.

— A! Jesteś tu! — powiedział. — Raczysz sobie o mnie przypomnieć, jak nie masz komu lepszemu głowy zawracać. Pewnieś się elegantował przez te dwa tygodnie. Wiem ja dobrze, co to znaczy. Zalecasz się do jakiej tam młodej gilówny i lżesz jej niestworzone rzeczy, żeś najładniejszy z gilów w Misselthwaite i okolicy, że zwyciężysz wszystkich rywali swoich, he?

— Ach, mój Boże! Spójrzycie tylko na niego! — zawołała Mary. Gil był najwidoczniej w bajecznym wprost humorze. Przyskakiwał coraz to bliżej, w oczy zaglądał ogrodnikowi z przymileniem. Przeleciał na najbliższy krzak agrestu, główkę przechylił i zaśpiewał jakby wprost do Bena.

— Ehe! Myślisz, że tym wszystko naprawisz — rzekł Ben Weatherstaff, marszcząc twarz w taki sposób, że Mary była pewna, że usiłuje wyglądać nieprzyjemnie. — Zdaje ci się, że ci się nikt oprzeć nie może, prawda?

Gil skrzydełka rozwinął — a Mary ledwo oczom własnym chciała wierzyć: pofrunął bowiem wprost na rękojeść łopaty ogrodnika i usiadł. W tejże chwili twarz starego z wolna przybierać zaczęła całkiem nowy wyraz. Stał cicho, jakby się lękał odetchnąć głośnie — jakby postanowił nie poruszyć się z miejsca za nic na świecie, dopóki by gil nie odfrunął. Mówić począł szeptem.

— No, teraz to już po mnie — rzekł tak słodko, jakby nie te wymawiał wyrazy. — Oj, jakże ty wiesz, jak za serce chwycić starego! To chyba czary, jakiś ty mądry!

I stał tak nieporuszony, oddech wstrzymując, dopóki gil znów skrzydełek nie rozwinął i nie odfrunął. Wtedy długo patrzył na rękojeść łopaty, jakby była zaczarowana, po czym ją kopać, milcząc czas jakiś.

Ale ponieważ stary ogrodnik nie przestawał się uśmiechać, przeto Mary nie lękała się zagadać do niego.

— Czy macie własny ogród? — spytała.

— Nie, bo nie jestem żonaty i mieszkam przy bramie z Marcinem.

— A gdybyście mieli, to co byście sadzili najwięcej? — spytała dalej Mary.

— Kapustę, kartofle i cebulę.

— No tak, ale gdybyście urządzali sobie ogród kwiatowy, to co byście sadzili?

— Różne cebulki i słodko pachnące kwiatki, ale najwięcej róż.

Pojaśniła twarz Mary.

— Więc lubicie róże? — rzekła.

Ben Weatherstaff wyrwał chwast, odrzucił go, po czym dopiero odparł:

— Anoć lubię, i bardzo. A nauczyła mnie tego pewna młoda pani, u której byłem ogrodnikiem. Miała ona moc róż w jednym miejscu, które lubiła bardzo, a kochała je

<sup>32</sup>łobuzowstwo (neol.) — dziś popr.: łobuzerstwo.

<sup>33</sup>popełnić — przytyć, zaokrąglić się.

<sup>34</sup>takem (...) myślał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: tak myślałem.

tak, jakby to były dzieci albo... gile. Nierazem widział<sup>35</sup>, jak się pochylała i całowała je. — Znow wyrwał chwast i zamyślił się. — Było to już dziesięć lat temu.

— A gdzie teraz jest ta pani? — spytała Mary, zaciekawiona ogromnie.

— W niebie — odrzekł, zagłębiając silnie łopatę w ziemię — jeśli się ma wierzyć w to, co mówią księża.

— A co się stało z różami? — spytała znow Mary, w najwyższym stopniu zaciekawiona.

— Zostawione zostały samym sobie.

Mary podniecała się coraz bardziej.

— Więc całkiem pomarły? Czy róże całkiem umierają, gdy się je zostawia samym sobie? — zaryzykowała Mary pytanie.

— Nauczyłem się kochać je i ją kochałem, i ona je kochała — dodał Ben Weatherstaff niechętnie. — Raz, dwa razy na rok czasem, to idę poprawiać trochę przy nich, poobcinać suszki, obkopać korzenie... Dziko teraz rosną, ale były w bogatą ziemię sadzone, więc dużo z nich żyje.

— A jak nie mają listków i wyglądają szare i brunatne, i suche, to jak można poznać, czy żywe są czy poschnięte? — indagowała Mary.

— Niech no panienska poczeka, aż wiosna przyjdzie, aż je deszczyk zrosi, a słońce przygrzeje, a zaraz będzie wiadomo.

— Jakim sposobem? — zawołała z zapalem Mary, zapominając o ostrożności.

— Trzeba popatrzeć na pędy i gałązki, a jak są na nich takie brunatne zgrubienia tu i owdzie, wtedy niech panienska uważa, co się stanie po deszczu. — Umilkł nagle i w rozjaśnionej twarzy jej spojrział. — Co panienkę tak nagle zaczęły obchodzić róże? — spytał.

Mary poczuła, że się rumieni i lękała się odpowiedzieć.

— Ja... ja się chciałam bawić... że niby to mam własny ogród — wyjąkała. — Ja nie mam tu nic do roboty. Nie mam nic i nikogo do zabawy.

— Tak — wolno odparł Ben Weatherstaff, patrząc na nią — to prawda. Nic panienska nie ma.

Powiedział to tak jakoś dziwnie, że Mary miała uczucie, że mu się jej trochę żal zrobiło. Ona sama nigdy siebie nie żałowała: bywała tylko znudzona i zła, bo nie lubiła nikogo i nic. Lecz teraz poczuł się świat jakoby zmieniać dla niej i stawać się piękniejszym. Jeśli nikt się o jej odkryciu nie dowie, będzie mogła używać w tajemniczym ogrodzie zawsze, zawsze.

Pozostała z ogrodnikiem jeszcze czas pewien i zadawała mu pytań bez końca. Odpowiadał jej na wszystkie, na swój dziwny, mrukliwy sposób, lecz wcale nie wydawał się nachmurzony, nie zabierał łopaty i nie odchodził. Gdy Mary już zamierzała się oddalić, powiedział coś o różach i to jej przypomniało owe opuszczone, które tak lubił.

— A teraz czy zagłądacie czasem do tych róż? — zagadnęła.

— Tego roku jeszcze nie byłem, reumatyzm wlaź mi zanadto w stawy.

Wyrzekł to mrukliwie, a potem nagle jakby się rozgniewał na nią, choć na to nie zasłużyła.

— Niech no panienska posłucha! — wyrzekł ostro. — Proszę mi się tak ciągle nie rozpytywać. Jeszczem takiej ciekawskiej w życiu nie widział<sup>36</sup>. Niech panienska idzie się bawić. Dosyć gadaniny na dzisiaj.

A wyrzekł to tak stanowczo, że Mary wiedziała, że na nic by się nie zdało zatrzymać się dłużej. Oddaliła się z wolna, skacząc wzdłuż zewnętrznego muru i rozmyślając o ogrodniku; powiedziała sobie przy tym, że, jakkolwiek był mruk, znow jednego człowieka nauczyła się lubić. Człowiekiem tym był Ben Weatherstaff. Tak, lubiła go. Zawsze pragnęła spróbować zmusić go do rozmowy z sobą. Przy tym zaczęła wierzyć, że ten wiedział zapewne wszystko, wszyściuteńko o życiu kwiatów.

W ogrodzie była ścieżka szeroka, żywopłotem laurowym ogrodzona, lukiem okalająca tajemniczy ogród i kończąca się przy bramie, która wychodziła na las, stanowiący część ogromnego parku Misselthwaite. Mary postanowiła sobie pobiec tą ścieżką i zajrzeć do lasu, czy nie ujrzy tam królików. Bawiła się wybornie skakanką, używała ruchu, a gdy

<sup>35</sup>nierazem widział — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: nieraz widziałem.

<sup>36</sup>jeszczem (...) nie widział — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jeszcze nie widziałem.

doszła do bramy, otworzyła ją i poczęła iść dalej, posłyszała bowiem dziwny cichy dźwięk i chciała dojść jego źródła.

Było to coś bardzo dziwnego. Wstrzymała oddech, zatrzymując się, by patrzeć. Pod drzewem, wsparty o pień jego plecami siedział chłopiec, grając na zwykłej fujarce. Chłopiec miał zabawną, miłą powierzchowność, a wyglądał na lat dwanaście. Był schludnie ubrany, nos miał zadarty i policzki czerwone jak dwa kwiaty maku, a Mary jeszcze nigdy nie widziała takich okrągłych i tak bardzo niebieskich oczu. Na pniu drzewa, o które był oparty, siedziała przyczepiona pazurkami wiewiórka, patrząc na chłopca, zza krzaków zaś szyję wyciągał i nasłuchiwał bażant, a tuż przy nim siedziały dwa króliki, ruszając różowymi noskami — i zdawało się, że wszystko to zbliżało się coraz więcej, by słuchać łagodnych tonów fujarki.

Ujrawszy Mary, chłopczyk wyciągnął rękę i odezwał się głosem tak cichym jak jego granie:

— Nie trzeba się ruszać, bo by uciekły.

Mary stała nieruchoma. Przestał grać i począł wstawać z ziemi. Robił to tak wolno, że ledwo można było spostrzec, że się z miejsca porusza, lecz wreszcie wyprostował się, a wtedy wiewiórka drapnęła na gałęzie, bażant cofnął się za krzewy, a króliki poczęły oddalać się w podskokach, lecz wcale nie zdawały się przestraszone.

— Jestem Dick — rzekł chłopczyk. — Wiem, że to panna Mary.

Mary uprzytomniła sobie teraz, że od razu wiedziała, że to musi być Dick, nie kto inny. Kto drugi bowiem potrafiłby czarować króliki i bażanty, jak Hindusi czarują żółwie? Chłopiec miał szerokie, czerwone, mocno wykrojone usta, których uśmiech całą twarz opromieniał.

— Takem powolutku wstawał — tłumaczył — bo jak tylko nagle się poruszyć, to się przestraszą. Człowiek musi się delikatnie ruszać i po cichutku mówić, kiedy ze zwierzątkami ma do czynienia.

Nie mówił on do niej jak do obcej, lecz tak, jakby się znali od dawna. Mary pojęcia nie miała, jacy są chłopcy, więc odpowiadała trochę sztywno i czuła się trochę onieśmielona.

— Czy otrzymałeś list Marty? — spytała.

Skinął twierdząco rudą, falistą czupryną.

— Dlatego tu przyszedł.

Schylił się, by podnieść z ziemi coś, co tam położył na ten czas, gdy grał na fujarce.

— Przyniosłem narzędzia do ogrodu. Jest tu łopatka i grabie, i motyka. I mocne są, i dobre! Jest też i kielnia. A gdym nasionka kupował, to mi kupcowa dodała paczkę białego maku i paczkę lobelii.

— Pokażesz mi nasionka? — spytała Mary.

Podobał jej się sposób mówienia Dicka. Mowa jego była prędką i łatwą. Takie się miało uczucie, jakby Mary lubił i jakby na chwilę nie wątpił, że i ona go polubi, choć był tylko zwykłym chłopczyną ze stepu, w polatanej odzieży, z zabawną bardzo miną i twardą, rudą czupryną. Kiedy Mary podeszła bliżej do niego, poznała, że szedł od niego zapach wrzosów, trawy i listków, jakby cały z nich był urobiony. Podobało jej się to bardzo, a gdy spojrzała w jego zabawną twarz o czerwonych policzkach, zadartym nosie i okrągłych oczach, zapomniała zupełnie o swej nieśmiałości.

— Usiądźmy sobie tu na pniu — rzekła — i obejrzymy wszystko.

Usiedli, a Dick wyciągnął z kieszeni niezgrabne zawiniątko w brązowym papierze. Rozwinął sznurek, a wewnątrz ukazały się mniejsze paczuszki z obrazkami kwiatów na każdej.

— Dużo jest rezedy i maków — rzekł. — Rezeda najcudniej pachnie ze wszystkich kwiatów, a rośnie wszędzie, gdziekolwiek ją się zasieje, tak samo jak maki. Wschodzą one i kwitną, tylko im skinąć palcem.

Ucichł i szybko odwrócił głowę, rozjaśniając twarz różową.

— Skąd ten gil tak na nas woła? — spytał, nasłuchując.

Świergot dolatywał z czerwonymi jagodami okrytego ostrokrzewu, a Mary domyśliła się zaraz, czyj to był głos.

— Czy on nas naprawdę woła? — spytała.

— Tak! — rzekł Dick, jak gdyby to była rzecz całkiem naturalna — woła kogoś, kogo lubi. To tak samo, jakby mówił: „Tutaj jestem. Proszę na mnie spojrzeć. Mam ochotę pogawędzić”. Ale oto jest tu w krzaku. Czyj on jest?

— Gil jest Bena Weatherstaffa, ale zdaje mi się, że i mnie już trochę zna — odrzekła Mary.

— Oj! dobrze on panienkę zna — rzekł Dick przyciszonym swym głosem. — I lubi panienkę; panienska jest jego. On mi zaraz wszystko opowie.

Podsunał się zupełnie blisko do krzaka swym łagodnym ruchem, który Mary zauważyła uprzednio, a potem wydał dźwięk zupełnie podobny do ćwierkania gila. Gil słuchał kilka sekund uważnie, a potem zaczął odpowiadać na pytanie.

— On wielki przyjaciel panienki — zachichotał Dick.

— Tak myślisz? — skwapliwie zawołała Mary. Tak by pragnęła wiedzieć. — Myślisz, że mnie naprawdę lubi?

— Nie podleciałby tak blisko, gdyby panienki nie lubił — odparł Dick. — Ptaki nie są łatwe w doborze przyjaciół, a taki gil to potrafi człowieka sponiewierać gorzej niż człowiek. Niech panienska popatrzy, jak się to teraz do niej wdzięczy: „Czy to panienska nie widzi, jaki ze mnie ładny chłopiec?”.

I zdawało się, że naprawdę tak jest. Tak się mizdrzył, skacząc na krzaku, a ćwierkał, a główkę przechylał.

— Czy rozumiesz mowę ptaków? — spytała Mary.

Dick rozjaśnił twarz, szeroko się rozśmiał, że tylko czerwone usta jego było widać, i ręką czuprynę potarł.

— Myślę, że rozumiem i one też myślą, że rozumiem — odparł. — Tak dawno z nimi na stepie żyję. Takem się na nie napatrzył<sup>37</sup>, jak się z jajka wykluwały i wypierzały, i uczyły latać, i zaczynały śpiewać, że mi się czasem zdaje, że i ja ptak<sup>38</sup>. Czasem to sobie myślę, że mogę ja ptak albo lis, albo królik, albo wiewiórka, albo może nawet chrząszcz, a bo ja wiem!

Śmiejąc się, wrócił na pień i zaczął znów mówić o nasionach kwiatów. Powiedział jej, jak wyglądają, gdy zakwitną, jak je trzeba sadzić, doglądać, podlewać.

— Albo wie panienska co? — rzekł nagle, odwracając się do niej i patrząc na nią. — Ja je tam dla panienki zasieję. Gdzie panienki ogródek?

Mary nerwowo zacisnęła pięści. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc chwilę długą milczała. Nie pomyślała o tym. Poczula się nieszczęśliwą. I czuła, że mieni się i błędnie.

— Dostała panienska przecież ogródek, prawda? — rzekł Dick.

Mary rzeczywiście rumieniła się i bladła na przemian. Dick to dostrzegł, a ponieważ nie odpowiadała mu ciągle, więc się wmieszał.

— Nie chcieli paniencie dać ani kawałka ogródka? — spytał. — Jeszcze panienska nic nie ma?

Mary rączki przycisnęła silniej do piersi i oczy ku chłopcu zwróciła.

— Nie mam pojęcia, jacy są chłopcy — rzekła z wolna. — Czy potrafiłbyś zachować tajemnicę, gdybym ci ją powierzyła? Tajemnica to wielka. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby się o niej kto dowiedział. Myślę, że umarłabym! — Ostatnie wyrazy powiedziała namiętnie.

Dick zmieszał się więcej jeszcze niż przedtem i znów czuprynę pocierał, lecz odparł wesoło:

— Ja bo zawsze dochowuję tajemnicy. Żeby nie umiał przed drugimi chłopcami utrzymać sekretu o młodych lisach, o gniazdkach ptasich, to by tam na stepie nic nie było w pewności. Oj, umiem ja sekret utrzymać!

Nie zdając sobie z tego sprawy, Mary pochwyciła go za rękaw.

— Skradłam ogród — rzekła prędko. — On nie jest wcale mój. On nie jest niczyj. Nikt go nie chce, nikt o niego nie dba, nikt do niego nigdy nie wchodzi. Może już wszystko w nim wymarło, nie wiem!

Ognie na twarz jej wybiły i była w tej chwili zła jak dawniej.

<sup>37</sup>takem się (...) napatrzył — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: tak się napatrzyłem.

<sup>38</sup>żem i ja ptak — że i ja jestem ptakiem.

— Wszystko mi jedno! Wszystko mi jedno! Nikt nie ma prawa mi go odbierać, bo mnie jedną on obchodzi. Pozwolili mu zmarnieć i zamknęli go samotnie na klucz — kończyła namiętnie, a zasłaniając twarz rączkami, wybuchnęła strasznym płaczem: biedna, malutka panna Mary!

Dickowi z zaciekawienia oczy całkiem okrągłe się zrobiły.

— Eh-e-e! — rzekł, rozwlekając dźwięki, a miało to oznaczać i zdziwienie, i sympatię.

— Nie mam co robić — ciągnęła dalej Mary. — Nic nie mam własnego. Sama go sobie znalazłam i sama do niego weszłam. Byłam tam zupełnie jak gil, a jemu nie zabraliby ogrodu.

— A gdzie on jest? — spytał Dick przyciszonym głosem.

Mary zerwała się z siedzenia. Zdawała sobie sprawę, że w tej chwili była zła, kapryśna, uparta, ale jej to było obojętne. Była wyniosła i rozkazująca, jak ongi<sup>39</sup> w Indiach, a równocześnie pełna i zapału, i troski.

— Chodź ze mną, to ci pokażę — rzekła.

Poprowadziła go przez lukowatą ścieżkę do miejsca, gdzie bluszcz rósł tak gęsto. Dick szedł za nią z dziwnym, współczującym wyrazem na twarzy. Było mu tak, jakby go prowadzono do gniazdko jakiegoś ptaka nieznanego i jakby musiał poruszać się wolniusieńko. Gdy Mary podeszła do muru i uniosła zwieszające się bluszcze, zatrzymał się nagle. Były tam drzwi. Mary popchnęła je, otwarły się z wolna, oni zaś weszli oboje. Wtedy Mary, przystanąwszy, zrobiła ręką ruch okrągły:

— Oto on — rzekła. — To ogród tajemniczy i ja jedna na całym świecie pragnę go utrzymać przy życiu.

Dick rozglądał się, rozglądał, rozglądał bez końca.

— Hej! — wyszeptał. — Jakież to dziwne, śliczne miejsce! Tu zupełnie tak, jakby jakaś istota ludzka w sen zapadła.

## ROZDZIAŁ XI. GNIAZDKO MYSIKRÓLIKA

Przez kilka minut stał, rozglądając się dokoła, podczas gdy Mary przyglądała się z kolei jemu; potem zaczął ostrożnie posuwać się naprzód, może ostrożniej i ciszej jeszcze niż Mary, gdy weszła tu po raz pierwszy. Oczy jego zdawały się wszystko dostrzegać: i drzewa szare z szarymi zasłonami wijących się po nich i zwieszających się festonami z gałęzi pnących, i gąszcz splątanych gałązek na murach i trawie, i altany z barwinku z kamiennymi ławkami wewnątrz i wielkimi kamiennymi wazonami.

— Nigdy bym nie był myślał<sup>40</sup>, że to miejsce zobaczę kiedykolwiek — rzekł wreszcie szeptem.

— A wiedziałeś już o nim? — spytała Mary.

Mówiła głośno — Dick dał jej znak ręką.

— Musimy rozmawiać cichuteńko — powiedział — bo nas jeszcze kto może usłyszeć i znaleźć.

— O mój Boże! Zapomniałam zupełnie! — rzekła Mary wylężniona, kładąc rękę na ustach. — Czyś już dawniej wiedział o tym ogrodzie? — spytała powtórnie, gdy się uspokoiła nieco.

Dick zrobił głową ruch potakujący.

— Marta mi mówiła, że jest tu ogród, do którego nigdy nikt nie wchodzi — odrzekł.

— Zawsześmy byli<sup>41</sup> ciekawi, jak też wygląda.

Zatrzymał się, rozglądając się dokoła, na cudny, szarawy gąszcz nad swą głową, a okrągłe jego oczy wyglądały na dziwnie uszczęśliwione.

— Oj! co tu gniazd będzie, gdy wiosna nadejdzie! — rzekł. — Tutaj to w całej Anglii najlepsze miejsce do budowania gniazdek. Nikt tu nie wchodzi, a gąszczu drzew i róż tyle! Można gniazdko zakładać. Dziwię się, że wszystkie ptaszki ze stepu tu się nie zlecą, by tu gniazdko swe budować.

Mary, znów nie zdając sobie z tego sprawy, uchwyciła go za rękaw.

<sup>39</sup>ongi (daw.) — niegdyś, kiedyś dawniej.

<sup>40</sup>bym nie był myślał — konstrukcja daw. czasu zaprzeczonego, tj. wyrażająca czynność wcześniejszą od tej wyrażonej zwykłym czasem przeszłym; znaczenie: nie myślałbym wcześniej (uprzednio, kiedyś).

<sup>41</sup>zawsześmy byli — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: zawsze byliśmy.

— Czy będą tu róże? — wyszeptła. — Możesz mi powiedzieć? Bo ja myślę, że może one wszystkie poschły.

— Oj nie! Nie wszystkie! — odparł. — Niech no panienska spojrzy!

Podszedł do najbliższego drzewa — starego bardzo, którego kora pokryta była grubą warstwą szarego mchu, a gałęzie poobwieszane splątanymi pędami róż. Wyjął z kieszeni duży nóż i rozciął jeden z pędów.

— Mnóstwo tu suszków, które trzeba by porozcinać — rzekł. — I duża część drzewa sucha, ale w przeszłym roku puściło jeszcze świeże pędy. Ten na przykład świeży — to mówiąc, wskazał na odrośl, która miała brunatno-zielony kolor, nie zaś suchy, szary.

Mary dotknęła gałązki z pewnym rodzajem czci i zapachu zarazem.

— Ta tutaj? — rzekła. — Czy ona całkiem żywa, całkiem?

Dick zęby pokazał w szerokim uśmiechu.

— Taka żywa jak panienska albo ja — odparł.

— Jakam ja szczęśliwa! — wyszeptła. — Tak bym chciała, żeby wszystkie drzewa żywe tu były. Obejdźmy najlepiej ogród dokoła i porachujmy, ile jest zaschniętych, ile żywych.

Dziewczynka drżąca była z zapachu, Dick nie mniej był przejęty. Szli więc od drzewa do drzewa, od krzewu do krzewu. Dick nie wypuszczał noża z ręki i pokazywał jej różne rzeczy, które jej się cudem wydały.

— Rosną one wprawdzie dziko — rzekł — lecz te silniejsze jednak się ostały. Słabsze poschły, lecz za to te inne rozrastały się i rozrastały, i puszczały pędy młode, aż dziw! Niech panienska spojrzy! — i nagiął grubą, szarą, jakby suchą gałąź. — Mógłby kto myśleć, że to drzewo suche aż do korzenia, ale ja temu nie wierzę. Przytnę przy ziemi, to zobaczymy.

Przykłąknął i nadciął bezlistną gałąź trochę nad ziemią.

— A co, nie mówiłem! — wyrzekł uradowany. — W środku drzewo żywe, zielone. Niech panienska zobaczy!

Zanim to wyrzekł, Mary klęczała już na ziemi, cała pochłonięta i we wzrok zamieniona.

— Kiedy takie zielone i wilgotne, to żyje — tłumaczył. — A jak w środku suche i łatwo się łamie, jak ten tutaj kawałek, którym odciął, to już po nim. Ten oto pień gruby jest żywy i te świeże gałązki z niego puszczają, i jak się suszki powycina, obkopyje dokoła i będzie się staranie miało o nim, to zupełnie wydobrzeje — zatrzymał się, wznosił wzrok ku górze na zwieszające się i pnące gałązki i dodał:

— W lecie to tutaj będzie cała powódź róż!

Chodzili od krzewu do krzewu, od drzewa do drzewa. Dick był silny, nożem zręcznie się posługiwał, wiedział, gdzie suchą gałąź wyciąć, umiał określić, która rzeczywiście uschnięta, a w której mimo pozoru życie młode zamknięte. Po upływie pół godziny Mary zdawało się, że teraz i ona potrafi to wszystko, a gdy Dick nacinał sucho wyglądającą gałąź, miała ochotę krzyknąć z radości, gdy dostrzegła najmniejszy cień wilgotnej zieleni. Łopatka, grabie, motyka przydały się ogromnie. Dick pokazał dziewczynce, do czego użyć grabi, gdy on korzenie obkopywał i ziemię wkoło nich poruszał, i dostęp czynił dla przypływu świeżego powietrza.

Pracowali pilnie koło jednego z największych pni róży sztamowej, gdy naraz Dick dostrzegł coś, co mu okrzyk zdziwienia z piersi wyrwało.

— Co to? — zawołał, wskazując na trawę o kilka kroków od siebie. — Kto to zrobił?

Było to jedno z oczyszczonych miejsc naokoło zielonych kielków.

— To ja — odparła Mary.

— A jam myślał, że panienska nic się nie zna na ogrodnictwie — zawołał.

— No i nie znam się — odrzekła — ale one takie były małe, a trawa wokoło nich tak gęsta i silna, że wyglądały, jakby miejsca nie miały i jakby im tchu brakło. Więc im zrobiłam miejsce. Nawet nie wiem, co to są te kielkujące roślinki.

Dick znów ukląkł na ziemi i zaśmiał się swoim szerokim śmiechem.

— Miała panienska rację — rzekł. — Żaden ogrodnik inaczej by paniencie nie powiedział. Teraz wyrosną aż do nieba. To są krokusy i pierwiosniki, a te oto, to narcyzy — potem wskazując na inny kawałek, dodał: — a to żonkile. Oj, będziez to widok cudny!

Biegał od jednego miejsca do drugiego.

— To panienska huk roboty zrobiła, jak na taką małą — rzekł, patrząc na nią.

— Ja też teraz jestem tłściejsza — rzekła Mary — i wiele silniejsza. Dawniej to zawsze byłam zmęczona. Ale gdy kopię, to się wcale nie męczę. A tak lubię wachać ziemię świeżo skopaną!

— Dla panienki to bardzo zdrowo — rzekł Dick, trzęsąc głową z powagą. — Nie ma na świecie nic miłszego jak zapach czystej, świeżej ziemi, z wyjątkiem może świeżych, wyrastających z niej roślinek, gdy deszczyk wiosenny je skropi. Kiedy pada, to bardzo często idę na step, pod krzakiem się kładę i słucham słodkiego poszumu spadających kropli na wrzosi, i wacham a wacham. Matka mówi, że mi się koniec nosa tak rusza, jak królikowi.

— A nie zaziębisz się? — pytała Mary, patrząc nań z podziwem. Nigdy w życiu nie widziała takiego zabawnego chłopca, a może tak miłego.

— Ja, zaziębić się! — rzekł z zabawnym grymasem. — Nigdy jeszcze nie był zaziębiony, odkąd na świat przyszedłem. Nie wychowywali mnie na panicza. Biegałem po stepie jak królik, czy deszcz, czy śnieg, czy słońce. Matka mówi, że się tyle świeżego powietrza nałykał, że się już nigdy nie zaziębię. Takim zahartowany, jak stał w ogniu.

Przez cały ten czas Dick nie przestawał pracować, Mary zaś pomagała mu, grabiąc lub odrzucając chwasty.

— Ale będziemy tu mieli huk roboty! — rzekł do niej naraz rozradowany, oglądając się dokoła.

— A czy wrócisz tu, żeby mi pomóc? — prosiła Mary. — Jestem pewna, że i ja już dobrze pomóc mogę tobie. Umieję już kopać, zielska wrywać i wszystko, co mi każesz, zrobić. Przyjdź, Dicku, przyjdź koniecznie!

— Jeżeli panienka chce, to co dzień przyjdę, czy będzie deszcz, czy słońce — odparł z godnością. — To najładniejsza, najmiłsza zabawa, jaką w życiu miałem: zamknięty tu i budzący się do życia tajemniczy ogród.

— Jeśli przyjdiesz, jeśli mi pomożesz naprawdę ożywić ten ogród, to ja... to ja... nie wiem, co zrobię — dokończyła bezradnie. Cóż bowiem zrobić mogła dla *takiego* chłopca!

— Ja panience powiem, co panienka robi — rzekł Dick z swym promiennym uśmiechem. — Panienka utyje, a głodna będzie jak lisiak młody, i nauczy się rozmawiać z gilem jak ja. Będziemy mieli moc uciechy!

Począł chodzić tu i tam, spoglądając zamyślony na drzewa, mury i krzewy.

— Nie chciałbym go zrobić podobnym do ogrodu zwykłego, wymuskanego, wycackanego, przycinanego — rzekł. — Ładniejszy jest tak, z dziko rosnącymi, pnącymi się i czepiającymi siebie wzajem różami. Prawda?

— Ja nie chcę, żeby on był *porządny* — rzekła Mary z przestachem — Jakby był taki strasznie *porządny*, to by przestał być tajemniczy.

Dick począł gładzić swą rudą czuprynę nieco zmieszany naraz.

— Tak, to ogród tajemniczy, to pewna — rzekł — a jednak tak mi się zdaje, że oprócz gila, jeszcze tu ktoś wchodzić musiał przez tych dziesięć lat.

— Ależ drzwi były na klucz zamknięte i klucz pochowany — rzekła Mary. — Nikt wejść wszakże nie mógł.

— Tak, to prawda — odrzekł. — Dziwne to miejsce. Mnie się zdało, że później niż dziesięć lat temu obcinano gałęzie tu i ówdzie.

— Ale jak to możliwe? — rzekła Mary.

Dick przyglądał się gałęzi róży sztamowej i głową potrząsał.

— Tak, jak to możliwe! — wyszeptał. — Skoro drzwi były zaryglowane, a klucz pochowany.

Mary zdawało się, że jakkolwiek wiele już lat przeżyła, to jednakże nigdy nie zapomni owego pięknego ranka, kiedy jej ogród począł *rosnąć*. A rzeczywiście tego rana zdawał się zacząć rozwijać. Kiedy Dick począł ziemię oczyszczać pod siew, przypomniała jej się piosenka, którą Bazyli śpiewał, gdy ją chciał drażnić.

— Czy są kwiatki, które mają kształt dzwoneczków? — zapytała.

— Konwalie mają kształt dzwoneczków, i kampanule, i dzwonki.

— Posadźmy je — rzekła Mary.

— Konwalie tu są, bom już widział. Rosną za gęsto, trzeba je będzie rozsadzić, ale ich moc tu jest. Te drugie to dopiero po dwóch latach kwitną, jak je się sieje, ale mogą flance przynieść od nas, bo je w ogródku mamy. Czemu panienka chce je zasadzić?



Wtedy Mary opowiedziała mu o Bazylim i jego rodzeństwie w Indiach, i o tym, jak ich nie cierpiała i jak oni nazywali ją „panną Mary kapryśnicą”.

— Tańcowali około mnie i śpiewali:

Panno Mary, kapryśnico,  
Odwróć zagniewane lico!  
Czy w ogródku rosną kwiatki,  
Róże, dzwonki i bławatki?

— Przypomniało mi się to właśnie i ciekawa byłam, czy istnieją kwiatki jak dzwonki. Zmarszczyła czoło i jakby ze złością uderzyła grabiami w ziemię.

— Ale ja nie byłam taka kapryśnica jak oni.

Dick śmiał się.

— Ej! — zawołał, rozdrabniając ręką ziemię i wdychając jej zapach. — Zdaje mi się, że nikt nie potrzebuje kapryścić, jak się ma wkoło siebie kwiatki takie śliczne i tyle cudnych, dzikich rzeczy, co tu się pną i zwieszają, i innych, co domki i gniazdka sobie budują, a ćwierkają i śpiewają. No, czy nie prawda?

Mary, klęcząca obok niego i podająca mu nasionka, z wolna czółko rozmarszczyła.

— Dicku, jesteś tak miły, jak Marta mówiła. Lubię cię i jesteś już piątą taką osobą. Nie byłabym nigdy myślała, że będę lubiła aż pięć osób.

Dick usiadł na piętach jak Marta, gdy czyściła kominek. W Mary przekonaniu wyglądał zabawnie i uroczo zarazem ze swoimi okrągłymi oczyma, czerwonymi policzkami i zabawnym, zadartym nosem.

— Tylko pięć osób panienka lubi? — zawołał. — A kto są ci czterej pozostali?

Mary poczęła wyliczać na palcach:

— Matka twoja, Marta, gil i Ben Weatherstaff.

Dick zaczął się śmiać, tak, że musiał sobie dłonią usta zatknąć.

— Ja wiem, że panienka myśli, że jest dziwny chłopak — rzekł — ale ja znów myślę, że panienka jest najdziwniejszą dziewczynką pod słońcem.

Wtedy Mary zrobiła coś dziwnego. Pochyliła się ku niemu i zadała pytanie, jakie jej nigdy przedtem nie byłoby do głowy przyszło.

— A ty, czy mnie lubisz? — spytała.

— Ojoj! — odpowiedział serdecznie. — Jeszcze jak! Strasznie panienkę lubię i jestem pewny, że gil tak samo lubi panienkę.

— To byłoby dwóch już przyjaciół — rzekła Mary. — Dwóch przyjaciół własnych!

Po czym oboje zaczęli pracować jeszcze pilniej i radośniej niż przedtem. Mary przełękła się i zmartwiła, gdy posłyszała dzwon podwórzowy wzywający na obiad.

— Będę musiała iść już — rzekła smutno. — A i ty pewnie musisz wracać, prawda?

Dick uśmiechnął się.

— Mój obiad nietrudno zabrać z sobą — wyrzekł. — Matka mi zawsze do kieszeni cośkolwiek włoży.

Podniósł kurtkę z trawy i wyjął z kieszeni niezdarne zawiniątko z grubej, czystej chustki niebieskiej w białe cętki. Były w niej dwa grube kawałki chleba z kawałkiem czegoś jeszcze pośrodku.

— Zwykle dostaję sam chleb tylko — objaśnił Dick — ale dziś dostał kawałek tłustej słoninki.

Mary pomyślała, że to dziwny obiad, ale Dick zdawał się bardzo z niego zadowolony.

— Niech panienka spieszy się zjeść obiad — rzekł. — Ja się prędko z moim uwinę. Jeszcze tu trochę popracuję, zanim do domu pójde.

Usiadł na ziemi, opierając się o drzewo.

— Zawołam tu sobie gila — powiedział — dam mu skórkę słoniny do dziobania. Gil bardzo lubi tłustość.

Mary trudno było się z nim rozstać. Naraz wydało jej się, że Dick to wróżka leśna, która zniknie i której nie zastanie, gdy po obiedzie wróci do ogrodu. Wydawał się zbyt dobry, by mógł być rzeczywistością. Z wolna podeszła na pół drogi ku drzwiom, po czym zatrzymała się i zawróciła.

— Cokolwiek by się stało, nigdy nic nie powiesz? — rzekła.

Czerwone jak maki policzki chłopca wydęte były pierwszym kęsem chleba z słoniną, lecz usiłował zachęcająco się uśmiechnąć.

— A gdyby panienka była mysikrólikiem<sup>42</sup> i pokazała mi swoje gniazdko, czy sądzi panienka, że bym komukolwiek powiedział? Nie, ja nie jestem taki. Panienka może spokojna być jak mysikróliczek.

I Mary rzeczywiście była całkiem spokojna.

## ROZDZIAŁ XII. „CZY MOGŁABYM DOSTAĆ KAWAŁEK ZIEMI?”

Mary biegła tak szybko, że zdyszana zupełnie wpadła do swego pokoju. Włosy miała w nieładzie, twarzyczkę zarumienioną. Obiad już na nią czekał na stole, Marta zaś stała opodal.

— Troszkę się panienka spóźniła — rzekła. — Gdzie to panienka była tak długo?

— Widziałam Dicka! — wołała Mary. — Widziałam Dicka!

— Wiedziałam, że przyjdzie — rzekła Marta uradowana. — Jak się panience podobał?

— Zdaje mi się... zdaje mi się, że on jest bardzo piękny! — rzekła Mary bardzo stanowczo.

Marta zdziwiła się bardzo, ale była uszczęśliwiona równocześnie.

— No tak — powiedziała. — To najlepszy chłopak pod słońcem, ale nam się nigdy nie zdawało, żeby on był ładny. Znadto mu nos w górę leci.

— Lubię zadarte nosy — odrzekła Mary.

— A oczy ma takie okrągłe — powątpiewająco dorzuciła Marta. — Choć kolor mają ładny.

— Lubię oczy okrągłe, a kolor mają zupełnie taki, jak niebo nad stepem — odparła jej Mary.

Marta promieniała.

— Matka mówi, że on ma taki kolor oczu od ciągłego wypatrywania ptaszków w obłokach. Ale gębę to ma szeroką, prawda?

— Lubię jego szerokie usta — rzekła Mary z uporem — i chciałabym mieć takie same.

Marta roześmiała się rozkosznie.

— Wyglądałyby one dopiero zabawnie w takiej malutkiej twarzyczce — rzekła. — Ale wiedziałam, że tak będzie, jak go panienka zobaczy. A jak się tam panience podobały nasionka i narzędzia?

— Skąd wiesz, że mi je przyniósł? — zapytała Mary.

— Przecież wiedziałam, że przynieść musi. Musiał przynieść, skoro był w Yorkshire. To taki rzetelny<sup>43</sup> chłopak.

Mary lękała się, że Marta zacznie stawiać jej pytania, na które trudno dać będzie odpowiedź, ale obawy jej były zbyteczne. Zajęła się nasionkami i narzędziami i tylko przez chwilę Mary była w obawie. A było to wtedy, gdy Marta spytała, gdzie te nasionka wysieje.

— Kogo panienka prosiła? — pytała.

— Jeszcze się nikogo nie pytała i nikogo nie prosiła — odparła Mary wahająco.

— No dobrze. Więc panience nie radzę mówić o tym z naczelnym ogrodnikiem. To taki wielki pan, ten pan Boach.

— Nigdy go nie widziałam. Widziałam tylko pomocników i Bena Weatherstaffa.

— Żebym była na miejscu panienki, to prosiłabym Bena — radziła Marta. — Nie jest on ani przez pół taki niedobry, jak na to wygląda, choć taki skwaszony. Pan Craven pozwala mu na wszystko, bo on tu już był za życia jaśnie pani i zawsze panią umiał rozśmieszyć i zabawić. A pani też go lubiła. Może on panience gdzie na boku jaki kącik ogrodu wynajdzie.

— Gdyby to było gdzie na boku i gdyby nikt tego kawałka ziemi nie chciał, to wszakżeby to nikomu nie powinno szkodzić, prawda? — wyrzekła Mary lękliwie.

<sup>42</sup>*mysikrólik* — malutki ptaszek z rzędu wróblowych, o stosunkowo dużej głowie i czarnych oczach, mający upierzenie barwy szaro-żółtej z odrobiną białego, z charakterystycznym żółtym „berekciem”; mysikrólik wraz z ogonem mierzy do 10 cm.

<sup>43</sup>*rzetelny* — wypełniający należycie swe obowiązki.

— Naturalnie, że nie powinno — odparła Marta. — Przecież by panienka nikomu krzywdy nie zrobiła.

Mary zjadła obiad z najwyższym pośpiechem, a wstawszy od stołu, zamierzała pobiec do swego pokoju po kapelusz, lecz ją Marta wstrzymała.

— Mam panience coś do powiedzenia — rzekła — tyłkom myślała sobie, że lepiej dać panience wpieryw zjeść spokojnie obiad. Pan Craven wrócił dziś rano i zdaje mi się, że chce panienkę zobaczyć.

Mary zbladła jak opłatek.

— O mój Boże! — zawołała. — Czemu?! Czemu?! Wszak nie chciał mnie widzieć, gdy przyjechała. Słyszałam ją, Pitcher mówił, że nie chce!

— Ano tak — tłumaczyła Marta — pani Medlock mówi, że to przez matkę. Szła sobie do Thwaite i spotkała pana. Dawniej to nie byłaby z nim mówiła, ale pan Craven był kilka razy u nas. On to zapomniał, ale matka nie zapomniała i to ją ośmieliło, że go zaczepiła. Nie wiem, co tam mu o panience mówiła, ale coś takiego powiedziała, że pan chce panienkę zobaczyć, zanim znów jutro wyjedzie.

— Ach! Więc pojedzie sobie jutro? — wołała Mary. — Co za szczęście!

— Tak! Jedzie i na bardzo długo. Nie wróci teraz aż jesienią albo zimą. Będzie podróżował po obcych krajach. Zawsze tak robi.

— Takam szczęśliwa, takam szczęśliwa! — wołała Mary.

Jeżeli do zimy nie wróci, to będzie czas doglądać tajemniczego ogrodu i do życia go doprowadzić. Gdyby nawet wtedy odkrył wszystko i odebrał jej go, to by już w zysku miała tyle radosnych chwil.

— A kiedy, myślisz, będzie chciał zobaczyć...

Nie dokończyła zdania, gdyż drzwi się otworzyły i pani Medlock wkroczyła do pokoju. Miała na sobie swoją najlepszą czarną suknię i czepiec, a w kołnierzyk wpiętą miała wielką broszkę z portretem mężczyzny. Była to kolorowana fotografia ś.p. pana Medlocka, który wiele lat temu umarł, a żona jego nosiła broszkę z jego wizerunkiem na wszystkie wielkie uroczystości. Była zdenerwowana i podniecona.

— Włosy potargane — rzekła prędko. — Proszę się przyczesać. Marto, podaj najlepszą sukienkę, pomóż się panience ubrać. Pan Craven kazał mi ją przyprowadzić do swego gabinetu.

Twaryczka Mary zbieiała. Serduszko poczęło bić niespokojnie i poczuła, że zamienia się znów w sztywne, smutne, milczące dziecko. Nie odpowiedziała nic pani Medlock, tylko wyszła z wolna do swego pokoju wraz z Martą. Milczała, gdy ją przebierano i czesano, i milcząc szła za panią Medlock przez korytarze. Cóż miała mówić? Musiała, ot, pójść zobaczyć się z panem Craven — wiedziała, że ani on jej, ani ona jego lubić nie będzie. Wiedziała, co o niej pomyśli.

Poprowadzono ją do części domu, której nie znała dotąd. Wreszcie pani Medlock zapukała do drzwi, a gdy ktoś powiedział „proszę”, weszły obie. Mężczyzna siedział w fotelu przed kominkiem. Pani Medlock zagadła:

— Oto jest panna Mary, sir.

— Proszę iść i zostawić ją tutaj. Zadzwoń, skoro będzie czas zabrać ją stąd — rzekł pan Craven.

Kiedy pani Medlock wyszła i drzwi za sobą zamknęła, Mary stała tylko wyczekująco, takie smutne, drobne stworzonko, z rączkami zaciśniętymi trwożliwie. Widzieć mogła dobrze, że ten człowiek w fotelu nie jest garbaty, lecz tylko że plecy ma przygarbione, a czarne włosy gęsto siwizną przetkane. Odwrócił głowę i zagadał do niej.

— Przybliź się! — rzekł.

Mary podeszła do niego.

Nie był brzydki. Twarz jego byłaby piękna, gdyby nie była tak wymizerowana. Wyglądał tak, jakby widok jej męczył go i smucił i jakby namyślał się, co u licha z nią począć.

— Dobrze ci tu, mała? — spytał.

— Tak — odparła Mary.

— Dogadzają ci tu?

— Tak.

Smutnie potarł czoło, patrząc na nią.

— Drobniutka jesteś — powiedział znowu.

— Ale zaczynam tyć — odrzekła Mary bardzo sztywno, zdając sobie z tego zresztą sprawę.

Jakże miał nieskończenie smutną twarz! Oczy jego czarne wyglądały tak, jakby jej nie widziały, a jakby natomiast dostrzegły coś innego — z trudnością mógł sobie uprzytomnić jej obecność.

— Zapomniałem o tobie, dziecko — rzekł. — Ale czyż mogłem pamiętać? Zamierzałem przysłać ci nauczycielkę albo bonę, albo kogokolwiek, ale m zapomniał.

— Proszę... — zaczęła Mary. — Proszę... — lecz stłumiony szloch za krtań jej schwycił.

— Coś chciała powiedzieć? — dopytywał.

— Już... już za duża jestem na bonę — rzekła Mary. — A proszę... proszę nie dawać mi jeszcze nauczycielki.

Znów potarł czoło i popatrzył na nią.

— To samo mówiła Sowerby — mruczał niezupełnie przytomnie.

Wtedy Mary zebrała się na odwagę.

— Czy to... czy to matka Marty? — wyjąkała.

— Tak, zdaje mi się — odparł.

— Ona to wie, czego dzieciom trzeba — rzekła Mary. — Ona ma dwanaścioro. Ona wie!

Pan Craven zdawał się budzić z uspienia.

— A co chciałabyś robić?

— Chciałabym bawić się w ogrodzie — odparła Mary w nadziei, że głos jej drzeć nie będzie. — W Indiach nie lubiłam tego, ale tutaj to mi daje apetyt i tyję.

Pan Craven przyglądał jej się.

— Sowerby powiedziała także, że ci to dobrze zrobi — rzekł. — Być może. Ona mówi, że powinnaś się wzmocnić, zanim nauczycielkę dostaniesz.

— Czuję się silniejsza, gdy się bawię na dworze, a wiatr od stepu wieje — dowodziła Mary.

— Gdzie się bawisz? — pytał dalej.

— Wszędzie — jąkała się Mary. — Matka Marty przysłała mi skakankę. Biegam więc i skaczę, i rozglądam się, czy już roślinki zaczynają kiełkować. Nie robię szkody żadnej.

— Nie rób takiej wystraszonej minki — rzekł głosem zmęczonym. — Przecież takie dziecko jak ty nie może szkody zrobić! Możesz robić, co tylko zechcesz.

Mary chwyciła się za gardło, gdyż złękła się, że wuj dostrzec może wzruszenie, które jej prawie głos odebrało. Podeszła ku niemu o krok bliżej.

— Naprawdę? — spytała, drżąc cała.

Wystraszona jej twarzyczka zdawała się zasmucać go więcej niż zwykle.

— Nie rób takiej wystraszonej minki — zawołał znowu. — Naturalnie, że możesz. Jestem twym opiekunem, choć smutny ze mnie opiekun... dla każdego dziecka. Nie mogę poświęcić ci ani czasu, ani uwagi. Jestem zbyt chory, zbyt skołatany i zbyt roztargniony. Ale pragnąłbym widzieć cię szczęśliwą i zadowoloną. Nie umiem dzieciom dogadzać, ale pani Medlock ma pamiętać o wszystkich potrzebach twoich. Posłałem dzisiaj po ciebie, gdyż Sowerby powiedziała mi, że powinienem cię zobaczyć. Córka jej opowiadała jej o tobie. Ona uważa, że tobie trzeba świeżego powietrza, swobody i ruchu.

— Ona wie, czego dzieciom trzeba — rzekła znów Mary mimo woli.

— I powinna wiedzieć — rzekł pan Craven. — Zdawało mi się, że to trochę za śmiało było zatrzymywać mnie na stepie, ale mi powiedziała, że pani Craven ją lubiła. — Zdało się, że zbyt wiele kosztuje go wymówić mu imię zmarłej żony. — To porządna kobieta. Widzę teraz, że rozsądnie mówiła. Baw się w ogrodzie, ile tylko zechcesz. Park jest bardzo rozległy, możesz się bawić, gdzie i jak zechcesz.

Potem dodał, jakby nową myślą tknięty:

— Czy masz jeszcze jakie pragnienia? Chciałabyś zabawek, książek, lalek?

— Czy mogłabym — rzekła, jąkając się, Mary — czy mogłabym dostać kawałeczek ziemi?

W zapale swym nie zdawała sobie sprawy, jak dziwnie zabrzmiały te jej słowa i że wcale nie to chciała powiedzieć. Pan Craven zdawał się wprost przestraszony.

— Ziemi kawałek? — powtórzył. — Co przez to rozumiesz?

— No tak, żebym mogła siać i widzieć roślinki, jak rosną, jak się rozwijają i zaczynają żyć — mówiła Mary zająkliwie<sup>44</sup>.

Popatrzył na nią i ręką przesunął po oczach.

— Czyż tak bardzo dbasz o ogródek? — wyrzekł z wolna.

— W Indiach tom nie dbała. Było mi wszystko jedno — odpowiedziała Mary. — Byłam zawsze chora i zmęczona i było tam zawsze zbyt gorąco. Czasem robiłam sobie w piasku klombiki i sadziłam niby to kwiatki. Ale tutaj to zupełnie co innego.

Pan Craven wstał z miejsca i począł wolno chodzić po pokoju.

— Kawalek ziemi — mówił do siebie, a Mary pomyślała, że musiała mu coś minionego przywieść na pamięć. Gdy się zatrzymał i przemówił do niej, oczy jego miały wyraz pełen słodczy i dobroci.

— Tyle ziemi możesz dostać, ile tylko zechcesz — rzekł do niej. — Przypominasz mi kogoś, kto też lubił ziemię i żyjące roślinki. — Potem z cieniem uśmiechu dodał — Jak zobaczysz kawałek ziemi, który byś mieć pragnęła, weź go sobie, dziecko, i... życie wlej w niego!

— A czy gdziekolwiek bądź wziąć mogę, gdyby tego kawałka nikt nie potrzebował?

— Gdziekolwiek bądź — odparł. — Tak! A teraz idź, dziecko, zmęczony jestem! — Dotknął dzwonka. — Do widzenia. Całe lato mnie tu nie będzie.

Pani Medlock weszła tak prędko, że Mary pewna była, iż czekała pode drzwiami.

— Pani Medlock — rzekł pan Craven, zwracając się do niej — teraz, kiedym to dziecko widział, rozumiem, co miała na myśli Sowerby. Musi się ona wzmocnić, zanim do nauki przystąpi. Proszę jej dawać zdrowe, proste pożywienie. Pozwolić swobodnie biegać po parku. Niech jej pani nie krępuje ciągłym dozorem. Potrzeba jej swobody, powietrza, ruchu. Sowerby może ją odwiedzać od czasu do czasu, a i Mary może pójść kiedy do nich.

Pani Medlock wyglądała na uradowaną. Odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała, że nie ma jej „krępować zbytym dozorem”. Opieka nad Mary była dla niej uciążliwa, ale też starała się widzieć dziewczynkę tyle tylko, ile najkonieczniejsze. W dodatku lubiła bardzo matkę Marty.

— Dzięki, sir — rzekła. — Zuzanna Sowerby chodziła ze mną do szkoły i tak ma dobrze w głowie i takie serce złote, że niełatwo drugą taką znaleźć. Ja bo nie miałam dzieci, ale ona ma dwanaścioro, a wszystko zdrowe i pocziwe. Pannie Mary ujmy ich towarzystwo nie zrobi. Gdy szło o dzieci, Zuzanny Sowerby zawsze się radziłam. Ona to naprawdę ma taki zdrowy rozsądek, jeżeli sir rozumie, co chcę powiedzieć.

— Rozumiem — odparł pan Craven. — Proszę teraz zabrać panienkę, a przysłać mi Pitchera.

Gdy pani Medlock rozstała się z nią na końcu korytarza, Mary wpadła do swego pokoju. Zastała tam czekającą na siebie Martę, która doprawdy śpieszyła tu po odniesieniu naczyń do kuchni.

— Mogę mieć własny ogród! — wołała Mary. — Mogę mieć go, gdzie tylko zechcę! Długo jeszcze nie dostanę nauczycielki! I twoja matka może do mnie przychodzić, a mnie do was pójść wolno! Wuj powiedział, że taka mała dziewczynka nie może szkody żadnej zrobić i że mi wszędzie chodzić wolno, gdzie dusza raczy<sup>45</sup>: wszędzie!

— Jak też to pocziwie ze strony pana, nieprawda? — rzekła Marta.

— Marto — zaczęła Mary uroczyście — wuj jest naprawdę bardzo dobry, tylko twarz ma taką smutną, a czoło takie zmarszczek pełne!

Co tchu pobiegła do ogrodu. Była w domu o tyle dłużej, niż myślała, a wiedziała, że Dick wyruszyć też musi w swoją pięciomilową drogę. Gdy się prześliznęła przez drzwi pod zwojami bluszczu, nie zobaczyła chłopca w tym miejscu, gdzie go była zostawiła. Narzędzia były złożone porządnie pod drzewem. Pobiegła w tę stronę, rozglądała się, ale Dicka dostrzec nigdzie nie mogła. Poszedł, a ogród tajemniczy opustoszał; był tylko gil, który właśnie przefrunął był mur i usiadł na wysokim krzaku róży, patrząc na dziewczynkę.

— Poszedł! — wyrzekła smutno. — Czyżby... czyżby... czyżby był tylko wrózką leśną?

Naraz coś białego, przyczepionego do krzaka róży, wzrok jej przykuło. Był to kawałek papieru, a naprawdę kawałek listu, który Mary dla Marty drukowała do Dicka.

<sup>44</sup>zająkliwie — jękając się; zacinając się.

<sup>45</sup>raczyć — tu: pragnąć, chcieć.

Papier przyczepiony był do krzaka cierniem, a Mary odgadła natychmiast, że Dick go tu zostawił. Na papierze było kilka niezręcznych liter i coś jakby obrazek. Na razie nie umiała odgadnąć, co by to miało znaczyć. Potem spostrzegła, że ma to wyobrażać gniazdko z siedzącym wewnątrz ptaszkiem. Pod obrazkiem było drukowanymi literami wypisane:

„Ja tu wrucę”.

### ROZDZIAŁ XIII. „JESTEM COLIN”

Mary zabrała z sobą obrazek, gdy do domu na kolację wracała, i pokazała go Marcie.

— No, patrzcie! — rzekła ta z dumą. — Nigdy nie myślała, że nasz Dick taki sprytny. To przecież mysikrólik w swoim gniazdku: taki duży jak żywy, a jeszcze raz tak prawdziwy.

Wtedy Mary zrozumiała, że Dick chciał, by ten obrazek był symbolem. Chciał powiedzieć, że może być pewna, że jej dochowa tajemnicy. Ogród tajemniczy był jej gniazdkiem, ona zaś była mysikrólikiem. O, jakżeż lubiła szczerze tego dziwnego, prostego chłopca!

Zasnęła zdrowym snem w nadziei, że Dick niezawodnie przyjdzie zaraz nazajutrz.

Lecz nie mogła nigdy przewidzieć, jakiego pogoda figla spleta w Yorkshire, szczególnie w wiosennej porze. Mary obudził w nocy odgłos ciężkich kropli deszczu bijącego w szyby. Lało jak z cebra, a wicher wyl i zawodził po kątach i kominach wielkiego, pustego domu. Mary usiadła na łóżku bardzo nieszczęśliwa i zła.

— Ten deszcz to taki przekorny, jak ja dawniej byłam — rzekła. — Przyszedł, bo wiedział, że go nie pragnę.

Rzuciła się na łóżko i twarz ukryła w poduszki. Nie płakała, tylko leżała i czuła nienawiść do plusku monotonnego deszczu i do wycia wichru. Nie mogła już zasnąć powtórnie. Przygnębiające odgłosy zasną jej nie dawały, gdyż czuła się sama przygnębiona i smutna. Gdyby była szczęśliwa, byłyby ją szумы te do snu ukołysały. Jak też wyl wiatr, jak też te ogromne krople ciężko były w szyby!

„Mam wrażenie, jakby ktoś w stepie zabłądził i chodził, i płakał” — pomyślała.

Leżała tak przeszło godzinę, przewracając się z boku na bok, gdy naraz usłyszała coś takiego, że usiadła nagle na łóżku i głowę zwróciła ku drzwiom, nasłuchując. Słuchała i słuchała.

— Teraz to na pewno nie wiatr — rzekła do siebie szeptem. — Nie, to nie wiatr. To zupełnie co innego. To ten płacz, który słyszałam przedtem.

Drzwi od jej pokoju otwarte były na korytarz, z którego dochodził oddalony, słaby płacz rozszoszczonego dziecka. Nasłuchiwała kilka minut, a z chwilą każdą nabierała pewności. Wiedziała, że musi dojść do tego, co to jest. Wydawało jej się to dziwniejsze jeszcze niż ogród tajemniczy i pogrzebany klucz. Być może, że jej odwagę dała ta okoliczność, że w danej chwili miała buntu pełną duszę. Wyciągnęła nogi z łóżka, wyskoczyła na podłogę.

— Zaraz dojdę, co to jest — rzekła sobie. — Wszyscy teraz śpią, a zresztą nic sobie nie robię z pani Medlock, nic!

Wzięła świecę stojącą przy łóżku i cicho wyszła z pokoju. Korytarz był długi i ciemny, lecz Mary zbyt była podniecona, by na to zwrócić uwagę. Myślała, że odnajdzie drogę, którą przejść musi, by odnaleźć ów krótki korytarzyk z zakrytymi dywanem drzwiami, przez które pani Medlock weszła tego dnia, gdy Mary zabłądziła. Płacz dochodził z tego właśnie pasażu. Szła zatem przed siebie z migającym swym słabym światełkiem, wyczuwając raczej właściwą drogę, a serce jej biło tak głośno, że zdawało jej się, że słyszy jego uderzenia. Oddalony płacz trwał i wiódł ją. Czasami ustawał na chwilkę, po czym znów się rozpoczynał. Czy tutaj miała zawrócić? Zatrzymała się i popatrzyła. Tak, to tutaj. Teraz przez ten korytarz, potem na lewo, potem dwa szerokie stopnie, potem znów na prawo. Tak, oto znalazła drzwi z dywanem.

Otworzyła je delikatnie i zamknęła cicho za sobą. Stała w korytarzu i słyszała płacz zupełnie wyraźnie, choć nie był głośny. Płacz szedł od drugiej strony ściany na lewo —

o kilka łokci dalej — a były tam drzwi. Pod drzwiami tymi na dole widzieć się dawała smuga światła, ów ktoś płakał w tym pokoju, a był to młody jeszcze Ktoś!

Podeszła zatem do drzwi, otworzyła je i oto znalazła się w pokoju.

Był to pokój obszerny, z pięknym, staroświeckim umeblowaniem. Słaby ogień tlił się na kominku, nocna lampka paliła się przy rzeźbionym łożu z baldachimem na czterech kolumnkach opartym i przysłonionym brokatelą, na łożu zaś leżał chłopczyk, krzycząc ze złością.

Mary nie wiedziała, czy to była rzeczywistość, czy też może zasnęła i śni oto taki sen dziwny.

Chłopczyk miał ostrą, drobną twarz koloru kości słoniowej, a oczy jego zdawały się na twarz tę zbyt duże. Gęstwa włosów w lokach opadała mu na czoło, co twarzyczkę drobniejszą jeszcze czyniło. Wyglądał jak chłopiec chory, ale krzyczał jakby ze złości i zmęczenia, a nie z bólu.

Mary stała przy drzwiach z swą świecą w ręku z oddechem zapartym. Potem przeszła przez pokój, a gdy się zbliżyła, światło zwróciło uwagę chłopca, który odwrócił się w tę stronę i patrzył na nią szeroko otwartymi, szarymi oczyma, które w tej chwili wydawały się olbrzymie.

— Kto jesteś? — rzekł wreszcie szeptem, trochę przelękniony. — Czy jesteś duchem?

— Ja nie — odparła Mary również szeptem i również trochę przestraszona. — A ty, czy duchem jesteś?

On patrzył, patrzył i patrzył. Mary musiała zauważyć, jakie dziwne były jego oczy. Miały kolor szarego agatu, a wyglądały na zbyt wielkie do jego twarzy, gdyż ocieniały je długie a ciemne rzęsy.

— Nie — odparł po chwili wyczekiwania. — Jestem Colin.

— Co za Colin? — wyjąkała.

— Jestem Colin Craven. Kto ty jesteś?

— Jestem Mary Lennox. Pan Craven jest moim wujem.

— A moim ojcem — rzekł chłopiec.

— Twoim ojcem! — wyjąkała znów Mary. — Nikt mi nie mówił, że wuj ma syna! Czemu mi nie powiedzieli?

— Chodź tutaj — powiedział, nie spuszczać z niej wystraszonego wzroku.

Podeszła blisko do łóżka, on zaś rękę wyciągnął i dotknął jej.

— Jesteś przecież naprawdę? — spytał. — Takie rzeczywiste sny miewam często. Może i ty snem jesteś.

Mary otuliła się była wełnianym szalem, gdy wychodziła z swego pokoju, a teraz koniec jego włożyła między jego palce.

— Potrzymaj ten szal i zobacz, jaki on gruby i ciepły — rzekła. — Uszczypię cię trochę, jeśli chcesz, żeby ci pokazać, jaka jestem prawdziwa. Przez chwilkę ja też myślałam, że śnię.

— Skąd przyszedłaś? — zapytał.

— Z mego pokoju. Wiatr świszczał, nie mogłam spać, usłyszałam, że ktoś płacze, chciałam dowiedzieć się, kto. Dlaczego płakałeś?

— Bo też nie mogłem zasnąć i głowa mnie bolała. Powiedz mi jeszcze raz, jak się nazywałeś.

— Mary Lennox. Czy ci nikt nie mówił, że tu przyjechałam na stałe?

Trzymał wciąż w ręku fałdy jej szala, ale zdawał się już więcej wierzyć<sup>46</sup> w jej rzeczywistość.

— Nie — odparł. — Nie wolno im.

— Dlaczego? — spytała Mary.

— Bo bym się był lękał, że zechcesz mnie widzieć. Nie lubię ludzi widzieć i rozmawiać z nimi.

— Ale dlaczego? — znów zapytała Mary, coraz bardziej zdziwiona.

— Bom zawsze taki jak teraz, chory i zmuszony leżeć. Ojciec też nie chce, żeby do mnie mówiono. I służbie rozpowiadać o mnie nie wolno. Jeśli będę żyć, to będę garbaty, ale ja umrę. Ojciec znieść nie może myśli, że będę taki, jak on.

<sup>46</sup>więcej wierzyć — dziś popr.: bardziej wierzyć.

— Boże! Cóż to za dom dziwny! — zawołała Mary. — Cóż za dziwny dom! Wszystko jest otoczone tajemnicą. Poryglowane pokoje, poryglowane ogrody, teraz znów ty! Czy i ciebie zamykają?

— Nie. Ale nie życzę sobie ruszać się z tego pokoju. Zbyt mi to męczy.

— Czy ojciec twój przychodzi cię odwiedzać? — zaryzykowała Mary pytanie.

— Czasami. Najczęściej, gdy śpię. Ojciec nie pragnie mnie widzieć.

— Dlaczego? — Mary nie mogła wstrzymać się od zapytania znowu.

Coś jakby cień złości przysłonił oczy chłopca.

— Matka moja umarła, gdym się urodził, więc ojciec strasznie ma uczucie, gdy patrzy na mnie. On myśli, że o tym nie wiem, ale słyszałem, jak sobie ludzie mówili. Ojciec nienawidzi mnie.

— On i ogrodu nienawidzi, bo ona umarła — rzekła Mary, mówiąc jakby do siebie.

— Jakiego ogrodu? — spytał chłopiec.

— Och! No... no jednego ogrodu, który twoja matka lubiła — jękała Mary. — Czy zawsze tu byłeś?

— Prawie zawsze. Czasem wywozili mnie do różnych miejscowości nad morze, ale nie chcę tam jeździć, bo na mnie wszyscy patrzą. Zwykle nosiłem taki żelazny przyrząd, żebym się prosto trzymał, ale przyjechał do mnie pewien wielki doktor z Londynu i powiedział, że to nie ma sensu. Kazał mi zdjąć ten przyrząd i dużo przebywać na świeżym powietrzu. Nie znoszę świeżego powietrza i nie pragnę wcale wychodzić na dwór.

— Ja też z początku nie lubiłam, gdym tu przyjechała — rzekła Mary. — Ale dlaczego tak mi się wciąż uparcie przyglądasz?

— Myślę sobie o snach, które bywają takie rzeczywiste — odparł ofukliwie<sup>47</sup>. — Czasem, gdy oczy otworzę, wierzyć nie mogę, że na jawie.

— Oboje jesteśmy na jawie — rzekła Mary. Rozejrzała się po pokoju, po wysokim sklepieniu, po cieniach kładących się w kątach, po przyćmionym świetle lampki nocnej. — Naprawdę, wygląda wszystko to jak sen; i jest teraz noc, i wszyscy w domu śpią, wszyscy, prócz nas dwojga. Oboje jesteśmy rozbudzeni.

— Nie chciałbym, żeby to był sen — rzekł chłopiec prędko.

Mary tknęła myśl nowa.

— Jeżeli nie lubisz, żeby na ciebie patrzono — rzekła — to może wolisz, żebym sobie poszła?

Colin wciąż trzymał koniec jej szala — teraz pociągnął go z lekka.

— Nie — odparł. — Gdybyś odeszła, byłbym pewny, żeś snem była tylko. Jeśliś jest naprawdę, to usiądź tu, na tym dużym fotelu i opowiadaj. Chciałbym wiedzieć coś o tobie.

Mary postawiła swą świecę na stoliku przy łóżku, sama zaś zasiadła wygodnie w miętym fotelu. Nie miała wcale ochoty stąd odchodzić. Pragnęła zostać w tajemniczo ukrytym pokoju i rozmawiać z tym zagadkowym chłopcem.

— O czym chcesz, bym ci opowiadała? — spytała.

Colin chciał wiedzieć, od jak dawna była w Misselthwaite; chciał wiedzieć, na którym korytarzu znajdował się jej pokój; chciał wiedzieć jeszcze, co robiła; czy również nie lubiła stepu, jak on; gdzie mieszkała, zanim przybyła do Yorkshire. Mary odpowiadała na te pytania, jak i na wiele innych jeszcze, on zaś leżał na wznak na poduszkach i słuchał. Prosił ją, by mu opowiadała dużo o Indiach i o swej podróży przez ocean. Dziewczynka zauważyła, że Colin wskutek swego kalectwa nie znał wielu zabaw i gier, znanych innym dzieciom. Jedną z jego opiekunek nauczyła go czytać, gdy był jeszcze bardzo mały; teraz ciągle czytał i oglądał obrazki z wykwintnych wydawnictw.

Choć ojciec Colina rzadko widywał go, przysyłał mu jednakże mnóstwo pięknych rzeczy dla rozrywki. Jego wszakże nic nie zdawało się bawić. Mógł mieć zawsze wszystko, czego by zażądał, natomiast nie kazano mu nigdy robić nic, co by się z wolą jego nie zgadzało.

— Każdy musi robić to, co mnie się podoba — rzekł obojętnie. — Gniew mi bardzo szkodzi. Nikt nie wierzy, bym mógł żyć długo.

Powiedział to takim tonem, jakby się z tą myślą zżył i jakby mu to wszystko było całkiem obojętne. Dźwięk głosu Mary zdawał się być mu miły. Gdy mówiła, słuchał jej

<sup>47</sup> ofukliwie — dziś raczej: opryskliwie.



zaciekawiony, choć śpiący. Kilka razy zdawało jej się, że zaczął zapadać w drzemkę. Lecz naraz znów postawił pytanie, które dało im nowy temat.

— Ile masz lat? — zagadnął.

— Dziesięć — odparła Mary, zapominając się na chwilę — i ty tak samo.

— Skąd wiesz o tym? — spytał zdziwiony.

— Bo jak się urodziłeś, wtedy to drzwi ogrodu zostały zamknięte, a klucz zagrzebany.

I dziesięć lat był ogród zamknięty.

Colin podniósł się nieco, łokieć opierając na poduszki.

— Jakie drzwi od ogrodu zostały zamknięte? Kto je zamknął? Gdzie pogrzebali klucz? — zawołał zaciekawiony ogromnie.

— To... to właśnie ten ogród, którego pan Craven nienawidzi — mówiła Mary nerwowo. — On to drzwi zamknął. Nikt, nikt nie wiedział, gdzie klucz jest zakopany.

— Cóż to jest za ogród? — nalegał Colin, zapalając się. „Od dziesięciu lat nikomu wejść doń nie było wolno” — brzmiała ogłędna odpowiedź.

Lecz za późno już było na ogłędność. Colin zbyt był usposobieniem podobny do Mary. On również nie miał czym myśli zająć, zatem wiadomość o ukrytym ogrodzie pochłonęła go tak, jak ongi pochłonęła Mary. Stawiał pytanie za pytaniem. Gdzież był? Czy nigdy nie starała się odszukać drzwi? Czy nie pytała ogrodników?

— Cóż, kiedy o tym mówić nie chcą — odpowiedziała Mary. — Myślę, że im zakazano odpowiadać w tym względzie.

— Ja im każę odpowiadać — rzekł Colin.

— Czy mógłbyś rozkazać? — wyjąkała Mary, która zaczęła się lękać. Jeśli on każę odpowiadać sobie, to Bóg wie, co się stać może!

— Każdy musi się starać mnie podobać. Wszak ci już raz powiedziałem — rzekł ostro.

— Gdybym miał żyć, to wszak to wszystko byłoby kiedyś moje. Oni dobrze o tym wiedzą. Każę sobie wszystko powiedzieć.

Mary nie zdawała sobie sprawy z tego, że była zepsutym dzieckiem, lecz widziała aż nadto jasno, że był nim ten dziwny, tajemniczy chłopiec. Zdawało mu się, że cały świat dla niego został stworzony. Jakiż on był dziwny i jak obojętnie mówił o śmierci!

— Czy i ty myślisz, że nie będziesz żył? — spytała na poły przez ciekawość, na poły zaś w nadziei, że odwróci jego uwagę od ogrodu.

— Nie sądzę, bym mógł żyć — odparł równie obojętnie jak poprzednio. — Odkąd tylko pamięcią sięgnę, zawsze mówiono, że żyć nie mogę. Najpierw myśleli, że za mały, by zrozumieć, teraz zaś myślą, że nie słyszę. Ale ja słyszę, i dobrze. Lekarz, który mnie leczy, jest stryjecznym bratem ojca. Jest on biedny, a jeśli ja umrę, to po śmierci ojca on odziedziczy Misselthwaite. Myślę, że on nie bardzo pragnie, bym żył.

— A ty, czy chciałbyś żyć? — zagadnęła Mary.

— Nie — rzucił przez zęby zły i zmęczony. — Ale nie chcę i umrzeć. Jak się czuję chory, to tutaj leżę i rozmyślam, a potem płaczę i krzyczę bez końca.

— Trzy razy słyszałam, jak płakałeś — rzekła Mary — ale nie wiedziałam kto to. Czy dlatego płakałeś?

Tak chciała, by zapomniał o ogrodzie!

— Wątpię — odparł. — Mówmy o czym innym. Mów mi o ogrodzie. Czy nie pragniesz go zobaczyć?

— Pragnę — odparła Mary cichutko.

— Ja także — nalegał dalej. — Zdaje mi się, że nigdy przedtem nie pragnąłem widzieć czegokolwiek, lecz pragnę widzieć ten ogród. Pragnę odkopać ten klucz. Pragnę otworzyć drzwi. Kazałbym się w moim krześle tam zanieść. Mógłbym tam użyć świeżego powietrza. Ja im po prostu rozkażę otworzyć te drzwi.

Podniecony był ogromnie, a dziwne jego oczy poczęły błyszczeć jak dwie gwiazdy, a wyglądały jeszcze większe niż zawsze.

— Muszą wszak mnie się przypodobać — powiedział. — Każę się tam zanieść i tobie pozwolę iść z sobą także.

Mary konwulsyjnie zacisnęła rączki. Wszystko przepadnie — wszystko! Dick nigdy już nie wróci. Ona zaś nigdy już nie będzie jak mysikrólik ukryty w swym gniazdku.

— Och! Nie rób tego, nie rób tego, nie rób, nie rób! — wołała rozpaczliwie.

Spoglądał na nią jak na obląkaną.

— Dlaczego? — wykrzyknął. — Wszak sama powiedziałaś, że byś go chciała zobaczyć.  
— I chcę — odparła, połykając łzy — tylko jeśli im tak każesz po prostu otworzyć drzwi i zanieść się, to już przestanie być tajemnicą.

Colin pochylał się ku niej coraz więcej.

— Tajemnicą? — spytał. — Co masz na myśli? Powiedz!

Słowa Mary poczęły padać bezładnie.

— No widzisz... widzisz — mówiła dysząc — gdyby nikt nie wiedział prócz nas... gdyby tam były drzwi ukryte gdzieś pod bluszczem... gdyby były, a my byśmy je znaleźli; i gdybyśmy się wśliznąć mogli przez nie, i zamknąć je za sobą, i gdyby nikt nie wiedział, że tam ktoś jest, i gdybyśmy ten ogród nazwali naszym i na niby, że to jest... że my jesteśmy mysikrólikami, a to jest nasze gniazdko, i gdybyśmy tam mogli co dzień się bawić i kopać, i siać, i ożywić go...

— Więc tam wszystko zmarniało? — przerwał jej.

— Zmarnieje niedługo, jeśli nikt dbać o niego nie będzie — ciągnęła dalej. — Cebulki będą żyły, ale róże...

Znow jej przerwał, również podniecony jak ona.

— Co to cebulki? — spytał spiesznie.

— Z cebulek wyrastają żonkile, narcyzy, pierwiosnki. Teraz one w ziemi pracują: wypuszczają blade-zielone kielczki, bo już wiosna nadchodzi.

— Czy już wiosna nadchodzi? — spytał. — Jaka jest? W pokoju to się nic nie wie, gdy się jest chorym.

— Wiosna, widzisz, to jest jak słońce świeci i deszczyk pada, więc na przemiany, a roślinki kielki puszcza i pędy świeże, a pod ziemią pracują — objaśniała Mary. — Gdyby ogród pozostał w tajemnicy, moglibyśmy do niego wejść i doglądać, jak wszystko z dnia na dzień rośnie coraz większe, i wiedzielibyśmy, ile róż jest żywych. Czy nie widzisz... czy nie widzisz, o ile by to było ładniej, gdyby to wszystko było tajemnicą?

Rzucił się na poduszki i leżał tak z dziwnym wyrazem twarzy.

— Nigdy nie miałem tajemnicy — rzekł — z wyjątkiem tego, że muszę umrzeć dzieckiem. Oni wszyscy nie wiedzą, że ja wiem o tym, więc to coś jakby tajemnica. Ale wolę, że tak jest.

— Gdybyś nie chciał, żeby cię oni zaprowadzili do ogrodu — błagała Mary — może... prawie pewna jestem, że znalazłabym sposób, żeby doń czasem wejść. A potem, jeśli doktor chce, żeby cię wynoszono w fotelu na powietrze, i jeśli w dodatku możesz zawsze robić, co chcesz, to może... może znaleźlibyśmy jakiego chłopca, który by twój fotel popychał, i moglibyśmy chodzić sami, i ogród pozostałby tajemniczy.

— To byłoby doskonale — rzekł Colin wolno bardzo, z rozmarzonymi oczyma. — Doskonale. Świeże powietrze w tajemniczym ogrodzie... nie byłoby mi przykre.

Mary poczęła wracać do równowagi i czuć się bezpieczniejsza, ponieważ myśl utrzymania tajemnicy zdawała mu się podobać. Była zupełnie pewna, że jeśli dalej mówić będzie i jeśli będzie umiała pokazać mu w myśli ogród taki, jakim go ona widziała, to wtedy tak się do niego zapali, że nie znieśie po prostu myśli, by ktośkolwiek mógł przestąpić próg jego prócz nich.

— Powiem ci, jak ja myślę, że on by wyglądał, gdybyśmy mogli się do niego dostać — rzekła. — Był on tak długo zamknięty, że się może wszystko zrosło w gąszcz poplątany.

Colin leżał spokojnie i słuchał, podczas gdy Mary dalej mówiła o różach, które może pięły się od drzewa do drzewa i zwisały festony gałązek — o niezliczonej ilości ptaszków, które może pobudowały tam sobie gniazdko jako w miejscu tak bezpiecznym. Potem opowiedziała mu o gilu i o Benie Weatherstaff, a tak było dużo do mówienia o gilu i było to tak łatwo mówić i tak bezpiecznie, że już się zupełnie trwożyć przestała. Opowiadanie o gilu tak mu się podobało, że mu uśmiech twarzy zaczął rozjaśniać, aż stał się wprost śliczny, a na pierwsze wejrzenie zdawało się Mary, że on brzydszy od niej z tymi wielkimi oczyma i gąszczem loków nad czołem.

— Nie wiedziałem, że ptaki mogą być takie mądre — powiedział. — Ale jak się siedzi w pokoju, to się o niczym nie wie. Jakie ty mnóstwo rzeczy wiesz i znasz! Mam uczucie, że tam byłeś w tym ogrodzie.

Mary nie wiedziała, co odrzec, więc milczała. On widocznie odpowiedzi nie oczekiwał, a w następnej chwili zrobił jej niespodziankę.

— Chcę ci coś pokazać — powiedział. — Czy widzisz tę czerwoną jedwabną zasłonę na ścianie nad kominkiem?

Mary jej z początku nie zauważyła, lecz teraz spojrzała i dostrzegła ją. Była to zasłona z miękkiego jedwabiu, wisząca nad czymś, co przypuszczalnie było obrazem.

— Widzę — odpowiedziała.

— Tam z boku jest sznur — objaśniał Colin. — Idź i pociągnij go.

Mary wstała zaciekawiona, znalazła sznur. Gdy go pociągnęła, rozsunęła się jedwabna zasłona, a rozsunawszy się, odkryła obraz. Był to portret młodej dziewczyny o śmiejącej się twarzą. Miała ona jasne włosy, związane błękitną wstążką, a jej wesołe, śliczne oczy były zupełnie podobne do smutnych oczu chłopca, też szare jak agaty i wyglądające na większe, niż były, wskutek ciemnych, długich rzęs.

— To moja mamusia — smutno rzekł Colin. — Nie wiem, czemu ona umarła. Czasem nienawidzę jej, że mi to zrobiła!

— Jak ty dziwnie mówisz! — zawołała Mary.

— Gdyby mamusia była żyła<sup>48</sup>, to wiem na pewno, że nie byłbym ciągle taki chory — skarżył się. — I przypuszczam, że byłbym żył. A ojciec patrzyłby na mnie bez nienawiści. I sądzę, że miałbym silne, proste plecy... Zaciągnij zasłonę.

Mary zrobiła, jak kazał, i wróciła na swój fotel.

— Ona jest o wiele ładniejsza niż ty — rzekła — ale jej oczy są zupełnie takie, jak twoje, w każdym razie taki sam kształt i kolor. Czemu ją zasłania ta firanka?

Poruszył się niecierpliwie.

— To ja kazałem zrobić — odparł. — Czasami nie lubię, gdy na mnie patrzy. Znadto się uśmiecha, podczas gdy jestem nieszczęśliwy i chory. Poza tym to moja mamusia i nie chcę, żeby ktokolwiek na nią patrzył.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym odezwała się Mary.

— Co by też zrobiła pani Medlock, gdyby się dowiedziała, że byłam tutaj? — zagadnęła.

— Zrobiłaby to, co bym rozkazał — odrzekł. — A ja bym jej powiedział, że pragnę, żebyś co dzień do mnie przychodziła i rozmawiała ze mną. Bardzo rad jestem, że przyszłaś.

— Ja też się cieszę — rzekła Mary. — Będę przychodziła, jak tylko będę mogła, ale — zawahała się — będę musiała co dzień szukać drzwi.

— Tak jest, musisz — rzekł Colin — a potem mi opowiesz.

Poleżał chwilkę, rozmyślając, jak przedtem, potem znów zaczął:

— Myślę, że i ciebie zatrzymam w tajemnicy. Nic im nie powiem, póki się sami nie dowiedzą. Mogę zawsze bonę wysłać z pokoju i powiedzieć, że chcę być sam. Czy znasz Martę?

— Tak. Znam ją bardzo dobrze — odparta Mary. — Ona mi służy.

Wskazał skinieniem głowy na drugą stronę korytarza.

— To ona właśnie śpi tam w drugim pokoju. Bona poszła wczoraj, żeby noc spędzić z siostrą, a ona zawsze każe Marcie być przy mnie, gdy sama odchodzi. Marta ci zawsze powie, kiedy możesz przyjść do mnie.

Teraz dopiero zrozumiała Mary poważny wzrok Marty, gdy ją pytała o ów płacz.

— To Marta wiedziała od dawna o tobie? — spytała.

— A tak! Ona mi często służy. Bona lubi wychodzić, wtedy przychodzi tutaj Marta.

— Długo już tu jestem — mówiła Mary. — Czy mam już pójść? Oczy masz senne.

— Chciałbym zasnąć, zanim stąd odejdziesz — rzekł trochę nieśmiało.

— Zamknij oczy — powiedziała Mary — przybliżając swój fotel — a ja będę robiła to, co robiła zwykle moja Ayah w Indiach. Będę cię trzymała za rękę i będę cię głaskać, i cichuteńko cośkolwiek śpiewać.

— Myślę, że mi to będzie przyjemne — rzekł sennie.

<sup>48</sup>była żyła — konstrukcja daw. czasu zaprzeczonego, tj. wyrażająca czynność wcześniejszą od tej wyrażonej zwykłym czasem przeszłym.

Mary żał go się zrobiło i nie chciała, by leżał nie śpiąc, pochyliła się zatem nad łóżkiem, poczęła głaskać go po ręce i nucić cicho piosnkę hindustańską<sup>49</sup>.

— Jakie to śliczne! — mówił coraz bardziej sennie, a ona wciąż nuciła i głaskała go, a gdy na niego znów spojrzała, ciemne jego rzęsy opadały na oczy i zasnął. Wstała zatem delikatnie, wzięła świecę i wysunęła się z pokoju bez szelestu.

#### ROZDZIAŁ XIV. MŁODY RADŹA

Step zakryty był mgłą, gdy nadszedł ranek, a deszcz nie przestawał padać. Nie było mowy o wyjściu na dwór. Marta taka była zajęta, że Mary nie miała sposobności z nią pomówić, lecz po południu poprosiła ją, by przyszła posiedzieć z nią w jej pokoju. Przyszła, przynosząc z sobą pończochy, które zawsze cerowała, o ile nie była zajęta czym innym.

— No, co tam u panienki nowego? — spytała, skoro tylko usiadła. — Taką panienka ma minę, jakby mi miała coś do powiedzenia.

— Bo mam. Doszłam już do tego, co to były te płacze — rzekła Mary.

Marta upuściła cerowaną pończochę na kolana i spojrzała przerażonymi oczyma.

— Nie! — krzyknęła. — Nigdy!

— Słyszałam płacz w nocy — ciągnęła dalej Mary. — Wstałam więc i poszłam przekonać się, skąd pochodzi. To Colin płakał. Znalazłam go.

Twarz Marty okryła się szkarlatem ze strachu.

— Och! Panno Mary! — zawołała, płacząc prawie. — Nie trzeba było tego robić, nie trzeba było! To mi może tyle złego narobić! Przecież nigdy panience nic o nim nie mówiłam, a jednak dużo złego może mi to narobić. Stracę miejsce i co matka ze mną pocznie!

— Nie stracisz miejsca — uspakajała Mary. — Colin rad był, że przyszłam. Mówiliśmy i mówili, i on powiedział, że rad jest, że przyszła.

— Był rad? — zawołała Marta. — Czy panienka pewna? Panienka nie wie, jaki on jest, jak mu się coś nie podoba. Za duży już z niego chłopak, żeby beczeć jak dziecko małe, ale jak się rozłości, to drze się tak, że się wystraszyć można. On wie, że przy nim to się człowiek boi oddychać.

— Ale on wcale nie był zły — rzekła Mary. — Spytałam go, czy mam odejść, a on mnie prosił, bym została. Pytał mnie o różne rzeczy, a ja siedziałam na dużym fotelu i mówiłam mu o Indiach i o gilu, i o ogrodach. Nie chciał mnie puścić. Pokazał mi portret swojej matki. Zanim odeszłam, śpiewem go uspiłam.

Marta zaniemówiła wprost ze zdumienia.

— Ledwie mi się w to wszystko chce wierzyć! — wołała. — A toć to tak jakby panienka wlała do jaskini lwa. Gdyby był taki, jak jest najczęściej, to by był wpadł w furję i obudziłby cały dom. On nie chce, żeby obcy na niego patrzeli.

— Mnie pozwolił patrzeć na siebie. Cały czas patrzyłam na niego, a on na mnie. Patrzyliśmy sobie w oczy! — rzekła Mary.

— Nie wiem, co teraz począć! — lamentowała Marta. — Jak się pani Medlock dowie, to pomyśli, że nie posłuchała rozkazu i powiedziała panience, i odeśle mnie do matki.

— On pani Medlock nic teraz nie powie. Będzie to tymczasem tajemnicą — rzekła Mary stanowczo. — A on mówił, że każdy musi robić to, czego on chce.

— Oj, co to, to prawda! Szkaradny chłopak! — wzdychała Marta, ocierając z czoła pot fartuchem.

— Powiedział mi, że pani Medlock musi go słuchać. A on chce, żebym co dzień przychodziła z nim rozmawiać. A ty mi masz mówić, kiedy mam przyjść.

— Ja! — wołała Marta. — Oj, Boże mój! Stracę miejsce, stracę na pewno!

— Nie możesz stracić miejsca, jeśli zrobisz to, czego on chce, a wszak wszyscy mają rozkaz go słuchać — dowodziła Mary.

— Czy panienka chce powiedzieć, że był dla panienki grzeczny? — pytała Marta, szeroko otwierając oczy.

— Zdaje mi się nawet, że mnie bardzo polubił — odparła Mary.

<sup>49</sup>hindustański — dziś: hinduski.

— No to nic innego, tylko musiała go panienka oczarować! — zdecydowała Marta, oddychając głęboko.

— Masz na myśli magię? — pytała Mary. — Słyszałam o czarnoksiężnikach w Indiach, ale ja nie potrafię robić tego, co oni. Po prostu weszłam do jego pokoju i byłam taka zdziwiona, gdy go ujrzała, że stanęłam i patrzyłam. Więc on się odwrócił i patrzył na mnie. I myślał, że jestem albo duch, albo sen, a ja to samo sobie myślałam o nim. Takie to było dziwne być razem, pośrodku nocy, nic o sobie nawzajem nie wiedząc. Zaczęliśmy sobie zadawać pytania. A kiedy go spytałam, czy mam odejść, powiedział, że nie.

— Świat się kończy! — jęczała Marta.

— Co mu jest? — pytała Mary.

— Nikt tego na pewno nie wie — objaśniała Marta. — Pan Craven od zmysłów odchodził, gdy on na świat przyszedł. Doktorzy myśleli, że go trzeba będzie zamknąć w domu obłąkanych. A to wszystko przez to, że pani Craven umarła, jak już panience mówiłam. Pan wcale spojrzeć nie chciał na dziecko. Był nieprzytomny, mówił, że będzie garbaty jak on sam i że lepiej by było, gdyby umarł.

— Czy Colin jest garbaty? Nie wygląda na takiego — rzekła Mary.

— Teraz jeszcze nie jest — powiedziała Marta. — Ale przyszedł na świat w złą godzinę. Matka mówi, że tyle było zamieszania i rozpacz w domu, że każdemu dziecku byłoby źle. Ciągłe się bali, że ma słaby krzyż, ciągle go cackali, kazali mu leżeć, nie pozwolili chodzić. Raz mu kazali nosić taką maszynę do prostego trzymania się, ale on się martwił tym i aż się rozchorował. Potem taki sławny doktor przyjechał i kazał mu to zdjąć. Do tego drugiego doktora to mówił ostro, choć grzecznie. Mówił, że mu dają za dużo leków i za wiele pozwalają mu mieć swoją wolę.

— Zdaje mi się, że to bardzo zły chłopiec.

— To najgorsze chłopaczysko pod słońcem! — zawołała Marta. — Trzeba przyznać, że i chorował dużo. Miał kaszel i zaziębił się tak, że już dwa albo trzy razy o mało, że nie umarł. Miał też gorączkę z reumatyzmu, przechodził nawet tyfus. Oj, to dopiero pani Medlock strachu się najadła! Zapomniała o nim i mówiła do bony, bo myślała, że panicz nic nie wie: „Teraz to umrze na pewno, ale to lepiej dla niego i dla nas wszystkich”. Spojrzała na niego, a tu on leży z szeroko otwartymi oczyma, a patrzy na nią tak samo przytomnie jak ona. Nie wiedziała, co to z tego będzie, ale on tylko na nią popatrzał i mówi: „Proszę mi podać wody i przestać gadać!”.

— Czy myślisz, że on umrze? — zapytała Mary.

— Matka mówi, że trudno, żeby mogło żyć dziecko, które jest pozbawione świeżego powietrza, nic nie robi, tylko leży, ogląda książki z obrazkami i łyka lekarstwa. Dlatego to jest słaby i nie lubi, żeby go wynosili do ogrodu, łatwo się zaziębia i choruje.

Mary siedziała, patrząc w ogień.

— Ciekawam — rzekła z wolna — czy by mu dobrze nie zrobiło wyjść do ogrodu i patrzeć, jak roślinki rosną. Mnie to dużo dobrego zrobiło.

— Jeden z najgorszych napadów, jakie miał — ciągnęła dalej Marta — to był, gdy go raz zawieźli tam, gdzie są te róże przy fontannie. Czytał on gdzieś w jakiejś książce, że ludzie dostają „rózanej gorączki” i zaczął kichać, i powiedział, że jej dostał, a potem nowy ogrodnik, który nie znał zwyczaju przyszedł i ciekawie mu się przyglądał. Wtenczas wpadł w furję i powiedział, że na niego patrzą, bo mu garb wyrasta. Tak krzyczał, aż dostał gorączki i całą noc chorował.

— Jeśli się na mnie rozżołości kiedykolwiek, to już nigdy nie pójdę do niego — powiedziała Mary.

— Pójdzie panienka, jeśli on będzie chciał — odrzekła Marta. — Lepiej niech panienka z góry wie o tym.

Wkrótce potem zadzwieczał dzwonek i dziewczyna zwinęła cerowanie.

— Myślę, że bona chce, żebym z nim posiedziała — rzekła. — No mam nadzieję, że jest w dobrym humorze.

Wyszła z pokoju, lecz po upływie jakichś dziesięciu minut wróciła zakłopotana.

— Naprawdę, oczarowała go panienka — rzekła. — Siedzi sobie na kanapie ze swoją książką. Kazał bonie iść sobie aż do szóstej. Ja czekałam w sąsiednim pokoju. Jak tylko

wyszła, zawołał mnie do siebie i mówi: „Chcę, żeby do mnie przyszła porozmawiać Mary Lennox, ale pamiętaj, żebyś o tym nie mówiła”. Niech panienka idzie czym prędzej.

Mary chętnie pospieszyła. Nie pragnęła wprawdzie tak bardzo zobaczyć Colina, jak pragnęła zobaczyć Dicka, lecz niemniej bardzo go widzieć chciała.

Gdy weszła, jasny ogień płonął na kominku, a przy świetle dziennym wydał jej się pokój ten rzeczywiście bardzo piękny. Dywany, portiery, książki na półeczkach, wszystko było barwne i nadawało całości wygląd jasny, pogodny, pomimo zachmurzonego nieba i padającego deszczu na dworze. Colin sam wyglądał jak obrazek. Miał na sobie miękkie, welwetowe ubranie i siedział wsparty na bogato haftowanych poduszkach. Policzki mu pałały.

— Chodź do mnie — zawołał — całe rano o tobie myślałem.

— Ja także myślałam o tobie — była odpowiedź Mary. — Nie masz pojęcia, jak strasznie Marta się boi. Ona mówi, że pani Medlock pomyśli, że ona mnie o tobie powiedziała, a wtedy straci naturalnie miejsce.

Chłopiec zmarszczył czoło.

— Idź, zawołaj ją tutaj — rzekł. — Ona jest tu w pokoju obok.

Mary poszła i przyprowadziła ją. Pod biedną Martą nogi dygotały. Colin wciąż był nachmurzony.

— Czy masz robić to, co mnie się podoba, czy nie? — zapytał.

— Tak, sir, mam robić to, co się jemu podoba — wyjąkała Marta, czerwieniąc się jak burak.

— Czy Medlock ma robić to, co mnie się podoba?

— Tak, sir, ona i wszyscy — brzmiała odpowiedź.

— No, dobrze. Zatem, jeżeli ja każę przyprowadzić tu pannę Mary, to dlaczego Medlock ma cię wydaląć, gdyby się o tym dowiedziała?

— Proszę nie pozwolić jej, sir — błagała Marta.

— Ja ją wydalę, gdyby ośmieliła się słówko o tym pisnąć — rzekł młody pan Craven wyniośle. — Mogę cię zapewnić, że by tego nie chciała.

— Dziękuję, sir. Chciałam spełnić swój obowiązek — rzekła, dygając.

— Obowiązkiem twoim jest robić to, co ja chcę — mówił Colin z coraz większą godnością. — Będę o tobie pamiętał. Teraz możesz odejść.

Gdy się drzwi za Martą zamknęły, Colinowi zdało się, że Mary przygląda mu się tak, jakby ją w podziw był wprawił.

— Czemu na mnie tak dziwnie patrzysz? — zapytał. — O czym myślisz?

— Myślę o dwóch rzeczach.

— O jakich? Usiądź i opowiedz mi.

— Pierwsza rzecz taka — zaczęła Mary, sadowiąc się wygodnie. — Raz w Indiach widziałam chłopca, który był radżą. Suknię miał naszytą rubinami, szmaragdami i brylantami. Do swoich sług odzywał się tak, jak ty do Marty. Każdy musiał w tej chwili robić to, co mu rozkazał. Myślę, że gdyby zaraz kto nie usłuchał, to by go zabito.

— Zaraz mi opowiesz więcej o radżach — rzekł Colin. — Ale najpierw powiedz mi tę drugą rzecz, o której myślałaś.

— Myślałam sobie o tym, jak odmienny jesteś od Dicka.

— Kto jest Dick? — spytał. — Co za dziwaczne imię!

Przecież może mu chyba powiedzieć. Będzie mogła opowiedzieć o Dicku, nie wymieniając ogrodu. Ona też lubiła, gdy jej Marta o nim opowiadała. Poza tym tęskniła za nim. Jak będzie opowiadała, zdawać jej się będzie, że jest bliżej niej.

— To brat Marty. Ma lat dwanaście — objaśniała Mary. — Nie ma drugiego chłopca jemu podobnego na świecie. Umie czarować lisy i wiewiórki, i ptaki zupełnie tak samo jak Hindusi czarują żółwie. Gra im cicho na fujarce, a one przychodzą do niego słuchać.

Na stole leżało kilka dużych książek. Colin przyciągnął nagle jedną z nich.

— Tu na obrazku jest Hindus, co czaruje żółwia — zawołał. — Chodź i zobacz.

Była to piękna książka z wspaniałymi, kolorowanymi obrazkami. Wskazał na jeden z nich.

— Czy on to potrafi? — spytał z ożywieniem.

— Dick grał na fujarce, a one słuchały — objaśniała Mary. — Ale on nie nazywa tego czarami. On mówi, że to dlatego, że on bywa dużo na stepie i zna zwyczaje zwierzątek.

A tak je lubi, że mówi, że mu się czasami zdaje, że on sam jest królik albo ptaszek jaki. Zdaje mi się, że gila pytał się o różne rzeczy. Tak było zupełnie, jakby z sobą rozmawiali ćwierkaniem.

Colin oparł się o poduszki, oczy mu błyszcząły, rumieńce twarzy mu paliły.

— Opowiadaj mi jeszcze o nim — powiedział.

— O jajach ptasich, o gniazdach to on wie wszystko — ciągnęła dalej Mary. — Wie, gdzie mieszkają lisy, wydry, borsuki. Trzyma to jednak w tajemnicy, żeby inni chłopcy nie wynaleźli jam i nie wypłoszyli ich. Wie wszystko o wszystkim, co żyje i rośnie na stepie.

— Czy on lubi step? — spytał Colin. — Jak można lubić step, kiedy to taka wielka, pusta, smutna przestrzeń!

— Ależ to najcudniejsze miejsca — zaprzeczyła Mary. — Rosną na nim tysiące cudnych roślinek i tysiące przemiłych stworzonek, a wszystkie pilnie budują gniazdka i dziury kopią, i jamy, i ćwierkają, śpiewają, nawołują się wzajemnie. A wszystkie są takie zajęte i tak się doskonale bawią pod ziemią, na drzewach, we wrzosach: wszędzie! To ich światek!

— Jak ty to wszystko znasz! — zawołał Colin, zwracając się ku niej.

— A nawet naprawdę, to tam nie byłam — rzekła Mary, jakby sobie nagle przypominając. — Przejeżdżałam tylko przez step w ciemnościach i wydał mi się obrzydliwy. Marta mi najpierw o nim zaczęła opowiadać, potem Dick. Jak Dick zacznie mówić, to może się zdawać, że się widzi i słyszy to wszystko, jakby się tam stało wśród wrzosów i jakby słońce świeciło, i czuje się woń janowca i przytulii, co jak miód pachnie, a wszystko to pełne pszczołek i motyli.

— Jak się jest chorym, to się nic nie widzi — rzekł Colin prędko. Wyglądał, jak ktoś, kto słyszy dźwięk jakiś nieznanym w oddali i nie umie zdać sobie sprawy, co to jest.

— Nie możesz nic znać, jeśli wciąż jesteś w pokoju — odparła Mary.

— Nie mógłbym pojechać na step — rzekł ze smutkiem bezsilności.

Mary milczała chwilę, potem odezwała się śmiało:

— Czasami mógłbyś, doprawdy.

Poruszył się zdumiony.

— Jechać na step! Miałbym moc jechać! Ja? Przecież niedługo umrę!

— Skąd wiesz? — rzekła Mary bez współczucia. Nie podobał jej się jego sposób mówienia o śmierci. Nie żałowała go. Zdawało jej się, jakby się pysznił i przechwalał.

— Toż ciągle to słyszę, jak daleko pamięcią sięgnę wstecz — odparł zjadliwie. — Szeptają ciągle o tym i zdaje im się, że to uchodzi mojej uwagi. Przy tym chcieliby wszyscy, żebym umarł.

Panna Mary poczuła się przekorną<sup>50</sup>. Zacięła mocno usta.

— Gdyby oni chcieli, żebym umarła — rzekła — to ja bym nie chciała. Zresztą kto chce?

— Służba cała, a także i doktor Craven, bo by dostał Misselthwaite i byłby bogaty, a nie biedny jak teraz. Nie mówi on tego, ale zawsze jest weselszy i w lepszym humorze, gdy mnie jest gorzej. Jak miałem tyfus, to strasznie utył. Ale myślę, że ojciec też by chciał, bym umarł.

— Wcale w to nie wierzę — uparcie dowodziła Mary.

Colin znów się odwrócił i spojrzał na nią.

— Nie wierzysz? Naprawdę? — spytał.

Potem oparł się na poduszki i milczał, jakby nad czymś rozmyślał. I nastała długa cisza. Być może, że oboje myśleli o rzeczach dziwnych, o jakich nigdy dzieci nie myślą.

— Bardzo lubię tego sławnego doktora z Londynu za to, że ci kazał zdjąć ten przyrząd żelazny — odezwała się wreszcie Mary. — Czy i on powiedział, że umrzesz?

— Nie.

— Cóż powiedział?

— Przede wszystkim nie szeptał — odparł Colin. — Może wiedział, że nie cierpię szeptów. Słyszałem, jak głośno powiedział: „Chłopiec będzie żył, tylko trzeba nań odpowiednio wpływać. Rozweselajcie go”. Zdawało mi się, że był oburzony.

<sup>50</sup>przekornica — osoba przekorna, robiąca a. mówiąca na przekór innym.

— Ja ci powiem, kto by cię może rozweselił — rzekła, namyślając się, Mary. Chciała, by się ta rzecz rozstrzygnęła tak lub owak. — Dick by to potrafił. On zawsze mówi o rzeczach żywych. Nigdy nie mówi o martwych lub chorych. Patrzy zawsze w niebo, by się ptaszkom przyglądać, lub na ziemię, by zobaczyć, jak kwiatki rosną. On ma dlatego takie okrągłe, niebieskie oczy, że tak wciąż patrzy. A tak serdecznie śmieje się tymi swymi szerokimi ustami, a policzki czerwone ma, czerwone jak duże wiśnie.

Przysunęła sobie krzesło bliżej do sofy, a twarzyczka jej zmieniła całkiem wyraz na wspomnienie owych szerokich, pełnych ust i szeroko otwartych oczu.

— Posłuchaj mnie — rzekła. — Nie mówmy już o umieraniu. Nie lubię tego. Mówmy o życiu. Mówmy dużo o Dicku. A potem będziemy sobie oglądali obrazki.

Pomysł jej był doskonały. Mówić o Dicku znaczyło tyle, co mówić o stepie i o domku, i o czternastu mieszkających tam ludziach i żyjących z szesnastu szylingów na tydzień, i o dzieciach, które się żywiły trawą jak dzikie koniki stepowe. I o matce Dicka, o skakance, i o stepie skąpanym w promieniach słońca, i o bladozielonych kielkach wychylających główki z czarnej gleby. A wszystko to było tak pełne życia, że Mary mówiła więcej niż kiedykolwiek. Colin zaś mówił i słuchał też więcej niż kiedykolwiek przedtem. Potem zaczęli się śmiać z niczego — ot, zwyczajnie, jak dzieci, które są szczęśliwe, że są razem. A śmiali się tak, że narobili takiego hałasu, jakby byli dwojgiem zwykłych, zdrowych, dziesięcioletnich dzieci, nie zaś małą, niesympatyczną, wątłą dziewczynką i chorowitym chłopcem, który przekonany jest, że niebawem umrze.

Bawili się tak znakomicie, że zapomnieli o obrazkach, zapomnieli o czasie. Śmiali się do rozpuku z Bena Weatherstaffa i jego gila, a Colin siedział najzwyczajniej w świecie, jakby zapomniał, że ma krzyż słaby. Naraz sobie coś przypomniał.

— Wiesz? Nie pomyśleliśmy nigdy o jednej rzeczy — rzekł. — Jesteśmy kuzyni.

Wydawało im się to takie zabawne, że tak dużo rozmawiali ze sobą, a o takiej prostej rzeczy zapomnieli, że zaczęli śmiać się więcej jeszcze niż poprzednio, wpadli bowiem w doskonały humor, jak to zwykle jest, gdy się śmieje z niczego. A naraz wśród ich uciechy otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczyli doktor Craven i pani Medlock.

Doktor Craven cofnął się przerażony, a pani Medlock o mało nie upadła na wznak, gdyż ją, cofając się, popchnął silnie.

— W imię Ojca i Syna! — krzyknęła pani Medlock, a oczy jej o mało na wierzch nie wylazły. — W Imię Ojca i Syna!

— Co to jest? — rzekł doktor Craven, postępując naprzód. — Co to ma znaczyć?

Tu Mary ponownie przypomniał się młody radża. Colin odpowiedział z takim spokojem, jakby go zdumienie doktora i przerażenie pani Medlock zupełnie nie wzruszały. Nie byłby więcej zdziwiony ani przestraszony, gdyby do pokoju wszedł na przykład stary kot lub pies.

— To moja kuzynka, Mary Lennox — rzekł. — Prosiłem, żeby przyszła porozmawiać ze mną. Lubię ją. Musi przychodzić tu rozmawiać ze mną, ilekroć będę miał ochotę.

Doktor Craven z wyrzutem zwrócił się do pani Medlock.

— Och, panie doktorze! — westchnęła. — Nie wiem, jak się to stać mogło. Nie ma nikogo wśród służby, który by śmiał mówić, mają wszyscy rozkaz.

— Nikt jej nic nie mówił — przerwał Colin. — Słyszała mój płacz i znalazła mnie. Bardzom kontent, że przyszła. Medlock, nie bądźże głupia.

Mary widziała, że doktor Craven nie był kontent<sup>51</sup>, ale było też jasne jak słońce, że nie śmie sprzeciwić się swemu pacjentowi. Usiadł przy chłopcu i wziął go za puls.

— Lękam się, że nastąpiło zbyt wielkie podrażnienie. Podrażnienie tak wielkie nie jest dobre dla ciebie, mój chłopcze — dodał.

— Będę podrażniony, jeśli Mary odejdzie — odparł Colin, a oczy poczęły błyszczeć mu złowrogo. — Czuję się lepiej. Przez nią się czuję lepiej. Niech bona tu przyniesie jej kolację. Zjemy ją razem.

Pani Medlock i doktor Craven spoglądali na siebie zaniepokojeni, lecz widoczne było, że nic nie poradzą.

<sup>51</sup>kontent — zadowolony.



— Może on trochę lepiej wygląda, panie doktorze — odważyła się powiedzieć pani Medlock. — Lecz — dodała po namyśle — wyglądał lepiej już rano, zanim panienka tu przyszła.

— Mary przyszła tu dziś w nocy. Długo ze mną była. Śpiewała mi piosenkę hindustańską i to mnie uśpiło — rzekł Colin. — Było mi o wiele lepiej, gdym się dziś obudził. Zjadłem chętnie śniadanie. Teraz zjem z apetytem kolację. Medlock, zawołaj bony.

Doktor Craven długo nie bawił. Chwil kilka mówił z boną, gdy ta przyszła do pokoju, potem dał kilka przestroóg chłopcu. Nie powinien za wiele mówić; nie powinien zapominać, że jest chory; nie powinien zapominać, że się łatwo męczy. Mary zdawało się, że jest za dużo niemiłych rzeczy, o których nie powinien zapominać.

Colin, wysłuchawszy z powstrzymanym gniewem zaleceń doktora, utkwiał swe dziwne, ocienione oczy w jego twarzy.

— Ja właśnie chcę o tym wszystkim zapomnieć — rzekł wreszcie. — Przez nią zapominam. Oto dlaczego pragnę jej towarzystwa.

Doktor Craven nie był zadowolony, gdy pokój opuszczał. Zdziwiony nieco wzrok zatrzymał na małej dziewczynce siedzącej w głębokim fotelu. Mary stała się znów sztywnym, cichym dzieckiem, skoro tylko wszedł był do pokoju, więc zrozumieć nie mógł, co Colina do niej pociągało. Chłopiec w tej chwili wyglądał pogodnie — doktor zaś wdychał ciężko, gdy przechodził przez korytarz.

— Oni mi zawsze każą jeść, kiedy mi się nie chce — rzekł Colin, gdy bona wniosła kolację i postawiła tacę na stole. — A teraz, jeśli będziesz jadła, to i ja zjem. Te ciastka wyglądają smacznie, jeszcze ciepłe. Opowiedz mi o radzach.

## ROZDZIAŁ XV. BUDOWANIE GNIAZDKA

Po całym tygodniu deszczu ukazała się znów wesoła, błękitna kopuła nieba, a słońce zaczęło silnie przygrzewać. Mary bawiła się doskonale, choć nie mogła marzyć o ujrzeniu przez cały ten czas tajemniczego ogrodu i Dicka. Tydzień prędko jej minął. Po kilka godzin dziennie spędzała z Colinem w jego pokoju, opowiadając mu o radzach albo o ogrodach, albo o Dicku i o domku na stepie. Oglądali razem piękne książki z obrazkami, czasem Mary czytywała Colinowi, to znów Colin jej głośno trochę poczytał. Gdy bywał zajęty i rozbawiony, nie wyglądał wcale na kalekę i tylko twarz jego tak przerażająco blada, i leżenie po całych dniach na sofie dawały mu pozór ułomnego.

— Z panienki to przebiegłe stworzonko, żeby nasłuchiwać i z łóżka wstawać, i dochodzić, gdzie się tam co dzieje — rzekła raz pani Medlock. — Choć, po prawdzie, to jakby błogosławieństwo dla nas wszystkich. Toć on nie miał ani razu napadu furii, ani łez, odkąd się ta przyjaźń z panienką datuje. Pielęgniarka już chciała rzucić miejsce, ale teraz chętnie zostanie, bo panienka za nią pracuje i jest przy nim na posterunku — dodała, uśmiechając się.

W rozmowach swych z Colinem była Mary bardzo przezorna co do tajemniczego ogrodu. Pragnęła dowiedzieć się o nim kilku rzeczy, ale czuła, że wprost pytać go nie może. Przede wszystkim odkąd jej zaczęło być miłe jego towarzystwo, pragnęła dowiedzieć się, czy można by mu powierzyć tajemnicę. Nie był on ani odrobinę podobny do Dicka, lecz widoczne było, że myśl o ogrodzie, o którym nikt nie wiedział, podobała mu się niesłychanie, tak, że chyba można by mu zaufać. Lecz nie znała go dostatecznie, by mieć pewność. Drugą rzeczą, której się pragnęła dowiedzieć, było to: jeżeli mu można zaufać — tak na pewno — czy by się dało wziąć go do ogrodu tak, żeby o tym nikt nie wiedział? Ów sławny doktor zalecił mu używanie świeżego powietrza, a Colin sam powiedział, że chętnie by zgodził się na to, o ile by to było w tajemniczym ogrodzie. A kto wie? Może gdyby miał tak dużo świeżego powietrza i znał Dicka i gila, i gdyby widział świeże, rosnące roślinki, to by może nie myślał tak dużo o śmierci. Mary przeglądała się kilka razy w lustrze ostatnimi czasami i przekonała się, że wyglądała zupełnie inaczej niż to wątłe dziecko, które przybyło z Indii. To dziecko teraz było ładniejsze. Nawet Marta dostrzegła w niej zmianę.

— Powietrze od wrzosowiska już panience na dobre wyszło — rzekła razu pewnego. — Już panienka nie jest ani taka żółta, ani taka wątła jak przedtem. Nawet włosy panienki już nie są takie jak ulizane. One też się ożywiły i zaczynają się trochę podnosić.

— Tak samo jak ja — odpowiedziała Mary. — Są teraz gęściejsze, a ja tłściejsza. I pewnie mi dużo urosły.

— O, na to mi wyglądają, na pewno! — rzekła Marta, poprawiając jej uczesanie nad czołem. — Już panienka teraz wcale nie taka szpetna i rumieńczyki ma na policzkach.

Jeśli ogród i świeże powietrze dobrze jej zrobiły, to może i na zdrowie Colina będą miały wpływ dodatni. Ale cóż! Jeśli on nie znosi, żeby na niego obcy ludzie patrzyli, to może nie zechce zobaczyć Dicka.

— Czemu się gniewasz, gdy na ciebie patrzą? — zagadnęła go pewnego dnia.

— Nie cierpiałem tego nigdy — odparł — nawet gdy jeszcze byłem bardzo mały. Potem, jak mnie wywieźli nad morze, a ja zwykle leżałem w wózku, to na mnie wszyscy patrzyli, a panie zatrzymywały się i rozmawiały z pielęgniarką, a potem zawsze zaczynały się szeptki, a ja dobrze wiedziałem, że mówią o tym, że nie będę żył. Potem czasami panie głaskały mnie po głowie i mówiły: „Biedne dziecko”. Razu jednego, kiedy to jakaś pani powiedziała, wrzasnąłem z całych sił i ugryzłem ją w rękę. Wystraszyła się tak, że uciekła.

— Myślała pewnie, żeś się wściekł jak pies — rzekła Mary zupełnie bez zapału.

— Wszystko mi jedno, co myślała — odparł, marszcząc czoło.

— Ciekawa jestem, dlaczegoś nie skrzeczał i nie gryzł, gdy ja weszła do twego pokoju? — rzekła Mary, po czym zaczęła się uśmiechać.

— Myślałem, żeś albo duch, albo sen — odparł. — Nie można ugryźć ani ducha, ani snu, a z krzyku nic sobie nie robią.

— Czy nie mógłbyś znieść, gdyby... gdyby chłopiec jaki na ciebie patrzył? — pytała Mary nieśmiało.

Chłopczyk leżał na swych poduszkach i milczał zamyślony.

— Jest chłopiec jeden — zaczął mówić z wolna, jakby ważąc każde słowo — jest chłopiec jeden, którego wzrok nie byłby mi przykry. To ten chłopiec, który wie, gdzie mieszkają lisy: Dick.

— Jestem pewna, że on by nie był przykry — rzekła Mary.

— Wszak go się nie boją ani ptaki, ani inne zwierzęta — rzekł Colin, wciąż ważąc każde słowo — może i ja dla tego samego nie będę się bał jego wzroku. On jest jakby czarodziejem zwierząt, a ja jestem chłopiec-zwierzę.

Począł się śmiać, Mary śmiała się także; w rzeczy samej skończyło się na serdecznym śmiechu, a pomysł „chłopca-zwierzątka” chowającego się w swej norze, ubawił ich szczerze.

Mary zaś doznała miłego uczucia, że co do Dicka, to może być o niego spokojna.

Owego pierwszego ranka, gdy niebo się wypogodziło, Mary obudziła się bardzo wcześnie. Słońce wpadało do pokoju ukośnymi strugami przez story, a było w tym świetle tyle jakiegoś wesela, że dziewczynka wyskoczyła z łóżka i pobiegła do okna. Odsunęła story, otworzyła okno, a świeże, wonne powietrze falą ciepłą ją ogarnęło. Step błękitniał, a świat cały wyglądał jak zaczarowany. W powietrzu tu i ówdzie drgały jakieś ledwo dosłyszalne, a przecież wyraźne, czarowne tony i głosy, jakby setki ptaków nastrojały gardziółka, przygotowując się do rozpoczęcia koncertu wiosennego. Mary wyciągnęła rękę za okno i trzymała ją chwilę w słońcu.

— Jak ciepło! Jak ciepło! — zawołała. — Moje kielki będą rosnać i rosnać, i rosnać, a cebulki i korzenie dopieroż teraz zaczną w ziemi pracować!

Wychyliła się z okna, jak mogła najwięcej, oddychając pełną piersią i wciągając nozdrzami woń powietrza, aż naraz poczęła się śmiać, przypomniało się jej bowiem to, co matka Dicka mówiła o końcu jego nosa, który się porusza tak, jak królikowi.

„Musi być chyba jeszcze bardzo wcześnie — pomyślała. — Obłoczki się różowią i nie widziałam dotąd nigdy takiego koloru nieba. Nikt nie wstał, nawet chłopców stajennych nie słyhać”.

Nagłą myślą tknięta zerwała się na równe nogi.

— Nie mogę czekać dłużej. Pójdę obejrzeć ogród!

Nauczyła się już ubierać sama — gotowa była w pięć minut. Znała małe, boczne drzwi, które umiała odryglować sama, zbiegła po schodach w pończoszkach tylko, w sie-

Wiosna, Natura

ni dopiero włożyła buciki. Drzwi wielkie otworzyła z łańcucha, odryglowała, otworzyła, jednym susem przeskoczyła stopnie i oto znalazła się na trawniku, który — rzekłbyś — pozieleniał nagle. Promienie słońca ją grzały, nad głową jej płynęły fale wonnego ogrodowego powietrza. Z krzaków i drzew szedł ku niej śpiew i ćwierkanie ptasząt. Uderzyła w dłoń z wielkiej radości i spojrzała w niebo, które było takie niebieskie i takie różowione, i perłowe, i białe, i takie światłem wiosennym przesycone, że miała ochotę ćwierkać i śpiewać głośno i rozumiała, że drozdy, gile, skowronki śpiewać muszą i radować się. Pobiegła zaroślami i ścieżkami do tajemniczego ogrodu.

— Wszystko już inaczej wygląda — rzekła. — Trawa zieleńsza, wszędzie coś kielkuje, coś rośnie, na gałązkach pokazują się zielone pączki liści. Pewna jestem, że Dick dzisiaj przyjdzie po południu.

Długotrwały, ciepły deszcz porobił dziwne rzeczy z kwietnikami pod murem. Różne roślinki poczęły się z korzonków rozwijać, tu i ówdzie zabłyszczała królewska purpura i złoto krokusów i hiacyntów. Sześć miesięcy przedtem nie byłaby Mary dostrzegła, jak świat budził się z uspienia — dzisiaj nic uwagi jej nie uszło.

Kiedy dotarła do miejsca, gdzie znajdowały się pod bluszczem ukryte drzwi, zwrócił jej uwagę dziwny, rozgłośny, nieznany jej dotąd dźwięk. Było to wołanie, a dochodziło z wysokości muru; kiedy zaś Mary spojrzała, dostrzegła siedzącego tam ptaka o błyszczącym granatowo-czarnym upierzeniu; ptak spoglądał na nią z powagą. Mary nigdy przedtem nie widziała kawki z tak bliska — denerwowało ją to wołanie; w następnej jednak chwili ptak skrzydła rozwinął i łopocząc nimi, poleciał przez tajemniczy ogród. Mary miała nadzieję, że ptak nie zatrzyma się tam na dobre i otworzyła drzwi, by się przekonać. Gdy już na dobre weszła do ogrodu, zobaczyła, że kawka może jednak tu pozostanie, gdyż usiadła na karłowatej jabłoni, pod którą leżało małe rude stworzonko z puszystym ogonem i oboje przyglądali się pochylonej postaci i rudej czuprynie Dicka, który klęczał w trawie, pracując w pocie czoła.

Mary jednym susem znalazła się przy nim.

— Och! Dicku! Dicku! — zawołała. — Jak zdołałeś tak wcześniej już tu przyjść! Jakaś móg! Słońce dopiero co wzeszło!

Powstał z klęczek uśmiechnięty, rozpromieniony, z potarganą czupryną i oczyma jak dwa płatki błękitu.

— Ojoj! — odparł. — Jeszcze przed świtem dziś wstałem. Nie byłbym w łóżku doleżał! Toć świat jakby się dziś na nowo narodził. I wszędzie pełno pracy, brzęczenia, pisku, oddechów, woni, gniazdek zakładania, że cię to wszystko z łóżka mocą wyciąga. Step oszalał z radości, gdy słońce się pokazało; byłem wśród wrzosów i sam jak oszalały biegłem, hukając i śpiewając. I przyszedłem prosto tutaj. Nie byłbym wytrzymał. Toć ten ogród na nas czekał!

Mary przycisnęła serce rączkami, oddychała prędko, jakby po szybkim biegu.

— O! Dicku, Dicku! — zawołała radośnie. — Takam szczęśliwa, że głowę tracę!

Małe zwierzątko z puszystym ogonkiem, widząc chłopca rozmawiającego z kimś obcym, powstało ze swego miejsca pod drzewem i podeszło do niego blisko, kawka zaś sfrunęła z gałązki i przysiadła mu na ramieniu.

— To ten młody lisek — objaśnił Dick, drapiąc łebek zwierzątka. — Nazywa się Kapitan. A to tutaj jest Sadza. I ona, i Kapitan biegle za mną przez step, jakby je charty gonily. Oboje czuli to samo, co ja.

Zwierzątko zdawały się wcale nie lękać Mary. Gdy Dick począł chodzić, Sadza siedziała mu spokojnie na ramieniu, Kapitan zaś dreptał u jej boku.

— Niech panienska spojrzy! — rzekł Dick. — Jak to tutaj podrosło, a to, albo tu! Proszę spojrzeć teraz tutaj!

Rzucił się na kolana. Mary przyklekła obok niego. Natrafili na duże gniazdo różnobarwnych krokusów. Mary główkę schyliła i poczęła kwiatki z zapalem całować.

— Człowieka nie można by tak całować — rzekła, podnosząc główkę. — Kwiaty to zupełnie co innego.

Chłopiec wydawał się zdumiony, lecz uśmiechnął się.

— O mój Boże! Nieraz ja matkę tak całowałem — mówił — gdym ze stepu po całodziennym bieganiu powracał, a ona we drzwiach, słońcem oblana stała, taka pogodna i dobra!

Biegali od jednej strony ogrodu na drugą i znajdowali dziwów tyle, że wciąż musieli sobie przypominać, że przecież tylko szeptem mówić tutaj mogą. On jej pokazywał nabrzmiewające pączki listowia na krzakach różanych, które im się zdawały zeschnięte. Pokazywał moc niezliczoną nowych kielków, wychylających się przez czarną glebę. Ciekawe swe młode noski przytykali blisko do ziemi, wdychając jej wonie wiosenne; kopali i pelli, i śmiali się radośnie, dopóki włoski Mary nie były tak samo potargane, jak czupryna Dicka, a policzki jej rozkwitły jak dwa maki czerwone.

Było radości i wesela ranka tego w tajemniczym ogrodzie, a wśród uciechy zdarzyło się coś zarówno uroczego, jak zdumiewającego. Coś łagodnie przyfrunęło przez mur i jak strzała ukośnie zapadło w najgłębszej zadrzewiony kącik, jakiś cień ptaszka z czerwoną piersią, niosącego coś w dziobku. Dick stanął nieruchomo, kładąc rękę na ramieniu Mary, jakby naraz spostrzegli się, że się śmieją w kościele.

— Nie możemy się teraz ruszać — mówił do niej szeptem. — Musimy nawet oddychać ostrożnie. Jakem go ostatni raz widział, to zaraz wiedziałem, że sobie żony szuka. To gil Bena Weatherstaffa. Zakłada sobie gniazdko. Zostanie tutaj, jeśli go nie spłoszymy.

Usiedli na trawie i siedzieli tak nieporuszeni.

— Musimy udawać, że mu się z bliska nie przyglądamy — mówił Dick. — Skończyłaby się nasza przyjaźń z nim, gdyby spostrzegł, że go podglądamy. On się teraz zmieni nie do poznania. Zakłada sobie własne gospodarstwo. Będzie płochliwy i podejrzliwy. Nie ma teraz czasu na wizyty i plotki. Musimy cichutko siedzieć i starać się wyglądać tak, jakbyśmy byli trawą, drzewami albo krzakami. Potem, gdy przywyknie do naszego widoku, to zacząłbym trochę i będzie zaraz wiedział, że mu nic złego nie zrobimy, że mu w drogę nie wejdziemy.

Mary nie była pewna, czy potrafi tak jak Dick starać się wyglądać jak trawa, drzewa lub krzewy. Lecz on powiedział tę dziwną rzecz tak, jak coś zupełnie naturalnego, najprostszego na świecie i czuła, że dla niego to musi być nic. I w rzeczy samej przyglądała mu się uważnie przez kilka minut, bo ciekawa była, czy to możliwe, by się zrobił zielony i miał gałęzie i listki. Lecz on siedział tylko zupełnie nieruchomo, a mówiąc zniżał głos do tonów tak miękkich i słodkich, że dziwne było, iż go dosłyszeć zdołała:

— Budowanie gniazdek to także część wiosny — mówił. — Ręczę, że było tak samo od początku świata. Mają one swoje sposoby myślenia i działania, a ludzie nie powinni się do nich mieszać. Wiosną można łatwiej przyjaciela stracić niż w jakiegokolwiek porze roku, jeśli się jest zbyt ciekawym.

— Jeżeli będziemy mówili o gilu, to będę musiała na niego patrzeć — rzekła Mary jak mogła najciszej. — Musimy mówić o czym innym. Chcę ci coś powiedzieć.

— On by wołał, żebyśmy mówili o czym innym — rzekł Dick. — Co mi panienka chce powiedzieć?

— Czy ty wiesz o Colinie? — pytała szeptem.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią.

— A co panienka wie o nim? — zapytał.

— Widziałam go. Przez ten tydzień co dzień z nim rozmawiałam. On chce, bym do niego przychodziła. Mówi, że gdy mnie widzi, to zapomina o tym, że jest chory i umierający — odpowiedziała Mary.

Skoro pierwsze zdumienie minęło, wyglądał Dick, jakby doznał uczucia wielkiej ulgi.

— Bardzo się z tego cieszę — wykrzyknął. — Z całego serca się cieszę. Teraz będzie mi łatwiej. Wiedziałem, że mi o nim mówić nie wolno, a nie lubię nic ukrywać.

— Nie chcesz ukrywać się z ogrodem? — spytała Mary.

— Nigdy bym o nim nie powiedział — odrzekł. — Ale mówię do matki: „Matko, mam tajemnicę, której nie mogę wydać. Nie jest to nic złego, ani brzydkiego. Nie jest to nic gorszego, jak żebym ukrywał, gdzie jakie gniazdko jakiegoś ptaszka. Nie gniewasz się na mnie, prawda?”

Mary pragnęła zawsze słyszeć, co mówiła matka.

— Cóż matka powiedziała? — zapytała, nie lękając się usłyszeć odpowiedzi.

Dick uśmiechnął się błogo.

— Z góry można było przewidzieć, co powie — odparł. — Poglaskała mnie po głowie, rozśmiała się i rzekła: „Moje dziecko, wolno ci mieć swoje sekrety, toć cię znam już dwanaście lat”.

— A skąd wiedziałeś o Colinie? — dopytywała Mary.

— Każdy, kto zna pana Cravena, wie, że ma syna, który będzie kaleką, i wiedzą też wszyscy, że pan Craven nie lubi, gdy się o nim mówi. Ludzie się martwią za jaśnie pana, bo pani Craven była tak śliczną, młodą panią i bardzo się kochali. Pani Medlock zatrzymuje się zawsze u nas, jadąc do Thwaite, i mówi matce o wszystkim przy nas, bo wie, że nas matka tak wychowała, że nam można zaufać. Jak się panienka o nim dowiedziała? Marta się okropnie bała ostatnimi czasy, gdy do domu przychodziła. Mówiła, że panienka słyszała go, jak krzyczał, i pytała jej co to znaczy, a ona nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Mary opowiadała mu jak w nocy wiatr świszczał, jak ją obudził, jak usłyszała daleki płacz i jęki, które ją poprowadziły przez ciemne korytarze ze świeczką w ręku, jak doprowadziły ją do drzwi, jak drzwi te otworzyła i znalazła się w przyćmionym pokoju z rzeźbionym łóżem i baldachimem na czterech kolumnach opartym. Gdy poczęła opisywać bledziuchną, jak z kości słoniowej rzeźbioną, twarzyczkę i dziwne, ciemno ocienione oczy, Dick głową tylko potrząsał.

— Mówią, że ma takie same oczy, jak jego matka, tylko że jej były śmiejące się i wesołe — powiedział. — Mówią też, że pan Craven nie może znieść jego widoku, kiedy nie śpi, a to właśnie przez te oczy, że takie podobne do matki, a takie inne w tej smutnej, wymizerowanej twarzy.

— Czy myślisz, że chciałby, żeby on umarł? — szeptała Mary.

— To to nie, ale chciałby, żeby się nigdy nie był urodził. Matka mówi, że to już jest, co może być najgorszego dla dziecka. Takie dzieci, których się nie pragnie, rzadko kiedy tyją. Pan Craven to by mu kupił wszystko, co za pieniądze kupić można, ale wolałby zapomnieć, że on na świecie żyje. Przy tym boi się, że mu pewnego pięknego dnia wyrośnie garb.

— Colin sam tak się tego boi, że wcale siadać nie chce — rzekła Mary. — Zawsze mówi, że gdyby czuł, że mu coś rośnie na plecach, to by zwariował i na śmierć by się zapłakał.

— Nie powinien on tak leżeć i rozmyślać o takich rzeczach — zauważył Dick. — Najzdrowszy chłopiec mógłby się rozchorować, gdyby ciągle myślał tylko o tym.

Lisek leżał w trawie przy chłopcu, spoglądając na niego i prosząc się o pogłaskanie czasem. Dick zaś pochylał się i łagodnie gładził go po grzbiecie, potem kilka minut w ciszy rozmyślał. Podniósł głowę i rozejrzał się po ogrodzie.

— Gdyśmy tu przyszli pierwszy raz — wyrzekł — wydawało się wszystko szare. Niech panienka teraz spojrzy i powie, czy jest różnica.

Mary spojrzała i odetchnęła głęboko.

— A co! — zawołała. — Ta szara ściana zaczyna się zmieniać. Tak wygląda, jakby ją przesłaniała zielona mgielka, jakby wszystko okrywało się gazą zieloną.

— Ojoj! — wołał Dick. — Będzie tej zieloności coraz więcej i więcej, aż cała szarość zniknie. Czy panienka zgadłaby, o czym teraz myślałem?

— Wiem, że musiałeś myśleć o czymś ładnym i dobrym — z przekonaniem odrzekła Mary. — Sądzę, że myślałeś coś o Colinie.

— Myślałem, że gdyby mógł być tu razem z nami, to by nie myślał o naroślach, które mu się mogą utworzyć na plecach; patrzyłby na pączki róż, które się rozwinać mają i byłby zaraz zdrowszy — tłumaczył Dick. — Ciekawy jestem, czy by nam się kiedy udało wprawić go w dobry humor i namówić na położenie w wózku tutaj pod tymi oto drzewami.

— Ja też już o tym myślałam. A myślałam, odkąd pierwszy raz z nim rozmawiałam — rzekła Mary. — Ciekawa jestem, czy by on potrafił zachować tajemnicę i czy byśmy mogli przynieść go tutaj tak, by o tym nikt nie wiedział. Myślałam sobie, że ty byś mógł pchać jego wózek. Doktor powiedział, że on powinien przebywać na świeżym powietrzu, a on chciałby wyjść, ale z nami, a jego muszą wszyscy słuchać. On z nikim innym nie chce wychodzić, więc może będą nawet radzi, jeżeli zechce wyjść z nami. Ogrodnikom może kazać nie wchodzić do parku, więc nikt by nas nie podpatrzył.

Dick rozmyślał głęboko, gładząc grzbiet liska.

— Ręczę, że by to było znakomicie dla jego zdrowia — powiedział. — My przecież wcale nie myślimy, że byłoby lepiej, żeby się nie był urodził. Jesteśmy sobie po prostu dwoje dzieci, które lubią patrzeć, jak się rozwijają roślinki w ogrodzie, a on byłby trzecim.

Dwóch chłopczyków i mała dziewczynka, którzy przyglądają się wiosnie. Ręczę, że to byłoby lepsze jak<sup>52</sup> wszystkie mikstury doktorskie.

— On od tak dawna leżał ciągle w swoim pokoju i tak się lęka o swoje plecy, że zdziwaczał trochę — mówiła Mary. — Z książek dowiedział się różnych rzeczy, ale tak to on się na niczym nie zna. Mówi, że był zbyt chory, żeby móc przyglądać się światu naokoło siebie, a zresztą nienawidzi wychodzenia na dwór, nienawidzi ogrodu i ogrodników. Lubi jednak słuchać o naszym ogrodzie, bo on jest tajemnicą. Nie mogłam przecież za wiele mu opowiadać, ale on mówił, że chciałby go zobaczyć.

— Już my go tutaj dostaniemy; na pewno — rzekł Dick. — Dla mnie to nic pchać jego wózek. Widziała panienka, jak gil i jego samiczka pracowali przez ten czas, cośmy tu siedzieli? Niech panienka spojrzy, jak to sobie siedzi na gałęzi i myśli sobie, gdzie by mógł złożyć tę gałązkę, co trzyma w dziobku.

Wydał cichy dźwięk, jakby łagodne zacwierkanie, gil zaś odwrócił główkę i spojrział pytająco, wciąż trzymając w dziobku gałązkę. Dick przemawiał do ptaka, jak Ben Weatherstaff, lecz przemawiał łagodnym tonem doradczym.

— Gdziekolwiek gniazdko zbudujesz, wszędzie będzie dobrze — rzekł. — Wiedziałeś ty dobrze, jak się gniazdko buduje, zanim jeszcze z jajka się wyklułeś. No, śmiało, chłopcze, do roboty. Nie trać czasu!

— Och! Jak ja lubię, gdy ty z nim rozmawiasz! — mówiła Mary, śmiejąc się rozkosznie. — Ben Weatherstaff daje mu ciągle nauki i wyśmiewa się z niego, a on skacze i patrzy, jakby każde słowo rozumiał, i wiem, że to lubi. Ben mówi, że on jest taki próżny, że wolałby, żeby go kamieniem uderzono raczej, niż nie zauważono.

Dick śmiał się i mówił dalej:

— Ty dobrze wiesz, że my oboje przeszkadzać ci nie będziemy — rzekł do gila. — My też jesteśmy jakby dwa zwierzątka albo dwie roślinki. My także gniazdko tu sobie budujemy, Bogu dzięki. Pilnuj się tylko, żebyś nas nie wydał!

A choć gil nie odpowiedział, bo miał dziobek zajęty, to przecież gdy odlatywał z gałązką w swój kącik ogrodu, poznała Mary po jego oczach, co jak dwa czarne diamenty błyszcząły, że praszek za żadne skarby nie zdradziłby ich tajemnicy.

## ROZDZIAŁ XVI. „NIE CHCĘ!” — POWIEDZIAŁA MARY

Dick i Mary wynaleźli sobie mnóstwo pracy tego ranka i Mary spóźniła się na obiad, potem zaś tak się spieszyła z powrotem do swego zajęcia, że dopiero w ostatniej chwili przypomniała sobie o Colinie.

— Powiedz Colinowi, że jeszcze nie mogę przyjść do niego — rzekła do Marty. — Ogromnie zajęta jestem w ogrodzie.

Marta wyglądała na przestraszoną.

— O mój Boże! Panienko! — odparła. — Jak paniczowi tak powiem, to gotów strasznie się rozgniewać.

Ale Mary nie bała się ga tak, jak się bali inni, a przy tym nie lubiła się poświęcać.

— Nie mogę siedzieć w domu — odrzekła. — Dick na mnie czeka — i pobiegła.

Popołudnie było nawet jeszcze miłsze i więcej było pracy niż rano. Powyrywali już prawie wszystkie chwasty, a drzewa i róże obkopali i z suchych gałęzi oczyścili. Dick przyniósł swoją łopatę, Mary zaś nauczył, do czego i jak się jakim posługiwać narzędziem, tak że teraz już było widoczne, że choć to urocze, dzikie miejsce nie będzie podobne do „ogrodu porządnego”, to jednakże będzie cudnym gąszczem kwitnącym, zanim wiosna minie.

— Będziemy mieli nad głowami całą powódź kwiatów jabłoni i wisien — rzekł Dick, pracując zawzięcie. — Na murach zakwitną porozpinane drzewa brzoskwiniowe i śliwki, a trawniki wyglądać będą jak dywan z różnobarwnych kwiatów.

Mały lisek i kawka były równie uszczęśliwione i zajęte, jak Dick i Mary, gil zaś i jego samiczka przelatywały nieustannie, jak dwa świecące, czerwone maku płateczki. Kawka co jakiś czas załopotała skrzydłami i przelatywała na drzewa parkowe. Za każdym razem, gdy wracała z wędrowki, siadała blisko Dicka i skrzeczała, jakby mu opowiadała swoje

<sup>52</sup>lepsze jak — dziś popr.: lepsze niż.

przygody; Dick zaś przemawiał do niej, jak zwykł był przemawiać do gila. Raz, gdy, będąc bardzo zajęty, nie zaraz jej odpowiedział, Sadza usiadła mu na ramieniu i szerokim dziobem swoim schwyciła go i pociągnęła lekko za ucho. Gdy Mary, zmęczona, pragnęła trochę odpocząć, Dick usiadł z nią na trawie pod drzewem, wyjął fujarkę i słodko, cicho zagrał kilka tonów, a w tejsze chwili ukazały się na murze dwie wiewiórki, patrząc i nasłuchując.

— Panienka już dużo mocniejsza teraz — rzekł Dick, przyglądając jej się, gdy kopała. — Już panienka na pewno bardzo się odmieniła.

Mary promieniała.

— Jestem z dnia na dzień tłściejsza — mówiła radośnie. — Pani Medlock będzie musiała sprawić mi większe sukienki. Marta mówi, że mi włosy urosły i nie są już takie bezbarwne i przyklepane.

Gdy się rozchodzili, słońce poczynało zachodzić, rzucając na ziemię i drzewa ukośne, czerwono-złote promienie.

— Cudny dzień będzie jutro — rzekł Dick. — O wschodzie słońca będę już przy robocie.

— Ja także — odparła Mary.

Pobiegła do domu tak prędko, jak tylko nóżki podołały. Pragnęła opowiedzieć Colinowi o młodym lisku i o kawce Dicka i o tym, jakich cudów wiosna dokazuje. Była pewna, że chętnie to wszystko usłyszy. Toteż nie ucieszyła się wcale, gdy, wszedłszy do pokoju, zastała tam Martę, która na nią czekała ze smutnym wyrazem twarzy.

— No, co? — spytała. — Co mówił Colin, gdy mu powiedziałaś, że nie mogę przyjść?

— O mój Boże! — odparła Marta. — Byłabym wolała, żeby panienka była poszła. Będzie znów miał z pewnością napad. Miałam ja z nim kłopotu niemało całe popołudnie, aby go uspokoić. Ciągle tylko na zegarek spoglądał.

Mary zacisnęła usta. Ona tak samo jak Colin nie zwykła była oglądać się na innych i nie widziała powodu, dlaczego by chłopak rozzłoszczony i rozkapryszony miał być przeszkodą w tym, co jej jest miłe. Nie rozumiała wrażliwości osób wiecznie chorych i zdenerwowanych, nieumiejących panować nad sobą i doprowadzających otoczenie również do zdenerwowania. Kiedy ją samą dawniej — w Indiach — bolała głowa, robiła wszystko co możliwe, by i drugim ból głowy sprowadzić. I zdawało jej się, że ma słusność; teraz wszakże widziała jasno, że Colin zupełnie słusności nie miał.

Colin nie siedział na swej kanapie, gdy Mary weszła do pokoju. Leżał na wznak w łóżku i nie odwrócił ku wchodzącej głowy. Był to zły znak; dziewczynka podeszła ku niemu sztywno.

— Dlaczegoś nie wstał? — spytała.

— Od rana wstałem, bom myślał, że przyjdiesz — odrzekł, nie patrząc na nią. — Kazałem się jednak po południu znów położyć do łóżka. Plecy mnie bolały i głowa i byłem zmęczony. Czemu nie przyszedłaś?

— Pracowałam w ogrodzie z Dickiem — odparła.

Colin zmarszczył czoło i raczył na nią spojrzeć

— Zakażę temu chłopakowi przychodzić tutaj, jeżeli z nim będziesz przestawała, zamiast przyjść porozmawiać ze mną — rzekł wyniośle.

Mary zapieniła się ze złości. Potrafiła ona wpaść w furję, nie robiąc hałasu. Stawała się zjadliwa, uparta i nie dbała o to, co się stać może.

— Jeśli Dicka odesłesz stąd, to noga moja nie postanie już nigdy w tym pokoju! — odparła.

— Będziesz musiała przyjść, jeśli ja zechcę! — rzekł Colin.

— Nie przyjdę! — odpowiedziała Mary.

— Ja cię zmuszę! — wołał Colin. — Ja cię tu każę przywlec siłą!

— Czyś aż tak bardzo potężny? — zasyzczała wściekła. — Mogą mnie tu przywlec siłą, ale mnie nikt nie zmusi do mówienia. Usiądę i zęby zacisnę i nic ci nigdy, nigdy nie powiem. Nie chcę nawet patrzeć na ciebie. Będę ciągle patrzyła na podłogę!

Była to para rozkosznych dziecinek, gotowych sobie skoczyć do oczu. Gdyby byli dwoma ulicznikami, byłiby się wzięli za czupryny i zbili się na kwaśne jabłko. Tymczasem czynili ku temu wstępne kroki.

— Jesteś wstrętny samolub! — krzyczał Colin.

— A ty co? — wołała Mary. — Kto sam jest samolub, ten zawsze tak mówi. Każdy dla niego samolub, kto nie robi tego, czego on chce. Tyś gorszy samolub ode mnie. Jesteś najsamolubniejszym chłopakiem, jakiego znałam.

— Kłamiesz! — ofuknął Colin. — Nie jestem taki samolub, jak twój piękny Dick. Zatrzymuje cię w ogrodzie, żebyś się w błocie z nim babrała, a wie, że tu jestem sam. Daruj, ale to on jest samolub najgorszy!

Oczy Mary ciskały płomienie.

— Dick jest miłszy i grzeczniejszy od wszystkich innych chłopców! — zawołała. — To jest... to jest anioł! Może... może będzie śmieszne to, co powiedziałam... a, mniejsza o to!

— Piękny mi anioł! — sapał wściekły Colin. — Nie anioł, tylko zwyczajny chłopak z wrzosowiska!

— Lepszy on niż zwyczajny radża! — odcięła Mary. — Tysiąc razy lepszy!

Była mocniejsza z nich obojga i zaczęła brać nad chłopcem górę. Co prawda, nigdy on w życiu nie miał utarczki z nikim równym sobie i tak Bogiem a prawdą, było to nawet z pożytkiem dla niego, choć ani on, ani Mary nie zdawali sobie z tego sprawy. Odwrócił głowę, oczy zamknął, a grube łzy popłynęły mu po policzku. Zaczynał rozrzewniać się i żałować samego siebie — broń Boże, innych.

— Nie jestem taki samolub jak ty, bo zawsze jestem chory i wiem na pewno, że mi się narodził tworzy na plecach — mówił. — A przy tym umrę niedługo.

— Wcale nie umrzesz! — sprzeciwiła się Mary.

Zrobił wielkie oczy z oburzenia. Nigdy przedtem nic podobnego nie słyszał. Był on równocześnie wściekły i trochę uradowany, jeśli możliwe być jednym i drugim jednocześnie.

— Nie umrę? — krzyknął. — Właśnie, że umrę! Wiesz, że umrę. Wszyscy to mówią!

— Ja tam nie wierzę! — obojętnie odrzekła Mary. — Mówisz tak umyślnie, żeby mnie złościć. Ty się z tego pysznisz! Ale ci nie wierzę! Gdybyś był bardzo dobry, to może by to było prawda! Ale zanedtoś niegodziwy!

Pomimo swoich chorych pleców, Colin usiadł na łóżku, rozzłoszczony jak najzdrowszy.

— Idź precz z mego pokoju! — krzyknął, chwycił za poduszkę i rzucił na Mary. Nie miał dość siły, więc poduszka upadła u nóg dziewczynki, która miała taki wyraz twarzy, jakby chciała ugryźć.

— Dobrze, pójdę — rzekła spokojnie — i już nigdy nie wrócę!

Poszła do drzwi, po czym odwróciła się i dodała:

— Chciałam ci opowiedzieć mnóstwo ładnych rzeczy. Dick przyniósł swego liska i swoją kawkę i chciałam ci o nich mówić. Ale teraz nic nie powiem, nic!

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi, za którymi, ku swemu zdumieniu, ujrzała wykwalifikowaną pielęgniarkę, jakby tam podsłuchiwała, a co gorsza, zaśmiewała się teraz. Była to silna, młoda, przystojna kobieta, która nie miała powołania do tego, czym była, nie znosiła bowiem chorych i kalek i wiecznie znajdowała wymówki, by Colina zostawić pod opieką Marty albo kogokolwiek, który ją zechciał zastąpić. Mary jej nie lubiła, teraz zaś stała i patrzyła, jak tamta chichocze w chustkę do nosa.

— Z czego się śmiejesz? — spytała.

— Z was obojga — odparła pielęgniarka. — Nie można by wymyślić nic lepszego dla tego wychuchanego gagatka, jak przeciwstawić mu drugie dziecko, równie złe, jak on sam — i tu znów chichotać poczęła. — Żeby miał siostrę złośnicę, z którą by się mógł bić, to by zaraz był zdrow.

— Czy on umrze?

— Nie wiem i jest mi to obojętne — rzekła pielęgniarka. — Cała jego choroba to histeria i humory.

— Co to histeria? — spytała Mary.



— Sama panienska zobaczy, jak po tym, co zaszło, wpadnie w furję. Ale w każdym razie dała mu panienska powód do napadu i bardzom z tego rada.

Mary wróciła do swego pokoju z całkiem innymi uczuciami niż te, z jakimi przyszła tu z ogrodu. Była zła i rozczarowana, ale jej wcale nie było żal Colina. Zamierzała powiedzieć mu wiele rzeczy i chciała dowiedzieć się i upewnić, czy naprawdę można by mu było powierzyć tę ich wielką tajemnicę. Zaczynała przypuszczać, że byłoby można to zrobić, lecz teraz zmieniła zupełnie zdanie. Już mu teraz nie powie — nigdy — i niech on sobie siedzi w swoim pokoju i niech nie zazna świeżego powietrza, i niechaj sobie umrze, kiedy chce! Dobrze mu tak! Była taka zła i niewzruszona, że na chwilę zapomniała o Dicku i o przejrzystej szacie zielonej, którą się świat zaczął okrywać, i o łagodnym powiewie wiatru od wrzosów idącym.

Marta czekała na nią, a przestrach na jej twarzy ustąpił miejsca zainteresowaniu i ciekawości. Na stole stało pudełko drewniane, pokrywka była zdjęta i ukazywała wewnątrz kilka ładnie zwiniętych paczek.

— Pan Craven to przysłał dla panienki — wyjaśniła Marta. — Zdaje mi się, że tam będą książki z obrazkami.

Mary przypomniała sobie pytanie wuja, gdy wtedy była w jego pokoju: „Czy chciałabyś czego — lalek — zabawek — książek?”. Rozwinęła paczkę i ciekawa była, czy jej przysłał lalkę, i myślała sobie, co z nią pocznie, gdyby tak było. Lecz nie była to lalka. Znalazła natomiast kilka cudnych książek, takich, jakie miał Colin, a dwie z nich specjalnie poświęcone były ogrodnictwu i pełne ślicznych rycin. Poza tym pudło zawierało jeszcze kilka ładnych gier i prześliczną teczkę do listów ze złotym monogramem, złotą obsadkę i kałamarzyk.

Wszystko było takie śliczne, że radość poczęła łagodzić jej gniew i zły humor. Nie myślała, żeby wuj aż tak o niej pamiętał, i małe jej, zatwardziałe serduszko uczuło wdzięczność.

— Przecież ja umiem lepiej pisać niż drukować — mówiła — a pierwszą rzeczą, jaką tym piórem napiszę, będzie list do wuja z podziękowaniem za jego dobroć.

Gdyby z Colinem byli w przyjaźni, byłaby pobiegła do niego natychmiast pokazać mu swoje prezenty; byłiby sobie razem oglądali obrazki i poczytali o ogrodnictwie, może by sobie pograli w którą z gier, a on by się był rozerwał i nie myślałby o śmierci i nie macałby pleców, by sprawdzić, czy mu garb nie rośnie. Miał taki sposób nieznośny robienia tego, że Mary znieść tego nie mogła. Nabawiało ją to uczucia przestrachu, bo on sam miał zawsze taką przerażoną minę. Mówił, że gdyby poczuł kiedy pod palcami najmniejszą krostę na plecach, to już byłby pewny, że to garb zaczyna rosnać. Myśli te nasuwały mu szeptane rozmowy pani Medlock z pielęgniarką, począł o tym rozmyślać, dopóki to przekonanie nie ustaliło się w jego wyobraźni. Pani Medlock powiedziała, że plecy jego ojca zaczęły krzywić się w ten sam sposób, gdy był dzieckiem. Colin nikomu nie mówił prócz Mary, że największą część „napadów”, jak to nazywali, miała źródło w owym histerycznym strachu. Mary na razie żałowała go, gdy jej to powiedział.

— On zawsze zaczyna rozmyślać o tym garbie, jak jest zły albo wyczerpany — rzekła sobie Mary. — A dzisiaj był zły. Może... może on całe popołudnie dziś o tym myślał.

Stała cicho, zapatrzona w dywan i zamyślona.

— Powiedziałam, że już nigdy do niego nie pójde — zawahała się, ściągając brwi — lecz może... może właśnie pójde... spytać go, czy chce, żebym przyszła rano. A może znów we mnie rzuci poduszkę? Wszystko jedno... myślę, że lepiej jednak pójść.

## ROZDZIAŁ XVII. NAPAD

Mary wstała bardzo rano, dzień cały napracowała się w ogrodzie, więc była zmęczona i śpiąca; toteż zaraz po kolacji położyła się do łóżka. Zасыpiając, mruczała jeszcze do siebie:

— Jutro wyjde znów przed śniadaniem i będę pracowała z Dickiem, a potem... potem pewnie jednak pójde odwiedzić Colina.

Około północy zbudziły ją tak straszliwe wrzaski, że na równe nogi wyskoczyła z łóżka. Co to jest? Co to? Lecz domyśliła się zaraz — była pewna. Otwierano i zamykano drzwi, słychać było bieganinę w korytarzu, a ktoś płakał i krzyczał wniebogłosy.

— To Colin! — powiedziała sobie. — Ma znów *napad*, co to pielęgniarzka nazywa histerią. Jakież to wstrętne!

Słyszając teraz te szlochy i jęki, nie dziwiła się, że mu pozwalali na wszystko, byle tych wrzasków uniknąć. Zatkala uszy palcami. Było jej bardzo nieprzyjemnie, drżała.

— Co tu robić, co tu robić? — powtarzała. — Znieść tego nie mogę!

Przyszło jej na myśl, że może by przestał krzyzczeć, gdyby mogła do niego pójść, lecz potem przypomniała sobie, jak ją z pokoju wyprosił, i pomyślała, że jej widok może jeszcze pogorszyć sprawę. Choć z całej siły zaciskała uszy, nie mogła zgłuszyć okropnych krzyków. Takie jej były wstrętne i tak ją przerażały, że naraz wpadła w złość i miała uczucie, że i ona dostanie takiego napadu i nastraszy go tak samo, jak on ją nastraszył. Nie przywykła była do niczych złych humorów, prócz do swoich. Odjęła ręce od uszu, skoczyła i zaczęła tupać nogami.

— Powinni mu zakazać tak krzyzczeć! Ktoś go powinien powstrzymać! Powinien go ktoś mocno wybić! — krzyczała.

Wtem usłyszała, że ktoś biegnie korytarzem, drzwi się otworzyły i weszła pielęgniarzka. Nie śmiała się teraz wcale. Była nawet bardzo blada.

— Znów dostał napadu hysterii — rzekła pospiesznie. — Zaszkozić sobie może bardzo. Nie można sobie z nim dać rady. Niech panienka spróbuje uspokoić go, on panienkę lubi.

— Dzisiaj mnie z pokoju wyrzucił — rzekła Mary, tupiąc nogą ze złością.

Tupnięcie to podobało się pielęgniarce. W rzeczy zaś samej lękała się, że zastanie Mary płaczącą i chowającą głowę pod poduszki.

— Oj, to-to! — mówiła. — W sam raz panienka ma humor! Proszę iść zwymyślać go. Niech mu panienka podda jakiś nowy pomysł. Moja złota! Niech się panienka spieszy!

Później dopiero spostrzegła się Mary, że wszystko to było straszne i zabawne równocześnie — zabawne, że ludzie dorośli tacy byli przestraszeni, że wołali na pomoc małą dziewczynkę, bo odgadywali w niej naturę podobną do Colina.

Biegła przez korytarz, a im bliżej była krzyków, w tym większą wpadała złość. Była formalnie w furii, gdy drzwi dopadła. Otworzyła je i z trzaskiem pobiegła wprost do łóżka.

— Cicho bądź! — huknęła ostro. — Milcz! Nienawidzę cię! Wszyscy ciebie nie cierpią! Chciałabym, żeby wszyscy z domu wyszli, żebyś się tu na śmierć zakrzyczał! I zaraz się na śmierć zawrzeszczysz, zaraz! Bardzo bym chciała!

Dobre, sympatyczne dziecko nie mogłoby ani wymówić, ani pomyśleć takich wyrazów, lecz zdarzyło się tak dziwnie, że właśnie wstrząśnienie, wywołane ich dźwiękiem, było najlepszym lekarstwem dla tego histerycznego chłopca, któremu nikt nie śmiał sprzeciwić się.

Leżał na poduszkach, bijąc wokoło rękami i miotając się jak wściekły — teraz na rozszluszczony ton głosu Mary odwrócił się nagle. Twarz jego była przerażająca — blada — z wypiekami, nabrzmiała i szlochał, i jęczał; ale mała Mary, zła jak dzika kotka, nie robiła sobie nic z tego.

— Jak mi jeszcze raz piśniesz — mówiła — to ja też wrzasnę, a umiem krzyzczeć głośniejsz niż ty, i wystraszę cię okropnie!

Tak go przerażyła, że umilkł. Krzyk mu uwiązał w gardle. Wielkie lzy toczyły mu się po twarzy. Wątłym ciałem wstrząsały lkania.

— Nie mogę przestać płakać! — zawodził i szlochał. — Nie mo-mogę! nie m-m-mogę!

— Możesz! — krzyknęła Mary. — Cała twoja choroba to histeria i złość. Histeria! Histeria! Histeria! — i za każdym razem łupała nogą.

— Cz-czułem narośl... cz-czułem — wykrztusił Colin. — Wiedziałem, że tak będzie. Będę miał garb, a potem umrę!

Znów się poczał wic i twarz wykrzywił, i szlochał, i jęczał, lecz nie krzyczał.

— Nieprawda! Nie czułeś żadnej narośli! — przeczyła Mary. — Jeśliś co czuł, to narośl histeryczną. Histeria robi narośle. Nic nie masz na tych twoich obrzydliwych plecach: nic prócz hysterii! Odwróć się zaraz, to sama sprawdzę!

Podobało jej się słowo „histeria” i czuła, że i na nim robi wrażenie. Być może, iż tak jak ona nigdy on go przedtem nie słyszał.

— Proszę przyjść tu zaraz — rozkazująco rzekła do pielęgniarki — i pokazać mi w tej chwili jego plecy!

Pielęgniarka, pani Medlock i Marta stały przytulone do siebie przy drzwiach, patrząc na Mary i usta otwierając z podziwu. Wszystkim trzem niejednokrotnie tchu zabrakło ze strachu. Pielęgniarka zbliżyła się, jakby też przestraszona. Colinem wstrząsały łkania.

— Może... może mi panicz nie pozwoli — rzekła cicho.

Colin jednak usłyszał i wyjąkał między dwoma szlochami:

— Po-pokaż jej! N-n-niech to zo-zobaczy sa-sama!

Były to biedne, chude plecy, gdy je obnażono. Można było policzyć wszystkie żebra i wszystkie złączenia kości pacierzowej, lecz ich panna Mary nie liczyła, gdy pochyliła nad nimi swoją twarzyczkę dziką i gdy się z powagą przyglądała. Wyglądała tak zabawnie, że pielęgniarka z trudem opanowała śmiech. Była chwilka ciszy, bo nawet Colin starał się oddech zatrzymać, gdy Mary oglądała jego plecy z uwagą największą, zupełnie jakby była owym sławnym lekarzem z Londynu.

— Nawet krostki żadnej nie ma! — rzekła w końcu — nie ma krostki nawet takiej, jak główka szpilki, z wyjątkiem kości pacierzowej, a czujesz ją właśnie, bo wystaje, boś chudy. Ja mam takie same kości i tak samo wystawały, jak twoje, dopóki teraz nie utylam; a jeszcze nie mam dość tłustych pleców, by je przykryć. Nic nie masz na plecach, żadnej narośli. Jak jeszcze raz wspomnisz o garbie, to cię tylko wyśmieję!

Tylko Colin jeden wiedział, jakie wrażenie zrobiły na nim te wyrazy w złości wypowiedziane. Gdyby był miał przed kim wygadać się z swych urojonych, tajonych obaw, gdyby był pozwolił mówić do siebie, gdyby był miał towarzystwo dzieci, a nie leżał po całych dniach na wznak w łóżku w tym ogromnym pustym domu, żyjąc w atmosferze przesyconej lękiem ludzi, którzy po największej części byli niemądry, a nim znużeni, byłby zrozumiał, że największa część lęków jego i choroby była owocem jego wyobraźni. Lecz leżał i rozmyślał o sobie, o swoich bólach, o swoim zmęczeniu — myślał dni, miesiące, lata. I teraz dopiero, gdy to niemiłe dziecko upierało się przy swoim, że nie był on tak chory, jak sobie wyobrażał — począł przypuszczać, że może ona ma rację.

— Nie wiedziałam — nieśmiało wtrąciła pielęgniarka — że on myślał, że ma garb. Krzyż ma słaby, bo nie chce spróbować nawet usiąść prosto. Byłabym mu sama powiedziała, że ani śladu garbu nie ma.

Colin polykał lzy i odwrócił twarz trochę, by na nią spojrzeć.

— N-naprawdę? — wyrzekł.

— Tak jest, sir!

— No więc widzisz! — rzekła Mary.

Colin znów twarz ukrył w poduszki i leżał spokojnie, tylko lzy cicho płynęły, a ciałem wstrząsały czasami tłumione łkania, jakby ostatnie podmuchy wichru po burzy. Łzy były najlepszym znakiem, że przyszła ulga i ukojenie. Odwrócił się nagle i znów spojrzął na pielęgniarkę i — o dziwo! — wcale nie jak radza do niej przemówił:

— Czy myślisz, że mógłbym... żyć... i urosnąć? — spytał.

Pielęgniarka nie była ani sprytna, ani serdeczna, lecz odpowiedzieć mogła słowami lekarza londyńskiego:

— Pewnie, że panicz mógłby żyć, gdyby robił to, co mu każe, to znaczy, gdyby panował nad sobą i przebywał dużo na świeżym powietrzu.

Napad minął. Colin był teraz osłabiony i wyczerpany płaczem i może dlatego złagodniał. Wyciągnął trochę rękę ku Mary, a ponieważ — z radością powiedzieć muszę — i jej własna złość minęła, przeto na pół drogi rękę też wyciągnęła — i tak zgoda zapadła.

— Wyjdę... wyjdę z tobą, Mary — powiedział. — Nie będę już nie cierpiał świeżego powietrza, jeśli znajdziemy...

W sam czas sobie przypomniał, by nie powiedzieć „jeśli znajdziemy tajemniczy ogród”, i dokończył:

— Chętnie z tobą wyjdę, jeśli Dick będzie popychał mój fotel. Tak bym chciał zobaczyć Dicka i lisa, i kawkę.

Pielęgniarka poprawiła łóżko, strzepnęła poduszki, potem przyrządziła dla Colina filiżankę bulionu i poczęstowała Mary, której ogromnie się przydał po wzruszeniach tej przykrej nocy. Pani Medlock i Marta szczęśliwie się wysunęły, a kiedy wszystko już było w porządku i spokoju, miała pielęgniarka ochotę wysunąć się również jak najprędzej.

Była to zdrowa, młoda kobieta i zła była, że jej sen przerwali; ziewała ciągle, patrząc na Mary, która przysunęła sobie była fotel do łóżka i trzymała Colina za rękę.

— Niech panienka idzie się położyć — rzekła. — Jeżeli panicz nie jest zanadto poruszony, to zaraz zaśnie. A potem i ja się tu obok położę!

— Chciałbyś, żebym ci zaśpiewała tę pieśń, której mnie nauczyła Ayah? — szeptem spytała Mary chłopczyka.

Przyciągnął lekko jej rękę ku sobie i zmęczone, błagalne spojrzenie zwrócił na nią.

— Och, dobrze! — odrzekł. — To taka słodka melodia. Zasnę zaraz z pewnością.

— Ja go uspię — rzekła Mary do ziewającej wciąż pielęgniarki. — Możesz odejść, jeśli chcesz.

— Dobrze — odparła tamta z uczuciem ulgi. — Jeśli panicz za pół godziny nie usnie, to proszę mnie zawołać.

— Doskonale! — powiedziała Mary.

Pielęgniarka śpiesznie opuściła pokój, a skoro tylko wyszła, Colin znów Mary przyciągnął za rękę.

— O mało się nie wygadałem — powiedział — ałem się w czas zatrzymał. Nie mogę mówić, chciałbym zasnąć, ale mówiłaś, że masz mnóstwo ładnych rzeczy do opowiadania. Czy... czy nie znalazłaś może jakiego śladu wejścia do tajemniczego ogrodu?

Mary spojrzała na jego biedną, drobną, zmęczoną twarzyczkę, na oczy zapuchnięte i serce jej wezbrało żalem.

— Ta-a-ak — z wolna odrzekła — zdaje mi się, że jestem na tropie. Jeśli zaś teraz usniesz, to ci jutro wszystko powiem.

Ręka mu drżała.

— Och! Mary, Mary! — zawołał. — Gdybym tam mógł się dostać, to myślę, że bym żył! Czy zamiast śpiewać mi piosenkę Ayah, nie mogłabyś mi po cichu opowiedzieć, jak sobie wyobrażasz, że on wygląda wewnątrz, tak jak mi mówiłaś za pierwszym razem. Jestem pewny, że mnie to uspi.

— Owszem — odparła Mary. — A teraz zamknij oczy.

Colin oczy przymknął i leżał zupełnie spokojnie, ona zaś trzymała go za rękę i poczęła mówić wolno i bardzo cicho:

— Myślę, że tak długo był sam, że się tam wszystko rozrosło w cudny gąszcz. Myślę, że róże musiały się pięć, pięć i pięć po gałęziach, drzewach, murach, a nawet pełzać po trawie, tak że ich gałązki utworzyły, jakby szarą zasłonę z mgły. Niektóre z nich pousychały, lecz dużo jest żywych i w lecie będzie powódź i całe fontanny róż. Myślę, że ziemia tam pełna krokusów, narcyzów, pierwiosnków, irysów, które w ciemnej ziemi pracują i zaczynają kiełkować. Wiosna już się zaczęła na dobre, być więc może... być może...

Łagodna monotonia głosu uciszała go stopniowo. Spojrzała to i ciągnęła dalej:

— Być może, że już widać je przez trawę... może już są całe gniazda purpurowych i żółtych krokusów. Może już listki poczynają pękać i rozwijać się... a może... może szarość gałązek zamieniać się zaczyna na zielony welon gazowy... i pnie się... pnie się na wszystko. A ptaszki przylatują przyglądać się tym cudom, albowiem jest tam tak zacisznie i tak bezpiecznie. A może... może... może... — dodała zupełnie cicho i wolnusiętko — może gil znalazł samiczkę i gniazdko sobie zakłada...

I Colin zasnął.

## ROZDZIAŁ XVIII. „NIE TRAĆMY CZASU”

Mary oczywiście nie obudziła się wcześniej następnego dnia. Spała długo, albowiem zmęczona była bardzo, Marta zaś, przynosząc jej śniadanie, opowiedziała, że Colin jest zupełnie spokojny, lecz chory i ma gorączkę, co zwykle bywało, gdy się wyczerpał krzykami i płaczem. Mary wolno spożywała śniadanie, słuchając.

— Panicz mówił, że prosi, żeby panienka poszła do niego, jak tylko będzie mogła — mówiła Marta. — Aż dziwnie, jak sobie panienkę upodobał. To pewnie po tej ostatniej nocy, co? Nikt inny nie byłby śmiały tak z nim postąpić. Biedny chłopiec! Tak go zepsuli, że już Święty Boże nie pomoże. Matka mówi, że najgorsze dla dziecka to jest, jak zawsze ma swoją wolę albo jak jej nigdy nie ma. A nie wiadomo, co gorsze. Ale panienka to się też nie najgorzej potrafi złościć! A panicz mówi, jakem do pokoju weszła: „Proszę cię,

zapytaj pannę Mary, czy nie zechciałaby przyjść porozmawiać ze mną”. Niech no panienska pomyśli: panicz, mówiący „proszę”. Pójdzie panienska?

— Wpierw pobiegnę zobaczyć Dicka — odparła Mary. — Albo nie; najpierw pójde odwiedzić Colina i powiem mu... już wiem, co powiem — dodała w nagłym natchnieniu.

Miała kapelusza na głowie, gdy w pokoju stanęła, i Colin przez sekundę doznał uczucia rozczarowania. Leżał w łóżku, twarz miał przerażająco bladą, a wielkie sine kręgi pod oczyma.

— Cieszę się, że przyszedłeś, — wyrzekł. — Głowa mnie boli i wszystkie kości, bo jestem bardzo zmęczony. Czy idziesz gdzie?

Mary podeszła blisko i oparła się o łóżko.

— Nie zabawię długo — rzekła. — Idę do Dicka, ale zaraz wrócę. Colin, wiesz? Coś wiadomo o ogrodzie!

Twarzyczka mu wyjaśniała i zaróżowiła się lekko.

— Och! Naprawdę? — zawołał. — Całą noc mi się o nim śniło. Słyszałem, jak mówiłaś, że się szarość w zieleni przemienia, i śniłem, że stoję w miejscu przepelnionym małymi, drżącymi, zielonymi listeczkami, a wszędy były ptaszki w gniazdkach i wyglądały tak słodko i mile. Będę teraz sobie o tym myślał, dopóki nie wrócisz.

W pięć minut potem była już Mary z Dickiem w ogrodzie. Lisek i kawka były z nim znowu i tym razem przywiódł jeszcze dwie oswojone wiewiórki.

— Dziś przyjechałem na swoim koniku — mówił. — Pocziwe zwierzątko ten mój Skoczek! A tych dwóch łobuzów przyniosłem w kieszeniach. Ta tutaj nazywa się *Orzeszek*, a ta oto *Łupinka*.

Gdy powiedział „Orzeszek”, jedna z wiewiórek wskoczyła mu na prawe ramię, gdy zaś „Łupinka” — druga wdrapała się na lewe.

Gdy usiedli na trawie z Kapitanem skulonym u ich nóg, Sadzą słuchającą uroczyście na drzewie i Orzeszkiem i Łupinką węszącymi obok nich, zdawało się Mary, że nie będzie miała siły porzucić takiego uroczego towarzysza; wszakże gdy zaczęła opowiadać, spojrzenie w zabawną twarz Dicka zmieniło jej myśli. Widziała jasno, że chłopcu żal Colina bardzo — więcej niż jej. Spojrzał na niebo i rozejrzał się dookoła.

— Niech panienska posłucha ptaszków. Cały świat zdaje się być ich pełny: ich świergotu i śpiewu — mówił. — Proszę popatrzeć, jak przelatują, posłuchać ich nawoływań. Jak wiosna idzie, to zdaje ci się, że cię cały świat woła. Listki się rozwijają... może je panienska widzieć. A ten zapach! — mówił, ruszając swym zadartym nosem. — A ten biedak tam leży i leży zamknięty, i widzi tak mało, że tylko myśli i myśli o różnych rzeczach, które mu lży wyciskają z oczu. Niech będzie co chce, musimy go tu wydestać. Niech patrzy, słucha, wącha to cudne, świeże powietrze, niech się w słońcu wykąpie. I nie zwlekajmy z tym.

Gdy był bardzo czymś pochłonięty, zwykł był mówić swą specjalną yorkshirską gwarą, choć zwykle uważał na siebie, by go Mary mogła lepiej rozumieć. Lecz Mary lubiła tę gwarę i usiłowała nawet przyswoić ją sobie. I teraz popróbowowała swych sił.

— Nie zwlekajmy z tym — powtórzyła, przekręcając zabawnie wyrazy na sposób Dicka. — Powiem ci zaraz, co najpierw musimy zrobić — ciągnęła dalej, a Dick się uśmiechał. — On cię bardzo polubił z mojego opowiadania. Chciałby cię poznać, a także Kapitana i Sadzę. Gdy teraz do domu wrócę, to go spytam, czy możesz jutro rano przyjść do niego i przyprowadzić swoje zwierzątka... a potem, niedługo, gdy już będzie więcej listków i pączków wiosennych, to go wydestaniemy koniecznie, ty będziesz popychał jego fotel na kółkach i przywieziemy go tutaj i wszystko mu pokażemy.

Mary dumna była, gdy skończyła mówić, bowiem pierwszy raz wypowiedziała tak dużo tutejszą ludową gwarą.

— Musi panienska pomówić tak samo z paniczem — zachichotał Dick. — Uśmieje się, a dla chorych to śmiech najlepsze lekarstwo. Matka mówi, że pół godziny śmiechu i wesołości od samego rana, to może od najgorszej choroby ustrzec.

— Jeszcze dzisiaj, zaraz teraz, przemówię do niego tak jak ty — odparła Mary.

Ogród tymczasem rozwinął się na tyle, że co dnia się zdawało, iż jakaś dobra wróżka laseczką czarodziejską wyczarowuje cuda z ziemi i gałązek. Ciężko było stąd odchodzić, tym bardziej, że Orzeszek wdrapał się Mary na sukienkę, zaś Łupinka gramoliła się na pień jabłoni, pod którą siedzieli, i patrzyła na dziewczynkę pytająco. Wróciła jednakże do

domu, a gdy usiadła blisko obok łóżka, Colin począł wachać, jak Dick, choć nie z takim jak on doświadczeniem.

— Pachniesz jak kwiaty i świeżość — zawołał radośnie. — Czym tak pachniesz? To chłodne, gorące i słodkie równocześnie.

— To wiatr z wrzosowiska — odparła Mary. — A pachnę tak jeszcze od siedzenia w trawie pod drzewem z Dickiem, Kapitanem, Sadzą, Orzeszkiem i Łupinką. Wiosna tak pachnie ślicznie i ziemia, i słońce.

Mówiła to szeroko, rozwlekle, gwarą, którą trzeba słyszeć, by zrozumieć, jak zabawnie brzmi. Colin począł się śmiać.

— Co ty robisz? Nie słyszałem nigdy mowy takiej w twoich ustach. Strasznie zabawnie.

— Daję ci próbkę mowy Dicka: gwary yorkshirskiej — odpowiedziała Mary triumfująco. — Nie umiem mówić tak ładnie jak Dick i Marta, ale zawsze się już trochę poduczylam. Czy ty mię rozumiesz? Właściwie to wstyd, przecieżeś tu urodzony i wychowany!

Potem zaś poczęła się śmiać i śmiali się oboje tak serdecznie, że się opanować nie mogli — aż pokój śmiechem ich rozbrzmiewał, tak że gdy pani Medlock otworzyła drzwi, cofnęła się śpiesznie w korytarz i poczęła nasłuchiwać zdumiona.

— Jak Boga mego kocham! — mówiła do siebie. — Niesłychane rzeczy! No i kto by to był myślał!

A tymczasem tyle było do mówienia! Zdawać by się mogło, że Colinowi nigdy nie dosyć było opowiadania o Dicku i Kapitanie, i Sadzy, i Orzeszku, i Łupince, i o koniku, który zwał się Skoczek. Mary pobięła z Dickiem do lasu, by go zobaczyć. Był to mały, kudłaty pony z wielką grzywą, zwieszającą mu się na senne oczy, miłym pyszczkiem i ruchliwymi, aksamitnymi nozdrzami. Właściwie był on chudy, boć żywił się trawą stepową jedynie, lecz taki był sprężysty i muskularny, jakby drobne jego nóżki ze stali były zrobione. Podniósł głowę i lekko zarżał, skoro tylko ujrzał Dicka, przydreptał do niego i głowę na ramieniu mu oparł; Dick powiedział mu coś na ucho, Skoczek zaś odpowiadał rżeniem, parsaniem i sapaniem wielce zabawnym. Dick kazał mu podać Mary przednią nóżkę i pocałować ją w twarz swym aksamitnym pyszczkiem.

— Czy on naprawdę rozumie wszystko, co mówi Dick? — spytał Colin.

— Zdaje się, że rozumie — odpowiedziała Mary. — Dick mówi, że z każdym stworzonkiem można się zrozumieć, jak się jest jego przyjacielem naprawdę. Ale trzeba być właśnie naprawdę przyjacielem.

Colin chwilę leżał bez ruchu i zdawało się, że się na ścianę zapatrzył — lecz Mary wiedziała, że rozmyślał.

— Chciałbym bardzo być przyjacielem zwierząt — powiedział wreszcie. — Ale nie umiem. Z nikim nigdy nie byłem w przyjaźni — nie znoszę ludzi.

— A mnie znosisz? — zapytała Mary.

— Owszem, znoszę — odparł. — To bardzo zabawne, ale ciebie, to ja nawet bardzo lubię.

— Ben Weatherstaff powiedział, że jestem podobna do niego — rzekła Mary. — Mówi, że mamy zupełnie równie nieprzyjemne charaktery. Mnie się znów zdaje, że i ty jesteś do niego podobny. Wszyscy troje równi sobie jesteśmy: ty i ja, i Ben Weatherstaff. On mi wtenczas powiedział, że taki mamy nieprzyjemny wyraz twarzy, jak i charakter i dlatego aż przykro na nas spojrzeć. Ale ja na przykład wcale nie czuję się taka nieprzyjemna, odkąd poznałam gila i Dicka.

— Czy masz czasem uczucie, że nienawidzisz ludzi? — spytał Colin.

— Owszem — odparła Mary szczerze. — Byłabym cię na pewno nie cierpiała, gdybym cię była poznała przed gilem i Dickiem.

Colin drobną swą, chudą rączkę wyciągnął i dotknął jej ramienia.

— Mary — rzekł — chciałbym, żeby nigdy nie był powiedział o tym wyrzuceniu stąd Dicka. Nienawidziłem cię, gdyś powiedziała, że on jest anioł, i wyśmiewałem się z ciebie, ale myślałem, że może z niego naprawdę anioł.

— Bo tak naprawdę, to może ja głupstwo wtenczas powiedziałam — przyznała Mary otwarcie — bo jak na anioła to on ma zanadto zadarty nos, za szerokie usta, zanadto polatane ubranie i zanadto mówi gwarą, ale jednak, gdyby w Yorkshire był anioł i mieszkał

na wrzosowisku, gdyby był taki yorkshirski anioł, to myślę, że rozumiałby mowę kwiatów i wiedziałby, jak je hodować, i umiałby przemawiać do zwierząt tak, jak Dick, a one wiedziałyby, że jest ich przyjacielem naprawdę.

— Wzrok Dicka wcale nie byłby mi przykry — rzekł Colin — bardzo go pragnę zobaczyć.

— Cieszę się, że to mówisz — odparła Mary — bo widzisz... bo...

Uprzytomniła sobie teraz zupełnie nagle, że nadeszła chwila stosowna. Colin zaś czuł, że coś teraz się wydarzy.

— Bo co? — dopytywał gorliwie.

Mary była taka wzruszona, a taki ją jednocześnie lęk ogarnął, że wstała z krzesła, podeszła do Colina i obie ręce jego ujęła w swoje.

— Czy mogę ci zaufać? Zaufałam Dickowi, bo nawet ptaszki mu ufają. Czy mogę więc zaufać tobie na pewno, tak zupełnie *na pewno*? — pytała błagalnie.

Twarzyczka jej miała wyraz tak uroczysty, że chłopiec wyszeptał tylko:

— O tak, sir, możesz!

— A więc Dick przyjdzie tu do ciebie jutro rano i swoje zwierzątka przyprowadzi z sobą.

— O mój Boże! — zawołał Colin uszczęśliwiony.

— Ale nie koniec na tym — ciągnęła dalej Mary, blada z uroczystego wzruszenia. — Powiem ci coś ważniejszego. Są drzwi do ogrodu. Znalazłam je. Były ukryte w murze pod bluszczem.

Gdyby Colin był silnym, zdrowym chłopcem, byłby zawołał na cały głos: „hurra! hurra!” — lecz był słaby i nerwowy; źrenice jego poczęły się rozszerzać — tchu schwycić nie mógł.

— Och, Mary! — zawołał, prawie szlochając. — Czy będę go mógł zobaczyć? Czy będę mógł wejść? Czy będę żył, by móc doń wejść? — a mówiąc to, czepiał się rękami jej sukienki i przyciągał ją ku sobie.

— No, naturalnie, że go zobaczysz! — pogardliwie rzuciła Mary. — Będziesz żył, będziesz! No, nie bądź niemądry!

A była przy tym taka naturalna i nienerwowa, i dziecinna, że przywołała go do równowagi na tyle, że począł się śmiać, zaś w kilka minut potem siedziała już w swym krześle i opowiadała mu już nie o tym, jak sobie wyobraża, że ogród tajemniczy wygląda, lecz o tym, jaki jest w rzeczywistości; Colin zaś zapomniał o bólach i znużeniu i słuchał jak oczarowany.

— To zupełnie tak samo go sobie wystawiał — powiedział po chwili. — Wtedy już miałem uczucie, jakbyś w nim była. Pamiętasz? Powiedziałem ci to, gdyś mi pierwszy raz opowiadała.

Mary zawahała się chwilę, po czym śmiało wyznała prawdę.

— Widziałam go... byłam w nim — mówiła. — Znalazłam klucz i od kilku tygodni doń chodzę. Ale nie mogłam ci powiedzieć... nie mogłam, bo nie wiedziałam, czy ci zaufać mogę *na pewno*!

## ROZDZIAŁ XIX. „NADESZŁA CHWILA”

Po doktora Cravena posłano naturalnie zaraz rano po napadzie nocnym Colina. Wzywano go zawsze zaraz, ilekroć taki napad miał miejsce; za każdym zaś razem, gdy przyjeżdżał, znajdował bladego, wymizerowanego chłopca, leżącego na łóżku, wstrząsanego przez łkania, nadąsanego i tak zdenerwowanego, że za lada słowem gotów był wybuchnąć nowymi łzami. W rzeczy samej doktor Craven nie znosił trudności wiążących się z tymi wizytami. Dlatego przybył tym razem do Misselthwaite dopiero po południu.

— Jakże się ma? — spytał pani Medlock podrażniony. — Pękną mu kiedy naczynia krwionośne w takim napadzie. Cała choroba tego chłopaka to histeria i brak panowania nad sobą.

— Więc panu doktorowi powiem — odparła pani Medlock — że pan doktor oczom swoim nie będzie chciał wierzyć. Otóż ta nieprzyjemna, niepozorna dziewczynka, równie dziwaczna i nieznośna jak on sam, po prostu czary na niego rzuciła. Jak ona to zrobiła, to trudno zrozumieć. Bóg widzi, że nie ma nawet na co spojrzeć, nie słysząc jej, by się

odezwała, a jednak zrobiła to, czego by nikt z nas zrobić nie śmiał. Dziś w nocy wpadła na niego zupełnie jak dziki kot i nogami na niego tupała, i kazała mu natychmiast przestać krzyczeć, a tak go jakoś przeraziła, że i ucichł, a dzisiaj po południu... ale niech pan doktor wejdzie i sam zobaczy. Zupełnie nie do wiary.

To, co doktor Craven ujrzał, gdy przestąpił próg pokoju swego pacjenta, zdziwiło go istotnie bardzo. Gdy pani Medlock otworzyła drzwi, usłyszał śmiechy i chichotki. Colin siedział na sofie, ładnie ubrany, a siedział zupełnie wyprostowany i oglądał obrazki w jednej z książek przyrodniczych, rozmawiając z ową niepozorną, niemiłą dziewczynką, którą w tej chwili trudno było nazwać niemiłą, tak jej twarzyczka promieniała radością.

— Widzisz te długie, wijące się, niebieskie? Tych jest dużo — mówił Colin. — To są Delphinium.

— Dick mówi, że ostróżki, wyhodowane sztucznie — wołała Mary. — Już ich jest pełnusięńko.

Naraz ujrzeli doktora Cravena i zamilkli. Mary siedziała cicho, Colin był zły.

— Martwię się, słysząc, żeś był chory dziś w nocy, moje dziecko — odezwał się doktor Craven trochę zdenerwowany. Był on w ogóle dość nerwowy.

— Czuję się teraz lepiej, wiele lepiej — odparł Colin wyniośle, jak młody radża. — Jutro lub za dwa dni, jeśli będzie ładnie, wyjadę w moim fotelu do ogrodu. Potrzeba mi świeżego powietrza.

Doktor Craven usiadł przy nim, badał puls i przyglądał mu się uważnie.

— Dobrze, ale musi być bardzo ładnie i ciepło — powiedział — i musisz bardzo uważać na siebie, by się nie przemęczyć.

— Świeże powietrze mnie nie zmęczy — rzekł młody radża.

Ponieważ zdarzało się niejednokrotnie, że tenże sam młody panicz wrzeszczał wniebogłosy z wściekłości i upierał się, że na powietrzu zaziębi się i umrze — przeto nic dziwnego, że doktor się nieco zdumiał.

— Myślałem, że nie lubisz świeżego powietrza — powiedział.

— Nie lubię, jak jestem sam — odparł radża — ale moja kuzynka wyjdzie razem ze mną.

— No i oczywiście pielęgniarka? — poddał doktor Craven.

— Nie, pielęgniarka w domu zostanie — rzekł tak wyniośle, że Mary mimo woli przypomniało się, jak wyglądał młody książę hinduski ze swoją szatą naszywaną drogimi kamieniami i z ogromnymi rubinami na ciemnych rękach, którymi znak dawał, ilekroć rozkazywał służbie zbliżyć się do siebie z pokłonami i rozkazy im wydawał.

— Moja kuzynka wie, jak się ze mną obchodzić. Zawsze mi jest lepiej, ilekroć ona jest ze mną. Ostatniej nocy pomogła mi bardzo. A jeden silny chłopiec będzie pchał mój fotel na kółkach.

Doktor Craven przeląkł się nie na żarty. Kto wie? Jeśli temu anemicznemu, histerycznemu chłopcu uda się wyzdrowieć, natenczas on sam straci na zawsze nadzieję odziedzczenia Misselthwaite; lecz doktor, jakkolwiek słabego charakteru, nie był jednak człowiekiem bez sumienia i nie chciałby, aby Colin znaleźć się mógł w istotnym niebezpieczeństwie.

— Dobrze; lecz ten chłopiec musi być silny i staranny — powiedział. — No i koniecznie muszę się dowiedzieć pewnych o nim danych. Kto on? Jak się nazywa?

— To Dick — przemówiła nagle Mary. Zdawało jej się, że ktokolwiek zna wrzosiwisko, ten oczywiście nie może nie znać Dicka. I nie myliła się. Dostrzegła zaraz, że twarz doktora Cravena rozpozgodziła się uśmiechem.

— Ach! Więc to Dick! — powiedział. — Jeśli to Dick, to już mogę być o ciebie spokojny. Silny on i sprężysty jak te małe koniki stepowe.

— A przy tym jest rzetelny — odezwała się Mary gwarą. — To najuczciwszy, najrzetelniejszy chłopiec w Yorkshire. — Mówiła przy tym gwarą Dicka i zapomniała się.

— Czy to od Dicka nauczyłaś się tak mówić? — spytał doktor Craven, śmiejąc się szczerze.

— Uczę się tego tak samo, jak bym się uczyła po francusku — chłodno odparła Mary. — To to samo, co gwara tubylcza w Indiach. Ludzie zdolni starają się jej nauczyć. Mnie się tutejsza gwara podoba i Colinowi również.



— No, dobrze, dobrze — rzekł doktor. — Jeśli was to bawi, to sobie mówcie, szkody wam to nie zrobi. Colinie, czy w nocy zażywałeś brom?

— Nie — odpowiedział Colin. — Najpierw nie chciałem zażyć, a potem Mary mnie uspokoiła i uspiła, opowiadając mi przyciszonym głosem o tym, jakie wiosna w ogrodzie cuda czyni.

— To pochlebne dla Mary — rzekł doktor Craven, coraz więcej zdumiony, spoglądając na nią z ukosa, zaś panna Mary cichutko siedziała na krześle, zapatrzona obojętnie w dywan. — To widoczne, że ci dużo lepiej, lecz nie wolno ci zapominać...

— Właśnie, że chcę zapomnieć — przerwał znów młody radza. — Kiedy sam tu leżę i rozpamiętuję, to zaczyna mnie wszystko boleć i myślę o rzeczach takich, od których muszę płakać i krzyczeć, bo tak ich nienawidzę. Gdyby był gdzie blisko jaki doktor, który by mi kazał *zapominać*, zamiast *pamiętać*, to chciałbym, by go do mnie sprowadzili. — I zrobił ruch ręką, która w tej chwili powinna była być pokryta rubinami. — Kuzynka moja pomaga mi dlatego, że przy niej *zapominam*.

Nigdy jeszcze wizyta doktora Cravena po napadzie nie była tak krótka; zwykle zmuszony był zostać i przedsiębrać wiele różnych zabiegów. Tego popołudnia nie przepisał żadnego nowego lekarstwa, żadnych nie dał zaleceń i oszczędzono mu scen nieprzyjemnych. Był bardzo zamyślony, gdy schodził ze schodów, a pani Medlock zauważyła, że był bardzo zakłopotany, gdy z nią w bibliotece rozmawiał.

— No, prawda, panie doktorze, że to nie do wiary? — rzekła nieśmiało.

— To pewna, że zaszedł zwrot w całej sprawie — odparł doktor. — A nie można zaprzeczyć, że teraz znacznie mu lepiej.

— Myślę, że Zuzanna Sowerby ma rację — mówiła pani Medlock. — Wczoraj zatrzymałam się u niej, jadąc do Thwaite, i pogawędziłyśmy trochę. A ona powiedziała tak: „No, dobrze, Saro Anno, być może, że ona nie jest dobra i może nieładna, ale zawsze to dziecko, a dziecko ciągnie do dziecka”. Zuzanna Sowerby i ja chodziłyśmy razem do szkoły.

— To najlepsza pielęgniarka, jaką znam — rzekł doktor Craven. — Jak tylko ona jest gdzie przy chorym, to z góry wiem, że mój pacjent wyzdrowieje.

Pani Medlock uśmiechnęła się błogo. Kochała Zuzannę Sowerby.

— Ona tak potrafi dobrze wytłumaczyć każdemu swoje myśli — trzepała dalej. — Dzisiaj całe rano rozmyślałam nad jedną rzeczą, którą mi wczoraj powiedziała. Mówi mi tak: „Razu pewnego, gdy strofowałam dzieci za to, że się pobily, powiedziałam im tak: »Jakem była w szkole, to mnie na geografii uczyli, że ziemia ma kształt pomarańczy, a zanim skończyłam dziesięć lat, doszłam do przekonania, że cała pomarańcza do nikogo nie należy. Nikt nie ma na własność więcej nad ten kawałek, na którym żyje, a czasem to się dobrze<sup>53</sup> zdaje, że nie ma miejsca dla wszystkich. I niech nikt z was nie waży mi się myśleć, że cała pomarańcza do niego należy, bo tak nie jest, a nie przekonacie się o tym inaczej, jak tylko wtenczas, kiedy was kto mocno potrąci«. Otóż dziecko od początku się uczy, że nie ma sensu chcieć sobie zagrabić całą pomarańczę ze skórką i ze wszystkim. Jakby tak kto chciał zrobić, to by i pestek nie dostał, a choćby je i dostał, to zbyt one gorzkie, by je można było zjeść”.

— To rozumna kobieta — rzekł doktor Craven, nakładając płaszcz.

— Tak, tak; umie ona wyrazić swoje myśli — kończyła pani Medlock, kontenta ogromnie. — Nieraz jej mówiłam, że gdyby była inna i nie mówiła taką rozwlekłą gwarą, to powiedziałabym, że jest bardzo inteligentna.

---

Następnej nocy Colin spał bez przebudzenia, a gdy rano oczy otworzył, leżał cicho i uśmiechał się, nie wiedząc nawet o tym — uśmiechał, bo było mu tak jakoś dziwnie dobrze. Przyjemnie mu było, że się obudził, przewracał się i przeciągał z poczuciem, że mu jest dobrze. Miał uczucie, że prysły jakieś cienkie, niewidzialne nici, które go dotąd trzymały na łańcuchach. Nie wiedział o tym, że doktor Craven byłby powiedział, że nerwy jego uspokoiły się i wypoczęły. Zamiast leżeć, patrzeć na sufit i żałować, że się obudził, jak to dawniej bywało, miał Colin głowę pełną planów, jakie układał z Mary dnia poprzedniego, pełną obrazów ogrodu i Dicka, i jego zwierzątek. Tak miło było mieć o czym myśleć! Nie

<sup>53</sup>dobrze — tu: zupełnie, całkiem.

leżał tak więcej nad dziesięć minut, gdy posłyszał tupot nóg na korytarzu i Mary stanęła pod drzwiami. W sekundę potem była w pokoju, podbiegła do łóżka, przynosząc z sobą prąd świeżego powietrza przesyconego wonią wiosennego poranka.

— Byłaś na dworze! Byłaś, prawda? Znow tak pachniesz listkami i świeżością — wołał Colin.

Mary biegła szybko, włosy miała rozplecione, rozwiane i cała jaśniała i promieniowała radością, a twarzyczka jej była zaróżowiona.

— Tak cudnie na dworze! — mówiła, zdyszana szybkim biegiem. — Nigdy w życiu nie widziałeś chyba nic równie cudnego! Przyszła! Myślałam już wtenczas rano, że nadeszła, ale dopiero zbliżała się. Teraz jest już tutaj! Przyszła, przyszła Wiosenka! Dick tak mówi!

— Przyszła naprawdę? — zawołał Colin, a choć rzeczywiście o wiosnie nie miał wyobrażenia, przecież serce mu żywiej bić poczęło. Usiadł na łóżku.

— Otwórz okno! — dodał, śmiejąc się trochę z radosnego podniecenia, trochę z własnej fantazji. — Może usłyszymy wesołe śpiewy i granie!

A choć mówił to tylko śmiejąc się, poskoczyła Mary natychmiast do okna; otworzyła je w okamgnieniu na oścież — a pokój w tejże chwili zapelniał się począł świeżością, łagodnym wiewem, wonią wiosenną i śpiewem ptaszek.

— Widzisz! To świeże powietrze! — mówiła. — Leż na wznak i wdychaj je całą piersią. Dick tak robi, gdy czasami położy się na wrzosach. Mówi, że je wtedy czuje w żyłach i daje mu ono moc i uczucie, że mógłby żyć zawsze, zawsze. Wdychaj je więc i wdychaj.

Powtarzała tylko słowa Dicka, lecz niemniej opanowała całkiem wyobraźnię Colina.

— Zawsze, zawsze! Czy mu to takie daje wrażenie? — spytał, robiąc, jak mu kazała, i wdychając pełną piersią świeże, wonne powietrze, aż naraz poczuł, że dzieje się z nim coś nieznanego mu, a cudnego.

Mary znow podeszła do łóżka.

— Wszystko zaczyna kiełki z ziemi wypuszczać — mówiła śpiesznie. — Kwiaty się rozwijają, pąkiem zielonym wszystko się okrywa i ta zielen świeża pokrywa już całą szarość; a ptaszki tak śpieszą z budowaniem gniazdek, lękając się opóźnić, że niektóre walczą o miejsca w tajemniczym ogrodzie. A nasze krzewy róż tak są żywe, tak żywe, aż radość spojrzeć; w lesie pełno pierwiosnków i anemonów, a te nasionka, któreśmy zasiali, wszystkie powschodziły, a Dick przyprowadził liska, kawkę i wiewiórkę, i młode, malutkie jagniątko.

Odpoczęła — zacerpnęła powietrza. Nowo narodzone jagnię znalazł Dick trzy dni temu — wśród krzaków janowca na wrzosowisku — leżało przy matce nieżywej. Nie było to pierwsze jagniątko bez matki, jakie znalazł, toteż wiedział, jak się z nim obchodzić. Zabrał je z sobą do chatki, zawinięte w bluzkę — położył je tam blisko pieca i nakarmił ogrzanym mlekiem. Było to słodkie stworzonko z ślicznym, dziecinnym pyszczkiem i nóżkami trochę za długimi do takiego drobnego ciała. Dick na rękę je tu przyniósł, buteleczkę ze smoczką miał w tej samej kieszeni, co wiewiórkę, a gdy Mary siedziała pod drzewem z jagniątkiem skulonym na jej łonie, odczuwała taką niezwykłą radość, że ze wzruszenia mówić nie mogła. Jagniątko — jagniątko! Żywe jagniątko, które trzymała na rękę jak dziecko maleńkie!

Opisywała to wszystko Colinowi, a chłopczyk leżał zasłuchany, oddychając pełną piersią, gdy do pokoju weszła pielęgniarka. Przeraził i zdumiał ją nieco widok otwartego okna. Nieraz w upalne dni dusiła się z braku powietrza, gdyż pacjent jej upierał się, że przy otwartym oknie można się zaziębić.

— Czy panicz pewny, że się nie zaziębi? — zapytała.

— Nie — brzmiała odpowiedź. — Wdycham świeże powietrze. To wzmacnia. Do śniadania wstanę, kuzynka moja zje razem ze mną.

Tłumiąc uśmiech, pielęgniarka wyszła dać dyspozycję przyniesienia dwóch śniadań. Znajdowała<sup>54</sup>, że w kredensie jest daleko zabawniej niż w pokoju chorego, a w danej chwili każdy był żądny wiadomości z piętra. Żartowali sobie z małego odludka, który, zdaniem kucharza „trafił nareszcie na równego sobie”. Służba cała wymęczona była „napadami”

<sup>54</sup>znajdować (daw.) — uważać.

Colina, a kamerdyner, który był człowiekiem familijnym, nieraz wygłaszał swoje zdanie, że „inwalida” byłby zdrow, żeby go krótko trzymali.

Gdy chłopczyk siedział już na sofie i śniadanie na obojga zostało podane, oznajmił pielęgniarce górną i wyniosłą jak prawdziwy radza, co następuje:

— Przyjdą mi tu dzisiaj rano odwiedzić pewien chłopiec, lis i kawka, i dwie wiewiórki, i malutkie jagniątko nowo narodzone. Proszę mi ich przyprowadzić, skoro tylko przyjdą — mówił. — Nie wolno zatrzymywać ich w kredensie i bawić się ze zwierzątkami. Zaraz mi ich tu proszę wpuścić.

Pielęgniarka usta otworzyła ze zdumienia.

— Do usług, sir — odparła.

— Powiem ci, co możesz zrobić — dodał Colin. — Możesz powiedzieć Marcie, by ich tu wprowadziła. Ten chłopiec bowiem to Marty brat. Na imię mu Dick i jest czarodziejem zwierząt.

— Mam nadzieję, że te zwierzęta nie ugryzą panicza — rzekła pielęgniarka.

— Mówiłem ci przecież, że on jest czarodziejem — rzucił Colin ostro. — Zwierzęta czarodziejów nie gryzą nigdy.

— W Indiach są czarodzieje żółwi — wtrąciła Mary. — Mogą oni głowy tych żółwi kłaść sobie do ust.

— O mój Boże! — wstrząsnęła się pielęgniarka.

Spożyli śniadanie przy otwartym oknie i cudnym powiewie wiosennym. Colin zjadał z apetytem, Mary przyglądała mu się z powagą i zajęciem.

— Zobaczysz, że teraz utyjesz tak samo, jak ja — mówiła. — W Indiach nigdy nie miałam apetytu, a teraz zawsze, i cieszę się jedzeniem.

— Ja też cieszyłem się, myśląc o dzisiejszym śniadaniu — odrzekł Colin. — Może to już skutek świeżego powietrza. Jak myślisz, kiedy przyjdzie Dick?

Lecz Dick nie kazał na siebie czekać. W jakieś dziesięć minut Mary palec podniosła:

— Posłuchaj! — zawołała. — Słyszysz głos kawki? Colin nasłuchiwał i uszu jego doszedł najzabawniejszy głos, jaki usłyszeć można w domu — było to ochryple kau-kau.

— Słyszę — odparł.

— To Sadza — objaśniała Mary. — Posłuchaj teraz! Czy słyszysz takie ciche beczenie?

— Och! Słyszę! — zawołał Colin zarumieniony z radości.

— To owo jagniątko nowo narodzone — rzekła Mary. — Już idą!

Dick miał grube, ciężkie buty i choć starał się stąpać jak najostrożniej, to przecież odgłos jego kroków rozbrzmiewał donośnie w długim korytarzu. Mary i Colin słyszeli, jak szedł — szedł, aż przeszedł przez drzwi zamknięte na wyłożony miękkim dywanem przedpokój Colina.

— Proszę łaski panicza — mówiła Marta, otwierając drzwi — oto jest Dick ze swoimi zwierzątkami.

Dick wszedł, mając na ustach swój najszczęśliwszy uśmiech. Niósł jagniątko na rękę, obok niego deptał młody, rudy lisek. Orzeszek siedział mu na lewym ramieniu. Sadza na prawym, zaś z kieszeni wyglądał figlarny pyszczyk i łapki Łupinki.

Colin wolno usiadł i patrzył, patrzył — tak jak patrzył, skoro pierwszy raz ujrzał był Mary; tym jednak razem było to spojrzenie pełne podziwu i radości. W rzeczywistości to pomimo wszystkiego, co słyszał, nie miał wyobrażenia, jak ten chłopiec będzie wyglądał, jak również nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego lis i kawka, i wiewiórka, i jagnię mogą być tak blisko niego i niejako częścią jego stanowić. Colin w życiu swoim nigdy jeszcze nie rozmawiał z żadnym chłopcem i tak był olśniony swą radością, że nawet nie pomyślał o rozmowie.

Lecz Dick nie był ani nieśmiały, ani zawstydzony. Podobnie jak wtedy, gdy pierwszy raz spotkał się z kawką, a ona nie rozumiała jego mowy i tylko patrzyła. Każde stworzenie musi się wprawdzie upewnić, z kim ma do czynienia. Podbiegł swobodnie do sofy i złożył Colinowi jagnię na kolanach; stworzonko zaś przytuliło się od razu do ciepłego, welwetowego ubranka i poczęło szukać, noskiem kręcić i kędzierzawym łebkiem z lekka trącać go w bok. Rzecz prosta, że teraz nikt by nie mógł milczeć.

— Co ono robi? — spytał Colin. — Czego ono chce?

— Chce matki — odpowiedział Dick, śmiejąc się coraz więcej. — Przyniosłem je paniczowi trochę głodne, bom wiedział, że panicz chętnie popatrzy, jak się będzie karmić.

Zwierzęta

Uklęknął przy kanapie i wyjął z kieszeni buteleczkę i smoczek.

— Pójdź tu, maleńki — powiedział, odwracając delikatnie małą, kędzierzawą główkę brunatną ręką. — Tego ci się zachciewa. Z tego tu więcej wyciągniesz niż z aksamitnego ubranka. Masz! — i włożył smoczek w miękki pyszczek zwierzątka, jagnię zaś poczęło ssać z chciwością.

Teraz już temat do rozmowy był gotów. Tymczasem jagnię zasnęło, posypały się pytania jak grad, Dick zaś odpowiadał na wszystkie. Mówił, jak znalazł jagniątko o wschodzie słońca, trzy dni temu. Stał na wrzosowisku i przysłuchiwał się skowronkowi i przyglądał się, jak wlatuje coraz to wyżej i wyżej ku niebu, aż stał się jak maleńki punkcik na błękitcie.

— Byłbym go z oczu stracił całkiem, gdyby nie śpiewał, i myślałem sobie, jak też można go słyszeć, gdy go nie widać wcale... aż tu naraz usłyszałem inny głos oddalony w krzakach janowca. Było to ciche beczenie i zaraz wiedziałem, że to młode jagniątko głodne i że nie byłoby głodne, gdyby nie było straciło matki, i zacząłem szukać. Dobrzem się musiał narozglądać, naszukać. Łaziłem tam i sam w janowcu i dokoła, wszędzie i ciągle mi się zdawało, że nie idę w dobrą stronę. Nareszcie przy skale, na krańcu wrzosowiska zobaczyłem coś białego; wdrapałem się i znalazłem to maleństwo na pół żywe z zimna i beku.

W czasie całego opowiadania Sadza uroczyście wylatywała i wlatywała przez okno i krakała uwagi o otoczeniu, podczas gdy Orzeszek i Łupinka robiły wycieczki wśród starych drzew w ogrodzie — biegały po pniach — zwiedzały gałęzie. Kapitan leżał skulony obok siedzącego na ziemi przy kominku Dicka.

Oglądali ryciny w książkach przyrodniczych, a Dick znał nazwy popularne wszystkich kwiatów i wiedział, które z nich rosną już w tajemniczym ogrodzie.

— Tego nazwania nie znam — mówił, wskazując na kwiat, pod którym była nazwa „*Aquilegia*”, ale u nas to się nazywa orlik, a tamto to są lwie pyszczki albo lnianki — i oba rosną dziko; lecz te oto są ogrodowe, z odmianami i większe. Orlików dużo jest tu w ogrodzie. Jak się rozwiną, to będą wyglądały jak mnóstwo motyli biało-niebieskich.

— Muszę je zobaczyć! — wołał Colin. — Muszę je zobaczyć!

— Musisz koniecznie — rzekła Mary bardzo poważnie. — I nie traćmy czasu!

## ROZDZIAŁ XX. „BĘDĘ ŻYŁ ZAWSZE, ZAWSZE, ZAWSZE”

Tymczasem zniewoleni byli czekać więcej niż tydzień, ponieważ najpierw nastaly dni bardzo wietrzne, potem zaś Colin zagrożony był katarem, które to dwie przeszkody razem wzięte byłyby go niewątpliwie doprowadziły do pasji, gdyby nie to, że było tyle tajemniczych planów do układania i gdyby nie Dick, który przychodził codziennie, choćby na parę minut, opowiedzieć o wszystkim, co się działo na wrzosowisku, w lesie, na polankach, żywopłotach i na brzegach strumieni. To, co opowiadał o kunach, łasicach, wydrach, szczurach wodnych, że już nie wspomnę o ptakach, wystarczyłoby do wprowadzenia w zachwyt, tym bardziej, że się słyszało z ust samego czarodzieja zwierząt tyle szczegółów poufnych i że można było wyobrazić sobie, z jaką gorliwością, zapałem i łękiem cały ten pracowity, podziemny światek pracował.

— One takie same, jak my — mówił Dick — tylko że zwierzęta muszą sobie domy budować co rok. I tyle im to daje pracy, że się ciągle muszą śpieszyć.

Najwięcej jednak pochłaniały ich przygotowania, jakie trzeba było przedsięwziąć, zanim będzie można Colina przewieźć do tajemniczego ogrodu. Nikt nie mógł widzieć fotela na kółkach, Dicka i Mary po przejściu pewnego zakrętu w krzewach i przejściu na zewnętrzną drogę pod okrytym bluszczem murem.

W miarę jak dnie mijały, utwierdzał się Colin coraz więcej w przekonaniu, że tajemniczość otaczająca ogród stanowi jeden z największych jego uroków. Nie można tego zepsuć. Niech nikt nie podejrzewa nawet, że mają tajemnicę. Niech wszyscy myślą, że sobie ot, po prostu wychodzi z Mary i Dickiem do ogrodu, ponieważ może znieść, by tych dwoje na niego patrzyło. Miewali z sobą długie, tajemniczego czaru pełne rozmowy o swej przyszłej wyprawie. Więc tak: pójdą najpierw w górę tą ścieżką, potem w dół tamtą, później w poprzek owej dróżki — naokoło fontanny — obejdą klomby tam się znajdujące i będą udawali, że ich bardzo zajmuje przyglądanie się flancowaniu kwiatów

pod dozorem pana Boacha. To będzie takie naturalne, że nikomu do głowy nie przyjdzie, że mają jakieś tajemnicze zamiary. Potem wejdą na ścieżki zadrzewione, zginą z oczu i dotrą do wielkiej alei. Tak wypracowali w najdrobniejszych szczegółach plan pochodu, jak wielcy generałowie wypracowują przed bitwą plany wojenne.

Wiadomości o tym, co się działo w pokoju „chorego”, nabierały tymczasem rozgłosu i dotarły przez służbę kredensową do chłopaków stajennych i ogrodników — niemniej jednak zdumiał się dnia pewnego pan Boach, gdy z pokoju pana Colina, którego to pokoje nigdy nie danym mu było oglądać, otrzymał rozkaz stawienia się osobiście przed oblicze jego wielmożności, bowiem pan Colin osobiście pragnął się z nim rozmówić.

— No, no — powtarzał sobie, spiesznie zmieniając ubranie — co to z tego będzie? Jego Królewska Mość, którego nikt nie oglądał, przywołuje do siebie człowieka, którego w życiu nie widział!

Nie można twierdzić, żeby pan Boach nie był ciekawy. Nawet z daleka nigdy okiem nie rzucił na Colina, a słyszał mnóstwo przesadnych wersji o jego dziwnym wejrzeniu i wybrykach chorego organizmu. Najczęściej wszakże słyszał, że chłopiec lada moment może umrzeć, a pełno było opowieści fantastycznych o plecach garbatych i o bezwładzie nóg, które to opowieści rozsiewane bywały przez ludzi, którzy nigdy Colina nie widzieli.

— Wszystko się zmienia w tym domu, panie Boach — mówiła pani Medlock, prowadząc ogrodnika tylnymi schodami na korytarz wiodący do tajemniczych dlań dotąd apartamentów.

— Miejmy nadzieję, że zmieni się na lepsze — odparł.

— Trudno, żeby się mogło co odmienić tu na gorsze — ciągnęła dalej — a choć to wszystko dziwne, to jednak dla niejednego teraz łatwiejsze jest spełnianie obowiązku. Niech się tylko pan nie dziwi, panie Boach, jak się pan znajdzie naraz wśród menażerii i ujrzy brata Marty Sowerby, Dicka, rządzącego się jak we własnym domu i śmielszego niż pan albo ja.

Coś magicznego istotnie otaczało osobę Dicka, jak w to święcie wierzyła Mary. Gdy bowiem pan Boach usłyszał jego imię, uśmiechnął się pocziwie.

— Ten by się czuł u siebie równie dobrze w Buckingham Palace<sup>55</sup>, jak na dnie kopalni węgla — odparł. — A jednakże to nie przez zuchwałstwo i arogancję, lecz jest to po prostu uroczy chłopiec.

Może to jednakże dobrze się stało, że go naprzód przygotowano, bo by się był przeraził. Skoro bowiem otworzyły się drzwi sypialni, duża kawka, siedząca jak u siebie na poręczu wysokiego, rzeźbionego krzesła, zaanonsowała przybyśza głośnym „kau-kau”. Pomimo ostrzeżeń pani Medlock pan Boach w samą porę powstrzymał się od uskoczenia w tył.

Młody radża nie leżał ani w łóżku, ani na sofie. Siedział w fotelu, a przy nim stało młode jagnię, wachlując ogonkiem z zadowoleniem, bowiem Dick klęczał obok, dając mu mleko z butelki. Wiewiórka siedziała na pochylonym grzbiecie Dicka i chrupała orzech. Mała zaś dziewczynka z Indii siedziała na wielkim podnóżku i przyglądała się.

— Oto jest pan Boach, paniczu — oznajmiła pani Medlock.

Młody radża odwrócił się i zmierzył poddanego swego od stóp do głowy — takie przynajmniej wrażenie miał pan Boach.

— Ach, więc to Boach? — powiedział. — Prosiłem o przyjście, bo mam kilka ważnych zleceń.

— Do usług, sir — odparł Boach, myśląc sobie w duszy, że pewno otrzyma rozkaz wykarczowania w parku wszystkich dębów lub zamienienia sadu na stawy rybne.

— Dzisiaj po południu wyjadę w moim fotelu do ogrodu — mówił Colin. — Jeśli mi świeże powietrze posłuży, będę wyjeżdżał codziennie. Jak będę w ogrodzie, niechaj żadnego z ogrodników nie będzie w pobliżu Wielkiej Alei i murów ogrodowych. Niech mi się żaden z nich pokazać tam nie waży. Wyjadę około drugiej po południu, a im wolno będzie wrócić do zajęcia dopiero wtedy, gdy dam odpowiedni rozkaz.

— Wedle rozkazu, sir — odparł pan Boach z widoczną ulgą, że dęby zostaną nienaruszone, a sady niezmienione.

— Mary — rzekł Colin, zwracając się do niej — jak to się mówi w Indiach po skończonej rozmowie, gdy się chce zostać samym?

<sup>55</sup>*Buckingham Palace* — nazwa pałacu będącego siedzibą królów angielskich.

— Mówi się tak: teraz pozwalam odejść — odpowiedziała Mary. Radza skinął ręką.  
— A teraz pozwalam odejść, Boach — powiedział. — Proszę nie zapomnieć, że to bardzo ważne.

— Kau-kau! — zrobiła uwagę kawka trochę ochryple, lecz uprzejmie.

— Do usług, sir! Ściele się do stópek! — rzekł pan Boach, pani Medlock zaś wypro-wadziła go z pokoju.

Na korytarzu poczył się z wolna uśmiechać, aż zaśmiał się serdecznie — był bowiem z natury człowiekiem dobrego serca.

— Słowo daję! — powiedział — to dopiero nabrał wielkopańskich manier! Myślałby kto, że to cała rodzina królewska w jednej osobie!

— Mój ty Boże! — zawołała pani Medlock. — Musieliśmy wszyscy pozwolić sobie po głowie tańcować, odkąd się urodził nieomal, nic dziwnego, że mu się zdaje, że ludzie na to stworzeni, by nimi mógł rządzić!

— Jeśli będzie żył, to może z tego wyrośnie — poddał pan Boach.

— Jedno to wiem na pewno — rzekła pani Medlock. — Jeżeli będzie żył, a ta indyjska panna będzie tu mieszkała, to ręczę, że go nauczy, że do niego nie należy cała pomarańcza, jak mówi Zuzanna Sowerby. A on powoli dojdzie do świadomości, która częśćka jego jest własnością.

W pokoju zaś siedział Colin oparty na poduszkach.

— Teraz wszystko już pewne — powiedział. — I dzisiaj po południu go zobaczę, dzisiaj po południu wejdę do niego!

Dick ze swymi stworzonkami wrócił do ogrodu. Mary została z Colinem. Nie wy-głądał na zmęczonego, lecz był niesłychanie spokojny cały czas przed śniadaniem i przez cały czas trwania tegoż. Dziwiła się, dlaczego tak jest, i spytała go.

— Takie ci się ogromne oczy zrobiły, Colinie — powiedziała. — Jak tylko myślisz, to ci się robią takie ogromne oczy, jak dwa koła. O czymże tak rozmyślasz?

— Muszę ciągle myśleć o tym, jak też wygląda — odpowiedział.

— Co? Ogród? — spytała Mary.

— Wiosna — odpowiedział. — Myślałem właśnie o tym, że nigdy jej nie widział. Rzadko kiedy wychodziłem, a gdy wychodziłem, to nie patrzyłem. Nie zastanawiałem się nigdy.

— W Indiach to i ja wiosny nie widziałam, bo jej tam nie było — rzekła Mary.

Zamknięty w pokoju i chorowity całe życie, miał Colin więcej rozbudzoną<sup>56</sup> wyobraźnię niż dziewczynka, w każdym bowiem razie największą część czasu spędzał nad cudnymi książkami i rycinami.

— Dzisiaj rano, gdy tu wbiegłaś i powiedziałaś: „przyszła, przyszła”, doznałem dziwnego uczucia. Zdawało mi się, że idzie coś ogromną procesją z dźwiękami trąb i muzyki. W jednej z książek mam taki obrazek: tłum ślicznych pań i panów, i dzieci z girlandami, gałązkami okrytymi kwiatem, a wszyscy się śmieją, tańczą, przygrywają na fujarkach. Dlatego ci powiedziałem: „może usłyszycie weselne śpiewy i granie”.

Zaśmiali się oboje nie dlatego, żeby ta myśl była śmieszna, lecz dlatego, że im się obojemu tak podobała.

Chwilkę później pielęgniarz ubrała Colina. Zauważyła ona, że zamiast leżeć jak kłoda podczas ubierania, usiadł i starał się sam sobie radzić, a cały czas śmiał się i rozmawiał z Mary.

— To paniczka dobry dzień, sir — powiedziała do doktora Cravena, który przyszedł wszystko skontrolować. — W takim jest doskonałym humorze, że zaraz jest silniejszy.

— Zajrzę tu jeszcze później po południu, kiedy już wróci ze spaceru — rzekł doktor Craven. — Muszę zobaczyć, jak mu też to wyjście posłuży. Chciałbym — dodał bardzo cicho — żeby pozwolił pani iść także.

— Wolę z góry się tego wyrzec, sir, zanim mu się to zaproponuje — odparła pielęgniarka z nagłym postanowieniem.

— Nie upieram się przy poddaniu mu tej myśli — rzekł doktor z cieniem zdenerwowania. — Zróbmy doświadczenie. Dick to porządny chłopak; niemowlę nowo narodzone bym mu powierzył.

<sup>56</sup>więcej rozbudzoną — dziś popr. bardziej rozbudzoną.

Najsilniejszy służący w domu zniósł Colina ze schodów i usadowił w fotelu na kółkach, przy którym z boku już czekał Dick. Gdy go okrył pledami i poduszki podłożył, radza skinął ręką jemu i pielęgniarce.

— A teraz pozwalam wam odejść — powiedział i oboje zniknęli czym prędzej, a wyznać należy, że oboje chichotali z radości, gdy się szczęśliwie znaleźli w domu.

Dick począł wolno i statecznie popychać fotel. Panna Mary szła obok, zaś Colin oparł głowę o poduszki i wznosił oczy ku niebu. Błękitna kopuła wydawała się dzisiaj ogromnie wysoka, a małe, śnieżne obłoczki zdawały się być stadem białych gołębi z rozpostartymi skrzydłami, szybujących po błękitnym przeźroczu. Od wrzosowiska szły podmuchy łagodne, przesycone dziwnie jakąś dziką, czystą, przesłodką wonią. Colin drobną swą piersią wdychał te wonie, a oczy jego szeroko rozwarłe wyglądały tak, jakby to one słuchały — słuchały zamiast uszu.

— Ile też to słyszeć się daje śpiewu i brzęczenia, i nawoływania! — mówił. — Co to za zapach wiatr od wrzosowiska przynosi?

— Janowiec i przytulnia na wrzosowisku zaczynają kwitnąć — odparł Dick. — Co tam dzisiaj pszczoł przy nich pracuje!

W parku podczas całej drogi nie zobaczyli żywej duszy. Bo też istotnie wypędzono po prostu wszystkich ogrodników i ich pomocników. Pomimo to kręcili się tu i tam pomiędzy krzewami, objechali wokoło fontanny, wokoło klombów, posuwając się z góry uplanowaną drogą — tylko by mieć przyjemność tajemniczości. Lecz gdy wreszcie zakręcili w Wielką Aleję przy obrosłych bluszczem murach, opanowało ich dziwne wzruszenie, tak że nie umiając wytłumaczyć sobie przyczyny, poczęli mówić szeptem:

— To tutaj — dyszała Mary. — Tutaj zwykle spacerowałam i myślałam, myślałam.

— Tutaj? — wołał Colin, szukając wzrokiem wśród bluszczów z ciekawą gorliwością. — Lecz dostrzec nic nie mogę — wyszeptał. — Wszak tu nie ma drzwi.

— I ja tak myślałam — odparła Mary.

Nastąpiło pełne uroczystego skupienia milczenie — posunęli się naprzód.

— To jest ogród, w którym pracuje Ben Weatherstaff — objaśniała dalej Mary.

— Tutaj? — pytał Colin.

Uszli kilka kroków, po czym znów Mary wyszeptwała:

— Tutaj zaś gil przeleciał przez mur — wyrzekła.

— Tutaj! — zawołał Colin. — Jakżebym chciał, by tu przyfrunął!

— A tu — wskazywała Mary z uroczystym przejściem na duży krzak bzu, tu, przysiadł na grudzie ziemi i pokazał mi klucz.

Colin usiadł.

— Gdzie? Gdzie? Tutaj? — pytał, a oczy miał tak wielkie, jak wilk w *Czerwonym Kapturku* w chwili, gdy tenże zwrócił na nich uwagę. Dick przystanął — fotel na kółkach zatrzymał się w miejscu.

— Tu zaś — mówiła Mary, podchodząc na rabatę tuż przy bluszczu — podeszłam, by z nim pogadać, a on zaczął wierzeć do mnie z wierchołka muru. To oto jest bluszcz, który wiatr odgarnął — i ujęła w rękę zwieszającą się zieloną zasłonę.

— Och! Naprawdę! — szeptał Colin.

— A tutaj jest kłamka i drzwi. Dicku, wepchnij wózek, prędko-prędko!

Dick zaś uczynił to jednym silnym, statecznym, wspaniałym ruchem.

Lecz Colin w tymże momencie oparł się o poduszki, choć dyszał z rozkoszy, oczy zakrył dłońmi i nie patrzył na nic, dopóki nie znaleźli się w samymże ogrodzie, dopóki nie zatrzymał się fotel jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej i dopóki nie zamknięto drzwi. Wtedy dopiero ręce odjął od oczu i począł się rozglądać — rozglądać dokoła tak samo, jak ongi Mary i Dick. Tymczasem świeża zieloność niby welon powiewny poczęła okrywać mury, ziemię i drzewa, i wiszące gałązki i pędy, w trawie zaś, pod drzewami, w wazonach kamiennych, wszędzie pełno było niby plam złocisto purpurowych, drzewa nad ich głowami okryte były śnieżnym i różowym kwiatem, a wszędy pełno śpiewu ptasząt, brzęczenia pszczołek i woni. Słońce ciepłymi promieniami pieściło twarzyczkę Colina niby ręką kochająca. Mary zaś i Dick stanęli, przyglądając mu się z podziwem. Wyglądał dziwnie i całkiem odmiennie — kolory niby płomień objęły go całego, zaróżowiły twarzyczkę, szyję, ręce...

— Będę zdrow teraz! Będę zdrow! — zawołał. — Mary! Dicku! Zdrow będę! I będę żył zawsze, zawsze, zawsze!

## ROZDZIAŁ XXI. BEN WEATHERSTAFF

Dziwne to jest w życiu, że tylko czasami miewa się uczucie, jakby się miało żyć zawsze — zawsze. Opanowuje uczucie owo niekiedy, gdy człowiek się ze snu zbudzi o jutrzence i znajdzie się sam wobec natury i, głowę w tył odrzuciwszy, spojrzy ku niebu, i ujrzy jego błądy seledyn z wolna się przemieniający, poczynający się zmieniać, zmieniać cudownie, dopóki wschód cały nie stanie się jakby jedną Hosanną. Wtedy to serce bić przestaje wobec onego niezmiennego, potężnego majestatu wschodzącego słońca, powtarzającego się wszakże każdego ranka od tylu tysięcy lat. Wtedy — na chwilę — zapomina się o wszystkim. Czasami znów opanowuje owo uczucie, gdy się człowiek znajdzie sam w lesie o słońca zachodzie, a tajemnicza, przesycona złotymi promieniami cisza wsiąka poprzez drzew konary, jak gdyby z wolna opowiadała o rzeczach jakichś dawnych a cudnych. Nieraz widok olbrzymiej ciszy nocnej z miriadami gwiazd mrugających i patrzących na nas daje nam pewność, że żyć będziemy zawsze; czasem utwierdzają nas w tej wierze dalekie dźwięki pięknej muzyki, czasem drogich nam oczu spojrzanie.

Uczucie to opanowało Colina, gdy po raz pierwszy usłyszał i poczuł wiosnę wpośród czterech murów tajemniczego ogrodu. Zdawało się, że tego popołudnia cały świat się sprzyślał być doskonałym, promieniejąco cudnym i dobroci pełnym dla jednego chłopczyka. Być może, iż jedynie z niebiańskiej dobroci wiosna przyszła i skupiła cudów tyle w tym jednym miejscu. Więcej niż raz Dick odrywał się od roboty, przystawał z rosnącym podziwem w oczach i głową potrząsał.

— Jak też cudnie! — powiedział. — Mam już lat dwanaście, zacząłem trzynasty: wiele już dni przeżyłem, ale mi się zdaje, że jeszcze w życiu tak cudnego nie widział!

— Cudny dzień! Naprawdę cudny! — dorzuciła Mary i westchnęła z wielkiej radości. — Ręczę, że może to najcudniejszy dzień, jaki dotąd był na świecie.

— Czy nie sądzicie — począł mówić Colin z wolna, starając się mówić gwarą — czy nie sądzicie, że to może dla mnie tak cudnie?

— O mój Boże! — zawołała Mary z zachwytem. — Jak ślicznie po yorkshirsku to powiedziałaś! Pierwsza próba i tak doskonale!

I zapanowało szczęście.

Fotel ustawili pod drzewem śliwkowym, które białe było od kwiecia i pełne pszczołek brzęczenia. Było ono niby baldachim nad tronem królewiczki z bajki. Opodal były czereśnie i jabłonie okryte biało-różowym pękiem — gdzieniegdzie ukazującym kwiat rozkwitnięty. Poprzez ukwiecone gałązki przezielał błękit nieba niby czyjeś cudne, modre oczy.

Mary i Dick wzięli się do roboty, Colin im się przyglądał. Przynosili mu różne rzeczy do oglądania — to rozwijające się pączki, to znów inne, ścisłe jeszcze zwinięte, to gałązki poczynające wypuszczać listeczki, to piórka dzięcioła, które w trawie pogubił, to pustą skorupkę wcześniej wyklutego jajka. Dick obwoził go naokoło ogrodu, zatrzymując się co chwila, by popatrzeć na cuda wyrastające z ziemi, lub zwieszające się z drzew. Było to tak, jakby go zanieśli do czarowanej krainy i pokazywano wszystkie jej skarby i bogactwa.

— Ciekawy jestem, czy zobaczymy gila! — powiedział Colin.

— Trzeba trochę poczekać, to mu się panicz dosyć jeszcze napatrzy — odparł Dick. — Jak się jajka wylęgna, to biedak będzie taki zapracowany, że głowę straci. Zobaczy panicz, jak będzie latał jak opętany tu i tam, i znosił robaki, takie duże jak on sam; a ten hałas, a te piski, gdy je do gniazdka doniesie — tyle dziobków się otworzy, że nie będzie wiedział, komu wpierw dać. Matka mówi, że kiedy patrzy na gila, ile ma do roboty, żeby wszystkie te rozwarłe dziobki nakarmić, to jej się zdaje, że jest wielką damą, która nie ma nic do roboty. Mówi, że się taki biedak pewnie dobrze napoci, choć tam ludzie tego nie widzą.

Tak im się to spodobało, że zaczęli śmiać się serdecznie, aż musieli buzie rękami zakryć, przypomniał sobie bowiem, że nie może ich nikt posłyszeć. Colinowi dawali już od kilku dni lekcje cichego mówienia i szeptania. Tajemniczość ta była mu miła i robił jak umiał



najlepiej, lecz wśród takiego radosnego ożywienia to czasem trudno się nie roześmiać głośniejsz od szeptu.

Każda chwila tego popołudnia obfitowała w nowe niespodzianki, a z każdą godziną słońce stawało się zlocistsze. Fotel ustawiono znów pod baldachimem, Dick usiadł w trawie i wyciągnął był właśnie z kieszeni fujarkę, gdy Colin ujrzał coś, czego poprzednio nie był zauważył.

— To drzewo tam musi być bardzo stare, prawda? — zapytał.

Dick i Mary spojrzeli na drzewo i zapadło krótkie milczenie.

— O tak — odpowiedział potem Dick, a cichy głos jego miał ton rzewny.

Mary patrzyła na drzewo i zamyśliła się,

— Gałęzie są zupełnie szare, nie ma ani jednego listka — ciągnął Colin — bo chyba całkiem uschnięte, prawda?

— Ale za to — mówił Dick — róże tak je osłoniły, tak je obwinęły swymi gałązkami na wszystkie strony, że jak się rozwiną liście, a róże zakwitną, to tego starego drzewa uschniętego wcale widać nie będzie. Już potem nie będzie martwe; będzie najładniejsze z wszystkich.

Mary wciąż patrzyła na drzewo zamyślona.

— Zdaje mi się, że tam musiała się odłamać jedna wielka gałąź — zauważył Colin. — Ciekawy jestem, jak się to stało.

— To już bardzo, bardzo dawno temu — odparł Dick. — Ale, ale! — zawołał z ulgą, trącając lekko Colina. — Niech panicz spojrzy na gila! Jest tu przecie! Przynosi jedzenie samiczce.

Colin nie zdążył się przyjrzeć, dostrzegł tylko jakby cień ptaszka z czerwoną piersią i z żdźbłem w dziobku. Przeleciał przez zielen do swego zacienionego kątku i zniknął z oczu. Colin znów oparł się na poduszkach i śmiał się radośnie.

— Poszedł do niej na herbatę. Może to *five o'clock*<sup>57</sup>. Jedzą podwieczorek, zdaje mi się, że i ja bym zjadł z apetytem.

Byli zatem ocaleni!

— To czarodziej przysłał gila — mówiła później Mary do Dicka. — Wiem na pewno. Oboje bowiem lękali się niepomału<sup>58</sup>, że Colin zacznie dopytywać o drzewo, którego gałąź złamała się dziesięć lat temu, i zagadywali oboje, a Dick głowę tarł zaniepokojony.

— Musimy udawać, że wygląda tak jak inne — powiedział. — Nie możemy mu przecie powiedzieć, jak się złamało; biedny chłopiec! Jeśli jeszcze o nim zacznie kiedy mówić, musimy robić wesołą minę.

— Tak, tak, naturalnie — przyznała Mary.

Lecz czuła jednocześnie, że nie może nakazać sobie wesołości, gdy patrzy na owo drzewo. Rozmyślała teraz i rozmyślała, czy jest jaki cień możliwości w tym, co Dick potem powiedział. Chłopak bowiem tarł swą rudą czuprynę, a wyraz zamyślenia począł się w oczach jego zmieniać na łagodną słodycz.

— Pani Craven była taka śliczna, dobra pani — mówił jakby z wahaniem. — A matka myśli, że może ona nieraz unosi się nad Misselthwaite i patrzy na panicza, tak jak wszystkie matki czynią, gdy je Pan Bóg od małych dzieci do siebie zawoła. Muszą one wracać tu czasami, widzi panienczka. Może ona tu była w ogrodzie i ona nas tu przywiodła, i kazała nam tu pracować, i jego tutaj sprowadzić.

Mary była pewna, że Dick ma na myśli czary. Ona sama ogromnie w czary wierzyła. W głębi duszy była przekonana, że Dick czarował — naturalnie w poczciwy sposób, ale zawsze czarował wszystko naokoło siebie i oto dlatego tak go wszyscy lubili, a zwierzęta wiedziały, że jest ich przyjacielem. Myślała sobie, że to bardzo prawdopodobne, że on swą siłą sprowadził gila w najdrażliwszym momencie, gdy Colin mógł zadać pytanie, na które trudno byłoby dać mu odpowiedź. Czuła, że czar Dicka działał całe popołudnie i czynił z Colina zupełnie innego chłopca. Zdawało się trudne do uwierzenia, by mógł być owym zbzikowanym stworzeniem wrzeszczącym wniebogłose, bijącym i rzucającym poduszkami. Nawet bladeść jego zdawała się zmieniać. Lekki rumieniec, który mu zabarwił twarz,

<sup>57</sup>*five o'clock* (ang.) — dosł. godzina piąta; określenie oznaczające niewielki popołudniowy posiłek towarzyszący picciu herbaty, spożywany tradycyjnie o piątej po południu; podwieczorek.

<sup>58</sup>*niepomału* (daw.) — niemało.

szyję, ręce, gdy pierwszy raz znalazł się w ogrodzie, pozostawił naprawdę ślady po sobie. Wyglądał na dziecko z ciała i krwi, nie zaś z wosku lub kości słoniowej.

Widzieli, jak gil kilka razy przynosił pożywienie samiczce i tak to silnie poddało Colinowi myśl o podwieczorku, że koniecznie go zapragnął spożyć.

— Idź do domu i powiedz któremukolwiek ze służących, by nam w koszyku przyniósł podwieczorek do alei rododendronowej — mówił do Mary. — A potem wy oboje z Dickiem tutaj go przyniesiecie.

Myśl ta się spodobała; wykonanie było łatwe, a gdy rozłożono obrus biały na trawie i podano gorącą herbatę i sucharki oraz grzanecki z masłem, rzucili się na to wszystko z radosną żarłocznością; ptaszki poczęły zatrzymywać się opodal, by sprawdzić, co się to tutaj dzieje, po czym skwapliwie zabierały się do sprzątania resztek. Orzeszek i Łupinka skakały po drzewach z kawałkiem ciasta w pyszczkach, Sadza zaś porwała cały kawałek chleba z masłem, uciekła z nim do kąta i dziobała, i przyglądała mu się, i odwracała na wszystkie strony, i ochryplym głosem robiła uwagi, aż wreszcie zdecydowała się połknąć go od razu.

Dzień poczynał się mieć ku schyłkowi. Złoto promieni słonecznych stawało się coraz czerwieniejsze, pszczołki wróciły do ula, śpiew ptasząt począł milknąć. Dick i Mary siedzieli na trawie, koszyk z podwieczorkiem gotów był do zabrania z powrotem, Colin zaś leżał wsparty na poduszkach, loki miał z czoła odgarnięte, cerę twarzy normalną.

— No, dzisiaj chyba już czas do domu — powiedział — ale wrócę tu jutro i pojutrze, i popojutrze.

— Pragniesz teraz dużo świeżego powietrza, prawda? — mówiła Mary.

— Niczego innego już nie pragnę — odparł. — Widziałem teraz wiosnę i zobaczę lato. Będę patrzył, jak tutaj wszystko się rozwija. Sam tu będę rosnąć i rozwijać się.

— Oj, co to, to prawda! — rzekł Dick. — Chcielibyśmy oboje, żeby tu panicz biegał i kopał jak wszyscy ludzie.

Colin zaczerwienił się straszliwie.

— Biegać! Kopać! Czyż to możliwe? — zawołał.

Dick spojrział na niego z przezorną delikatnością. Ani on, ani Mary nie pytali nigdy, co mu jest w nogi.

— Naturalnie, że możliwe — odpowiedział z przekonaniem. — Pan Bóg dał paniczowi takie same nogi jak innym!

Mary przestraszyła się; uspokoiła ją odpowiedź Colina.

— Co prawda, to mnie nogi nigdy nie bolały — odparł — ale są cienkie i słabe. Drżą mi, więc się boję próbować stanąć.

Tak Mary, jak i Dick odetchnęli z uczuciem ulgi.

— Jak się panicz przestanie bać, to stanie z pewnością — rzekł Dick, uśmiechając się znowu. — A bać przestanie się panicz lada chwila.

— O mnie to mówisz? — rzekł Colin i leżał cicho, jakby nad czymś rozmyślał i dziwował się.

Na chwilę zapanowała cisza. Słońce miało się ku zachodowi. Była to chwila, gdy wszystko po pracy przycicha; a oni istotnie mieli dzień zajęty i podniecenia pełen. Colin wypoczywał z rozkoszą. Nawet zwierzątka przestały biegać i kręcić się i leżały skupione obok nich. Sadza usiadła na niskiej gałęzi, podniosła jedną nogę i senne powieki opuszczała na oczy. Mary sobie pomyślała, że chwilka jeszcze, a zacznie chrapać.

Toteż było nieco przerażające, gdy wśród tej ciszy Colin nagle podniósł głowę i zapytał głosem stłumionym przestrawem:

— Co to za człowiek?

Dick i Mary porwali się na równe nogi.

— Człowiek? — zawołali prędko szeptem.

Colin wskazał na wysoki mur.

— Patrzcie! — szeptał podniecony. — No, patrzcie tam!

Mary i Dick podeszli bliżej, by się przekonać. Ujrzeni zaś Bena Weatherstaffa patrzącego na nich z najwyższą pogardą ze szczytu drabiny po tamtej stronie muru! Począł Mary wygrażać pięścią.

— Zebym był żonaty i miał taką dziewczynę — krzychał — to bym jej porządnie skórę wygarbował!

Wszedł jeszcze o szczebel wyżej, groźnie, jakby powziął był energiczny zamiar zeskoczyć i z bliska potraktować Mary; lecz gdy dziewczynka podeszła bliżej, rozmyślił się widocznie, stanął na najwyższym szczeblu drabiny, wyrażając jej wciąż pięścią.

— Nigdy o pannie dobrego wyobrażenia nie miał! — prawil. — Znieść panny nie mogłem, odkąd mi się pierwszy raz na oczy pokazała. Chude to jak miotła, gęba jak z serwatki, a tylko by się ciągle pytała i wtykała nos, gdzie nie potrzeba. Bo ja wiem, skąd to panna się ze mną tak spoufaliła. To tylko wszystko przez gila...

— Benie Weatherstaff — zawołała Mary, odzyskując całą przytomność umysłu. Stała na ziemi i musiała w górę ku niemu wołać. — Benie Weatherstaff! Gil mi drogę pokazał!

W teje chwili zdawało się, że Ben jednym susem zeskoczy z muru, tak był oburzony.

— A! Ty zła, przewrotna dziewczyno! — krzyczał na całe gardło. — Panna śmie jeszcze na gila zrzucić!? Nie mówię, żeby on szelma nie był, ale znów nie do tego stopnia. Gil drogę pokazał! No, proszę! Gil! Och, ty przewrotne stworzenie! — Naraz wybuchnął z przemagającą ciekawością — Ale jak, u licha, mogła się panna tu dostać?

— Gil mi pokazał drogę — twierdziła uparcie. — Nie wiedział on prawdopodobnie, że to robi, a jednak mi pokazał. Ale przecież nie mogę wam tego opowiadać teraz, skoro mi pięścią wyrażacie.

Lecz Ben nagle, w teje chwili pięść opuścił, otworzył usta i począł zdumiony przyglądać się czemuś, zbliżającemu się do nich przez trawnik.

Na pierwszy dźwięk potoku słów Bena, Colin był tak zdumiony, że usiadł i słuchał, jak zamagnetyzowany<sup>59</sup>. Po krótkiej jednak chwili opamiętał się i rozkazująco skinął na Dicka.

— Zawieź mnie tam natychmiast! — rozkazał. — Podwieź mnie zupełnie blisko i ustaw prosto twarzą w twarz z tym starym!

I to właśnie było przyczyną, dla której Ben Weatherstaff tak szeroko usta ze zdziwienia otworzył. Zbliżyć się począł ku niemu fotel na kółkach, wyłożony przepyszny poduszkami i pledami, a wyglądający na ekwipaż dworski, bowiem wewnątrz siedział rozparty młody radza o majestatycznym wyrazie wielkich, ciemno ocienionych oczu i wyciągał ku staremu cienką, białą rękę ruchem rozkazującym. Fotel zatrzymał się pod samym nosem Bena. Nic dziwnego, że ten usta otworzył.

— Czy wiecie, kto jestem? — spytał radza.

Jak też Ben Weatherstaff patrzył! Stare swe, zmrużone zaczerwienione oczy utkwil w zjawisku, które miał przed sobą, jakby ujrzal ducha. Patrzył, polykał ślinę i słowa nie odrzekł.

— Czy wiecie, kto jestem? — pytał Colin coraz bardziej rozkazująco. — Odpowiedzcie!

Ben Weatherstaff spracowaną, grubą dłonią przetarł oczy, czoło, po czym odparł głosem drżącym:

— Kto panicz jest? — powiedział. — Oj, wiem ci dobrze, wiem, kto, skoro z panicza twarzy matki oczy na mnie patrzą. Pan Bóg chyba wie, jakim sposobem się tu panicz dostał. Aleć to przecie nasz panicz, biedny kaleka.

Colin zapomniał, że w ogólności miał kiedykolwiek plecy. Twarz mu stanęła w pąsach i nagłym ruchem usiadł prosto.

— Nie jestem wcale kaleką! — wykrzyknął wściekły. — Wcale a wcale.

— Nie jest, nie! — wołała Mary, krzycząc z oburzeniem. — Colin nie ma garbu nawet takiego jak główka od szpilki! Przecież patrzałam własnymi oczyma: plecy ma najzdrowsze na świecie!

Ben Weatherstaff znów oczy przetarł i patrzył ciągle, jakby się napatrzeć nie mógł. Drżały mu ręce, drżały wargi, drżał głos. Biedny stary nie wiedział o niczym, powtarzał tylko to, co słyszał od innych.

— To... to panicz nie ma garbu? — wyrzekł ochryple.

— Nie! — wybuchnął Colin.

— I nie jest panicz kulawy? — skrzeczał dalej ochryple stary.

Tego już było nadto! Ta sama moc, która zwykle przyprawiała Colina o „napady”, objawiła się w tej chwili w całkiem nowy sposób. Nigdy dotąd nie był posądzony o ka-

<sup>59</sup>zamagnetyzowany (daw.) — tu: zahipnotyzowany.

lectwo nóg — nawet w szeptach — i proste i szczerze wypowiedziane przekonanie Bena to było więcej, niż znieść mogła krew radży. Złość i obrażona duma kazały mu zapomnieć o wszystkim i dały nieznaną mu przedtem moc i wprost nienaturalną siłę.

— Chodź tutaj! — krzyknął na Dicka i począł zrzucać z nóg pledy i okrycia. — Chodź tutaj! Chodź zaraz!

Dick w sekundę był przy nim. Mary oddychała prędko i blada była jak płótno.

— Będzie mógł stanąć! Będzie mógł stanąć! Będzie mógł, będzie! — bełkotała do siebie wzruszona.

Krótki, dziki wysiłek — pledy zrzucano na ziemię, Dick trzymał Colina za ramię, cienkie nóżki wysunęły się i stanęły na trawie. Chłopczyk stanął prosto — prosto jak strzała, wyglądał dziwnie wysoki, głowę w tył odrzucił, oczy jego ciskały błyskawice.

— Przypatrzcie mi się! — krzyknął na Bena Weatherstaff. — Przypatrzcie się! No, dalej!

— Taki panicz prosty jak ja! — zawołał Dick. — Taki prosty jak wszyscy chłopcy w Yorkshire!

To, co uczynił Ben Weatherstaff, wydało się Mary ponad miarę dziwnym. Sapał, połykał ślinę i naraz lzy poczęły płynąć po jego pomarszczonej twarzy, ręce złożył jak do modlitwy.

— Hej! — wybuchnął. — Jak też to ludzie kłamią! Cienki panicz jak patyczek, a blady jak widmo, ale prościuchny jak trzcina. Wyrośnie panicz na ludzi! Bogu dzięki! Bogu dzięki!

Dick silnie podtrzymywał ramię Colina, lecz chłopiec nie osłabnął. Stawał coraz prościej, coraz pewniej i patrzył Benowi prosto w oczy.

— Gdy nie ma ojca, to ja jestem waszym panem — mówił. — Musicie mnie słuchać. To mój ogród. Żebyście mi się nie ważyli słówka komukolwiek pisnąć! Zlećcie zaraz z tej drabiny i idźcie w Wielką Aleję, a panna Mary przyprowadzi was tutaj. Chcę z wami pomówić. Nie pragnęliśmy was wcale, ale skoroście już tu weszli, to musicie należeć do naszej tajemnicy. Dalej, prędko!

Pomarszczona, stara, biedna twarz Bena wciąż mokra była od łez. Zdawało się, że oczu oderwać nie może od szczupłej, wyprostowanej postaci Colina stojącego z dumnie podniesionym czołem.

— Moje dziecko! — wyszeptał. — Moje dziecko drogie! — Potem naraz opamiętując się, rękę do czapki przyłożył, wyrzekł: — Do usług panicza, do usług! — i posłusznie zniknął z oczu, schodząc z drabiny.

## ROZDZIAŁ XXII. O ZACHODZIE SŁOŃCA

Gdy głowa starego zniknęła za murem, Colin zwrócił się do Mary:

— Idź na jego spotkanie — powiedział; a Mary pospieszyła poprzez trawnik do ukrytych drzwi.

Dick przyglądał się bacznie chłopcu. Miał wypieki na twarzy, wyglądał na zdumionego, lecz nie znał po nim było osłabienia.

— Mogę stać — wyrzekł z głową podniesioną i rodzajem dumy w głosie.

— Przecież paniczowi mówiłem, że będzie mógł stać i chodzić, jak się przestanie bać — odrzekł Dick. — No i przestał się przecież bać.

— Tak jest, przestałem — przyznał Colin.

Nagle przypomniał sobie coś, o czym nieraz wspominała Mary.

— Czy ty czarujesz? — spytał ostro.

Usta Dicka rozszerzyły się w uśmiechu.

— Panicz sam czaruje — odparł. — To takie same czary jak owe tu, które każą tym oto pod ziemią pracować — i wskazał butem na klomb krokusów.

Colin spojrział na nie.

— O, tak — wolno wyrzekł. — Tak! Nie ma chyba większych nad to czarów na świecie.

Wyprostował się mocniej jeszcze.

Czary, Siła, Natura

— Poczekaj, pójdę do tego drzewa — rzekł, wskazując na oddaloną o kilka kroków lipę. — Chcę stać, gdy tu Ben Weatherstaff wejdzie. Mogę się w razie potrzeby oprzeć o drzewo. Jak będę chciał usiąść, to usiądę, ale mi wprzód przynies pleć z fotela.

Poszedł do drzewa i dziwnie pewnie kroczył, jakkolwiek Dick podtrzymywał jego ramię. Gdy stanął pod lipą, nie było wcale widoczne, że oparty był o jej pień, a trzymał się tak prosto, że wydawał się nad wiek swój wysoki.

Skoro Ben Weatherstaff drzwi ogrodu przekroczył, ujrzał go stojącego i usłyszał, jak Mary mruzczała coś pod nosem.

— Co panienka mówi? — spytał trochę szorstko, nie chciał bowiem, by cośkolwiek bądź odwracało uwagę jego od wysokiej, smukłej postaci chłopca o dumnej twarzyczce.

Lecz dziewczynka nie odpowiedziała. A mówiła do siebie tak:

— Możesz stać! Możesz stać! Mówiłam ci, że możesz stać! I możesz stać! Możesz! Możesz!

Mówiła to niby do Colina, chciała bowiem i ona czynić z nim czary i utrzymać go na nogach tak doskonale wyglądającego. Nie mogła po prostu znieść tej myśli, by mógł zasłabnąć w oczach Bena. Lecz nie zasłabł. Naraz opanowało ją uczucie, że chłopczyk mimo swego wycieńczenia wygląda pięknie. On zaś wzrok skierował na Bena Weatherstaff na swój zabawny, rozkazujący sposób.

— Spójrzcie na mnie! — rozkazał. — Przyjrzyjcie mi się dobrze! Czy jestem garbaty? Czy nogi mam bezwładne?

Ben Weatherstaff nie opanował jeszcze swego wzruszenia, lecz uspokoił się na tyle, że odpowiedział jak zwykle:

— Mowy nie ma o garbie! — powiedział. — Ani garbu, ani nic podobnego! Co panicz z sobą robił, że krył się przed oczami ludzkimi i pozwalał na to, by gadano, że panicz kaleka i niespełna rozumu?

— Niespełna rozumu! — zawołał Colin rozniewany. — Któż to myśli?

— Cała moc półgłówków — odrzekł Ben. — Świat jest pełen osłów, które lżą, jak potrafią. Ale czemu się to u licha panicz tak zamykał?

— Bo wszyscy przypuszczali, że umrę — krótko rzucił Colin. — Ale ja nie umrę!

Powiedział zaś to tak stanowczo, że Ben Weatherstaff począł przyglądać mu się od stóp do głowy, od głowy do stóp.

— Panicz miałby umierać! — zawołał wesoło. — Głupstwo nad głupstwami! Za wiele na to w paniczu energii i życia. Jakem zobaczył, jak panicz śpiesznie nogi z wózka wyciągał, tom sobie zaraz powiedział, że wszystko, co mówili, było głupim wymysłem. A teraz niech sobie panicz usiądzie na desce, odpocznie trochę i wyda mi swoje rozkazy.

W jego całym sposobie bycia czuć się dawało coś jakby szorstka trochę czułość i rozczulające zrozumienie stanu chłopca. Mary opowiedziała mu, ile tylko zdążyła w drodze swej z Wielkiej Alei. Najważniejszą rzeczą, jaką powiedziała i o której miał zapamiętać, było to, że Colin jest zupełnie zdrow — zupełnie zdrow. Ogród to działał. Nie wolno przy nim mówić o garbach i śmierci.

Radza przystał na zajęcie miejsca na rozłożonym pod drzewem pledzie.

— Jaką robotę wykonujecie w ogrodzie? — dopytywał.

— Wszystko robię, co mi każą — odparł Ben Weatherstaff. — Jestem na łaskawym chlebie, bo Ona mnie lubiła.

— Jaka „Ona”? — spytał Colin.

— Matka panicza — odparł Ben.

— Moja mamusia? — rzekł Colin, rozglądając się wokoło siebie w skupieniu. — To był jej ogród, wszak prawda?

— Jej ogród, jej! — i Ben Weatherstaff też się rozglądać począł. — Bardzo go kochała.

— Teraz ten ogród jest mój. Ja go też kocham. Co dzień tu przychodzić będę — oświadczył Colin. — Ale to ma pozostać tajemnicą. Rozkazuję, by nikt nie wiedział, że tutaj przychodzimy. Dick i moja kuzynka pracowali tu i ożywili go. Czasami poślę po was, byście nam pomogli, ale musicie koniecznie przyjść tak, by was nikt nie widział.

Twarz Bena Weatherstaffa wykrzywiła się zabawnym uśmiechem.

— Przychodziłem tu przedtem i też mnie nikt nie widział — powiedział.

— Co takiego? — wykrzyknął Colin. — Kiedyż to było?

— Ostatni raz — mówił, trąc brodę i rozglądając się — byłem tu dwa lata temu.

— Ależ od dziesięciu lat nikt tu nie wchodził! — wołał Colin. — Przecież nie było drzwi!

— Nie jestem byle kto — sucho mówił Ben. — I wcale przez drzwi nie wchodziłem. Przechodziłem przez mur. Ostatnie dwa lata reumatyzm mi wleźć nie dał.

— Aha! Wchodziliście i przycinaliście gałązki! — wołał Dick. — Nie mogłem zgadnąć, jak i kto to mógł zrobić.

— Pani tak go lubiła, tak lubiła! — wolno mówił Ben Weatherstaff. — A taka była młoda, taka śliczna! Raz do mnie mówi tak: „Benie — mówi i śmieje się — jeśli bym zachorowała albo umarła, to musisz mieć pieczę o moich różach”. Lecz gdy odeszła, to był rozkaz, żeby tu nikt nie wchodził. Ale m przychodził i przychodzi — dodał z uporem — przychodziłem przez mur, dopóki mnie reumatyzm nie wstrzymał, i co rok trochę co najpilniejsze roboty porobiłem. Jej rozkaz dawniej mi był wydany.

— I róże byłyby pomarniały, żebyście tu nie byli pracowali<sup>60</sup> — rzekł Dick. — Pewny tego jestem.

— Cieszę się, żeście to robili, Weatherstaff — odezwał się Colin. — Potraficie naszą tajemnicę zachować?

— Oj, pewno, że potrafię, *sir* — odparł Ben. — A dla starego dziada z reumatyzmami to zawsze łatwiej będzie wejść przez drzwi.

Mary podniosła z trawy leżącą tam swą łopatkę. Colin rękę po nią wyciągnął. Twarzyczka jego nabrała dziwnego wyrazu — zaczął poruszać ziemię. Cienkie jego ręce nie miały siły, lecz w tej chwili, gdy na niego patrzyli — Mary z ogromnym przejęciem i wzruszeniem — utkwiał koniec łopaty w ziemi i kilka razy ją odwrócił.

— Możesz kopać! Możesz kopać! — mówiła Mary do siebie. — Mówię ci, że możesz kopać!

Okrągłe oczy Dicka pełne były zaciekawienia, lecz nic nie mówił. Ben Weatherstaff przyglądał się z zajęciem.

Colin kopał wytrwale. Po skopaniu kawałka ziemi odezwał się wesoło do Dicka najlepszym swym yorkshirskim akcentem:

— Powiedziałeś też, że byś chciał, bym tu chodził jak wszyscy ludzie, i że byś chciał, bym kopał. Myślałem, że tak mówisz, by mi przyjemność zrobić. Tymczasem to pierwszy dzień dopiero, a już chodziłem i oto teraz kopię!

Ben Weatherstaff znów usta otworzył, lecz wreszcie uśmiechnął się.

— Ołaboga! — zawołał. — Sprytu ma panicz dosyć, jak widzę. Pewno, że panicz to prawdziwie nasz, tak mówi ładnie. A i kopie panicz niezgorzej. Chciałby panicz co zasadzić? Mogę przynieść różę w doniczce.

— Dobrze, przynieście! — radośnie zawołał Colin, kopiąc zawzięcie. — Tylko prędko!

I doprawdy prędko wszystko poszło. Ben Weatherstaff pobiegł, zapominając o reumatyzmie. Dick wziął swoją łopatkę i pogłębił, i rozszerzył otwór, czego zrobić nie mógł nieuczony ogrodniczek o białych, cienkich, delikatnych rączkach. Mary co tchu pobiegła po konewkę z wodą. Colin przerzucił i poruszał świeżo wykopaną ziemię. Patrzył w niebo, zaczerwieniony od nowej, nieznaney sobie, choć łatwej roboty.

— Chciałbym zasadzić, zanim słońce całkiem zajdzie — powiedział.

Mary pomyślała, że pewno słońce umyślnie zajdzie parę minut później. Ben Weatherstaff przyniósł z oranżerii różę w doniczce. Przykuszytykał przez trawnik, jak umiał najprędzej. I jego poczęło to wszystko podniecać. Przyklęknął przy wykopanym otworze i wyjął różę z doniczki.

— Proszę panicza — rzekł, wręczając ją Colinowi. — Sam niech ją paniczyk w ziemię wsadzi, tak samo jak czyni król, gdy w nieznanym sobie miejscu pierwszy raz przybywa.

Drobne, białe rączki drżały trochę, a rumieniec silniejszy okrył twarzyczkę Colina, gdy różę trzymał w dołku, podczas gdy stary Ben ziemią ją obsypywał i utwierdzał. Dołek był wreszcie wypełniony, ziemia ubita! Mary patrzyła oparta na kolanach i dłoniach. Sadza zleciała z drzewa, laziła przy nich i patrzyła, co robią. Orzeszek i Łupinka opowiadały sobie uwagi, przyglądając się z drzewa wiśniowego.

<sup>60</sup>nie byli pracowali — forma daw. czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą od tej wyrażanej zwykłym czasem przeszłym.

— Już zasadzona! — rzekł wreszcie Colin. — A słońce dopiero za mur się chowa. Dicku, pomóż mi wstać. Chcę stać, gdy będzie całkiem zachodzić. To też część czarów.

Dick mu pomógł, a czary czy cokolwiek innego — taką mu dały moc, że gdy się słońce chowało za horyzont i gdy się z nim kończył ów dziwnie cudny dla nich dzień, Colin stał prosto, szczęśliwy, roześmiany!

## ROZDZIAŁ XXIII. CZARY

Doktor Craven od dość dawna już czekał, gdy dzieci wróciły do domu. Zaczynał się już zastanawiać, czy nie byłoby rozsądniej wysłać kogo dla zbadania, gdzie się znajdują. Gdy Colina wniesiono z powrotem do pokoju, biedny doktor począł mu się bacznie przyglądać.

— Nie powinienesz być zostawać tak długo w ogrodzie — powiedział. — Nie trzeba się przemęczać.

— Ani trochę nie czuję się zmęczony — odparł Colin. — Doskonale mi to wyjście zrobiło. Jutro wyjdę znów rano i po obiedzie.

— Nie wiem, czy mogę ci na to pozwolić — rzekł znów doktor Craven. — Lękam się, że będzie to bardzo nierozsądne.

— Byłoby bardzo nierozsądnie chcieć mnie zatrzymać w domu — powiedział Colin zupełnie poważnie. — Tak czy owak: pójdę.

Nawet Mary zauważyła, że jedną z głównych właściwości Colina było to, że zupełnie sprawy sobie nie zdawał, jak głupi i nie na miejscu był ten jego ton rozkazujący względem otoczenia. Żył dotąd jakby na wyspie odludnej, a ponieważ na niej panował niepodzielnie, przeto wyrobił sobie własny sposób postępowania — nie mając się zresztą z kim porównać. Mary była ogromnie do niego postępowaniem swym podobna, a odkąd przybyła do Misselthwaite poczęła stopniowo przekonywać się, że manieri jej nie są wcale podobne do ogólnie w świecie przyjętych. Zrobiwszy owo spostrzeżenie, uważała je za dość ważne, by je oznajmić Colinowi. Skoro zatem doktor Craven wyszedł, usiadła i poczęła się chłopcu przyglądać. Chciała, żeby się spytał, dlaczego na niego patrzy, i dopięła celu.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? — spytał.

— Bo sobie tak myślę, że jednak mnie bardzo żał doktora Cravena.

— Mnie również żał — spokojnie, lecz z widocznym zadowoleniem odparł Colin. — Teraz, jak będę żył, musi biedak skwitować<sup>61</sup> z odziedziczenia Misselthwaite.

— No tak, dlatego też mi go żał — odparła Mary — ale teraz to myślałam sobie, że to dla niego musiało być okropnie męczące być przez dziesięć lat uprzejmym dla chłopca, który był zawsze grubiański. Ja bym nigdy nie potrafiła tego dokazać.

— Uważasz, że jestem grubiański? — zapytał Colin zupełnie niewzruszony.

— Gdybyś był jego synem, a on takim tatusiem, co to lubi bić — odparła — to by cię porządnie trzepał.

— Ależ mu nie było wolno — rzekł Colin.

— Nie, nie było mu wolno — odpowiedziała Mary, rozpatrując tę sprawę bez uprzedzeń. — Nikomu nie było wolno robić tego, czegoś nie chciał, bo niby miałeś umierać i inne jeszcze głupstwa... Takiś był biedny!

— Ale teraz wcale nie będę biedny — oświadczył Colin z uporem. — I nie chcę, by ludzie tak o mnie myśleli. Przecież dziś popołudniu stałem na własnych nogach.

— I to ta własna wola we wszystkim zrobiła z ciebie takie dziwadło — ciągnęła Mary, głośno myśląc.

Colin odwrócił się, brwi zmarszczył.

— Uważasz, że dziwadło? — spytał.

— Tak — rzekła Mary — straszne. Ale nie powinienesz się gniewać — dodała spokojnie — bo wszakże i ja jestem dziwadło i Ben Weatherstaff. Ale nie jestem już nim tak, jak byłam, zanim zaczęłam lubić ludzi i zanim odkryłam ogród.

— Nie chcę być dziwakiem — rzekł Colin. — I nie będę — dodał, marszcząc czoło z silnym postanowieniem.

Był to chłopiec bardzo dumny. Chwilkę leżał cicho, myśląc, po czym Mary dostrzegła cudny uśmiech z wolna rozjaśniający się i przemieniający mu zupełnie twarzyczkę.

— Przeszanę być dziwakiem, jeśli co dzień chodzić poczną do ogrodu — mówił. —

Czary, Natura

<sup>61</sup>skwitować — tu: zrezygnować.

Tam są czary, wiesz, takie dobre czary. Pewien jestem, że są.

— Ja także pewna jestem — odparła Mary.

— Jeżeli to nawet nie są prawdziwe czary, to może nam się zdawać, że są. W każdym razie *Coś* tam jest, jest *Coś*.

— Są czary — odrzekła Mary — ale nie czarne, tylko białe jak śnieg.

Nazywali to zawsze czarami i istotnie czarami zdawać się mogły miesiące następne — owe zadziwiająco cudne, promienne, pogodne miesiące. Mój Boże! Ileż to rzeczy cudnych w ogrodzie tym się zdarzyło! Jeśliście nigdy ogrodu nie posiadali, to zrozumieć nie zdołacie; jeśliście zaś mieli ogród, to zrozumiecie, że potrzeba by było grubym tomem objąć to wszystko, co się tam działo. Najpierw zdawało się, że nie będzie końca kiełkowaniu i ukazywaniu się coraz to nowych roślinek w ziemi, w trawie, w klombach, a nawet w zagłębieniach muru. Potem owe zielone roślinki poczęły okrywać się pączkami, pączki poczęły się rozwijać i ukazywać kolory — wszystkie odcienie błękitu, wszystkie odcienie purpury, karmazynu, złota i fioletu. W owych dniach szczęśliwych sadzono troskliwie kwiaty w każdy kątek, każde miejsce wolne. Ben Weatherstaff przyglądał się; a sam spomiędzy cegieł w murze wydrapywał wapno i robił zagłębienia ziemią wypełnione, w które sadził cudne pnącze kwitnące. Irysy i lilie białe snopami można było zbierać, zaś zielone altany barwinku napełniły się całą armią białych, niebieskich, złotych ostróżek, dzwoneczków, mieczyków.

— Jak je też pani kochała! — mówił Ben Weatherstaff. — Lubiała wszystko, co ku niebu spoglądało. I ziemię pani kochała, owszem; kochała, ale mówiła, że to niebo błękitne takie się zdaje zawsze radosne.

Nasionka posiane przez Dicka i Mary rosły, jakby różdżką czarodziejską dotknięte. Jedwabiste maki wszystkich kolorów pochylały się setkami przy powiewie wiatru, kwiaty, które od lat już rosły w tym ogrodzie i niejako dziwić się zdawały, skąd się wzięli ci nowi ich opiekunowie. A róże, róże! Z dnia na dzień, z godziny na godzinę ożywiały się, wyrastały z trawy, owijały się około pni, zwieszały z gałęzi drzew, pięły po murach i rozsypywały po nich kaskadę girland. Jasne świeże listki i pączki — pączki drobne na razie, lecz z wolna coraz większe, pokąd nie rozwinęły się w kielichy pełne woni, która, przelewając się przez brzegi, napełniała sobą ogród cały, przesycała powietrze.

Colin obserwował wszystko, przyglądając się każdej zaszłej zmianie. Co rano przywozili go tutaj i o ile nie padało, spędzał w ogrodzie dnie całe. Lubił nawet dnie pochmurne. Pragnął leżeć na trawie i przyglądać się, „jak wszystko rośnie” — mawiał. Dodawał przy tym, że jak się umie bacznie przyglądać, to dostrzec można, jak się pączki rozwijają. Można było również zaznajomić się z całym światkiem pracowitych owadów, biegających tu i tam po różnych, nieznanym ścieżkach, noszących często małe żdźbła trawy, pierza lub pożywienia lub wdrapujących się na trawy, jakby to były drzewa, skąd wzrokiem objąć można, co się dzieje w okolicy. Pewnego razu cały ranek zajęła Colinowi obserwacja kreta budującego sobie na końcu ganku swego podziemnego szaniec uzbrojonymi w długie pazurki łapkami, tak podobnymi do rąk elfów. Obyczaje mrówek, chrząszczy, pszczoł, żab, ptaków, roślin, dawały mu do badania świat całkiem nowy. A gdy Dick odkrył mu i dodał obyczaje lisów, wydr, łasic, wiewiórek, pstrągów, szczurów wodnych, borsuków — nie było końca tematom do rozmów i rozmyślań.

A to jeszcze ani połowa czarów nie była. Ów fakt, że istotnie stanął na własnych nogach, dał Colinowi pole do straszego napięcia umysłu, a gdy Mary wyjawiała mu, jak go zażegnowała, jak czary nań również rzucała — podniecił się i bardzo ją pochwalił. Wciąż o tym mówił.

— Naturalnie, że w świecie musi być mnóstwo czarów — rzekł z powagą dnia jednego — ale ludzie nie wiedzą, jak one wyglądają i jak je czynić. Być może, iż trzeba zacząć od tego, by wmawiać, że stanie się coś dobrego, dopóki się to naprawdę nie stanie. Muszę spróbować i robić doświadczenia.

Dnia następnego, gdy poszli do tajemniczego ogrodu, posłał natychmiast po Bena Weatherstaffa. Stary ogrodnik przyszedł, jak mógł najprędzej i ujrzał radzę stojącego pod drzewem i wyglądającego ślicznie z uśmiechem na ustach.

Czary, Natura, Siła



— Dzień dobry, Benie Weatherstaff! — powiedział. — Chciałbym, żebyście z panną Mary i Dickiem wszyscy stanęli tu rzędem, bowiem chcę wam powiedzieć coś bardzo ważnego.

— Wedle rozkazu, *sir!* — odrzekł Ben, dotykając czoła. (Jedną z długo ukrywanych zalet Bena Weatherstaffa było to, iż jako chłopiec służył kiedyś na okręcie i odbywał podróże. Umiał więc odpowiadać jak żeglarze).

— Chciałbym popробować naukowego doświadczenia — tłumaczył tymczasem randa. — Gdy dorosnę, będę robił wielkie naukowe odkrycia, teraz zaś rozpocznę tym doświadczeniem.

— Wedle rozkazu, *sir!* — spieszenie rzekł Ben Weatherstaff, choć dopiero pierwszy raz w życiu słyżał o doświadczeniach naukowych.

Mary również słyżała o nich po raz pierwszy, niemniej jednak poczynała nabierać pewności, że choć Colin był dziwak, to jednak czytał on wiele ksiązek i był chłopcem umiejącym przekonywać. Gdy podniósł głowę i utkwil w kogo swe dziwne, wielkie oczy, natenczas miało się uczucie, że, czy się chce czy nie chce, wierzyć mu trzeba, jakkolwiek miał dopiero lat dziesięć, na jedenasty. W tej zaś chwili był bardziej przekonywujący niż kiedykolwiek, bowiem nagle uczuł się przejęty tym, że ma wygłosić mowę jak dorosły człowiek.

— Owe wielkie naukowe odkrycia, które przedsięwzmem — mówił — tyczyć się będą czarów. Czary to potężna rzecz i mało kto o nich coś wie z wyjątkiem kilku ludzi w starych ksiązkach... i Mary, która wie to i owo, ponieważ urodziła się w Indiach, gdzie są fakirzy. Myślę, że Dick zna czary, choć może nie wie o tym, że je zna. Czaruje zwierzęta i ludzi. Nie byłbym mu nigdy pozwolił przyjść do siebie i spojrzeć na się, gdyby nie był czarodziejem zwierząt, co znaczy czarodziejem chłopców, bo chłopiec to zwierzątko. Jestem przekonany, że czary są we wszystkim, tylko ludzie nie mają dość zmysłu, żeby je pochwycić i zmusić do wykonywania różnych rzeczy dla nas, jak to czyni elektryczność, konie i para.

Brzmiało to tak imponująco, że Ben Weatherstaff był bardzo wzruszony i nie umiał panować nad sobą.

— Wedle rozkazu, *sir!* — przemówił i prostował się coraz więcej.

— Gdy Mary odnalazła ten ogród, był on całkiem martwy — ciągnął dalej mówca. — Potem coś zaczęło rośliny z gruntu wypychać i czynić coś z niczego. Jednego dnia nie było nic, zaś nazajutrz już coś było. Przedtem nie obserwowałem niczego i zaciekawilem się. Ludzie nauki są zawsze ciekawi, a ja będę człowiekiem nauki. Ciągle sobie mówiłem: „Co to jest? Co to jest?”. To jest coś! Nie może być nic! Nie wiem, jak się to coś nazywa, więc nazywam to czarami. Nie widziałem nigdy wschodu słońca, lecz widziała go Mary i Dick, a z tego, co mi opowiadali, pewny jestem, że to też czary. Coś pcha je i ciągnie. Czasami, odkąd przychodzę do ogrodu, spoglądałem przez gałęzie w niebo i miałem dziwne uczucie szczęścia, jakby w piersiach coś mnie pchało, siłę dawało i kazało prędkiej oddychać. Czary zawsze pchają, ciągną i czynią coś z niczego. Wszystko powstaje z czarów, listki i drzewa, kwiaty i ptaki, borsuki i lisy, i wiewiórki i ludzie. Zatem ta siła musi znajdować się wokoło nas. I w tym ogrodzie, i na każdym miejscu. Czary w tym ogrodzie sprawiły, że stanąłem i sprawią to, że będę żył i wyrosnę na człowieka. A teraz chcę zrobić doświadczenie naukowe: chcę poprobować zmusić te czary do wstąpienia we mnie, do dania mi siły, do uczynienia mnie silnym. Nie wiem, jak się do tego zabrać, ale przypuszczam, że jeśli bez ustanku będę o nich myślał i przywoływał je, to może przyjdą do mnie. Może to pierwszy, dziecinny sposób przywoływania ich. Kiedyś wtenczas pierwszy raz chciałem spróbować stanąć, Mary wciąż do siebie mówiła, jak tylko mogła najprędkiej: „Możesz stanąć, możesz stanąć!”, i stanąłem. Sam wprawdzie w tej samej chwili chciałem poprobować moich sił, lecz jej czary mi pomogły... i Dicka także. Teraz każdego wieczoru i rana każdego, w każdej chwili dnia, jak tylko sobie przypomnę, będę wołał: „Czary są we mnie! Czary mnie uzdrawiają! Będę tak silny jak Dick! Będę tak silny jak Dick!”. I wy wszyscy musicie robić to samo. Oto moje doświadczenie. Czy pomożecie nam, Benie Weatherstaff?

— Do usług, *sir!* — rzekł Ben Weatherstaff. — Do usług!

— Jeśli codziennie, wytrwale robić to będziemy, tak regularnie jak żołnierze swoje ćwiczenia, natenczas zobaczymy, co się stanie i przekonamy się, czy doświadczenie się udało. Wszystkiego uczymy się przecież w ten sposób, że powtarzamy, powtarzamy, do-

póki sobie dobrze w pamięć nie wbijemy, i myślę, że to samo będzie z czarami. Jeśli je wciąż przywoływać do siebie będziemy na pomoc, to w końcu staną się one cząstką nas i dawać nam będą możliwość wykonywania wielu rzeczy.

— Razu jednego słyszałam w Indiach, jak pewien oficer opowiadał mamusi, że fakirzy po tysiąc razy powtarzają te same wyrazy — wtrąciła Mary.

— Ja też słyszałam, jak żona Dżema Fettleworth powtarzała tysiące razy to samo, nazywając go „obrzydliwym pijaczną” — dodał cierpko Ben Weatherstaff. — Zawsze tam ci coś z tego wyniknąć musi. Więc też żonę wytlukł na kwaśne jabłko, a sam poszedł pod Niebieskiego Lwa i spił się jak jaki lord.

Colin brwi zmarszczył i kilka chwil rozmyślał. Potem uśmiechnął się i rzekł:

— Zatem widzicie, że coś z tego wyniknąć musi. Tylko ta kobieta źle używała czarów, tak że ją mąż ostatecznie wybił. Gdyby była użyła czarów dobrych i powtarzała mu coś ładnego, to może nie byłby się upił jak lord, a może natomiast byłby jej kupił nowy czepek.

Ben Weatherstaff roześmiał się, a w małych jego oczach malowało się uwielbienie.

— Z panicza zarówno rozumny chłopiec, jak i prosty i ze zdrowymi nogami — powiedział. — Jak na przyszły raz zobaczę Bessy Fettleworth, to jej napomknę coś o tym, co czary mogą dla niej uczynić. Byłaby okropnie kontenta, żeby te „doświadczone nauki” dobrze im zrobiły.

Dick stał, przysłuchując się mowie Colina, a oczy błyszczały mu z podziwu i radości. Orzeszek i Łupinka siedziały mu na ramieniu, na rękę zaś piastował białego królika z długimi uszami i głaskał go, głaskał, podczas gdy królik uszy kładł po sobie i przeciągał się zadowolony.

— Czy sądzisz, że doświadczenie się uda? — zapytał go Colin, chcąc wiedzieć, co Dick o tym myśli. Nieraz rad by był wiedzieć, co myśli, gdy patrzył na niego lub na swoje „stworzonka” z tym swoim uśmiechem promiennym.

Teraz też się uśmiechnął, a uśmiech jego był jaśniejszy jeszcze niż zwykle.

— Ojoj! Naturalnie, że się uda! — odpowiedział. — Czary będą działać tak samo jak nasionka, kiedy je słońce ogrzewa. Działać będą na pewno. Czy mamy zaraz zacząć?

Colin był rozpromieniony. Mary również. Pod wpływem wspomnień fakirów i derwiszów z ilustrowanych książek Colin poddał myśl, by wszyscy zasiedli po turecku pod drzewem, tworzącym nad nimi baldachim.

— Tak będzie, jakbyśmy zasiedli w jakiejś niby świątyni — rzekł Colin. — Jestem trochę zmęczony i chciałbym usiąść.

— No, no! Paniczu! — rzekł Dick. — Nie trzeba zaczynać od mówienia, że się jest zmęczonym, bo czary uciekną!

Colin odwrócił się i spojrzał w jego niewinne, okrągłe oczy.

— Tak, to prawda — wyrzekł z namysłem. — Muszę wciąż o czarach pamiętać.

Gdy zasiedli kołem pod drzewem, wyglądali doprawdy tajemniczo i uroczyście. Ben Weatherstaff miał uczucie, że go gwałtem wprowadzili na zgromadzenie pobożnych, na modlitwę. Zwykle z przekonania był przeciwnym należeniu do takich zgromadzeń, ale ponieważ tym razem była to sprawa młodego radży, zatem nie oponował i, co więcej, pochlebiało mu to niejako, że go do współudziału zawezwano. Mary była w uroczystej ekstazie. Dick trzymał królika na rękę i może dawał jakieś znaki czarodziejskie, których nikt nie dostrzegł, bowiem gdy usiadł po turecku jak inni, kawka, lisek, wiewiórki i jagnię poczęły się z wolna przybliżać i wchodzić do koła, zajmując każde z osobna miejsce wedle własnego wyboru.

— *Stworzenia* przyszły — rzekł Colin poważnie. — Chcą nam pomóc.

Mary zauważyła, że Colin naprawdę wyglądał prześlicznie. Głowę miał podniesioną dumnie, jakby się czuł rodzajem kapłana, a dziwne jego oczy miały w sobie jakieś blaski tajemnicze. Promienie słoneczne padały na niego poprzez konary drzewa.

— Teraz zaczynamy — powiedział. — Mary, czy będziemy się kiwać w tył i naprzód, jakbyśmy byli derwiszami?

— Ja się nie mogę kiwać na wszystkie strony, bo mi reumatyzm wlaź w kości — rzekł Ben Weatherstaff.

— Czary was wyleczą — rzekł Colin tonem Wielkiego Kapłana — ale nie będziemy się kiwali, dopóki nie będzie wam dobrze. Tymczasem będziemy śpiewali.

— Ja tam nie umiem śpiewać — rzekł Ben Weatherstaff trochę zły. — Jedyńy raz, com próbował śpiewać w kościele, to mnie z chóru wyrzucili.

Nikt się nie rozśmiał. Wszyscy zanadto byli poważnie nastroszeni. Na twarzyczce Colina nawet najłżejszy cień się nie pojawił. Myślał tylko o czarach.

— Więc sam będę śpiewał — powiedział. I poczał nucić, wyglądając nie jak chłopiec z krwi i kości, lecz jak widmo. „Słońce cudne, słońce wiosenne świeci. To są czary. Rozkwitają kwiaty, rozchylają się kielichy róż, korzonki ich w ziemi pracują — to czary, żyć — to czary; być silnym — czary. Czary są we mnie — we mnie, ze mną są czary. Są ze mną, są we mnie. Są one w nas wszystkich. Czary są w plecach i chorych kościach Bena Weatherstaff. Czary! Czary! Przybądźcie, pomóżcie!”

Powtarzał to wiele, wiele razy — nie tysiã, ale bardzo wiele razy. Mary słuchała jak zahipnotyzowana. Wydało jej się to równocześnie dziwne i cudne i byłaby chciała, by to bez końca powtarzał. Bena Weatherstaff poczęła ogarniać dziwna, słodka senność. Brzęczenie pszczół wśród kwiecia mieszało się z monotoniã dziecinnego głosiku i usposabiało do snu. Dick siedział z uspionym królikiem na łonie, a jedną rękę oparł na grzbiecie jagniątka. Sadza odepchnęła wiewiórkę i przytuliła się do jego ramienia, szare powieki opadały jej na senne oczy. Na koniec Colin ucichł.

— Teraz obejść ogród dokoła — oświadczył po chwili.

Ben Weatherstaff kiwał się w najlepsze i obudził się nagle.

— Spaliście — rzekł Colin.

— Ani mi się śniło — mamrotał Ben. — Kazanie było wcale dobre, ale muszę wyjść przed ofiarą.

Nie obudził się jeszcze na dobre.

— Przecież nie jesteście w kościele — rzekł Colin.

— Ja? W kościele? Nie-e-e — rzekł Ben, prostując się. — Kto mówił, że jestem w kościele. Wszystkom słyszał. Panicz mówił, że czary są w moich krzyżach. Doktor to nazywa reumatyzmem.

Radza skinął ręką.

— To były niedobre czary — rzekł do Bena. — Będzie wam lepiej. A teraz pozwalam wam odejść do waszego zajęcia. Lecz wróćcie tu jutro.

— Chciałbym widzieć jeszcze, jak panicz obchodzić będzie ogród — mruczał stary.

Nie mruczał ze złości, ale mruczał. W istocie zaś, będąc starym, zatwardziałym uparciuchem i nie wierząc zbytnio w owe „czary”, postanowił sobie, o ile by go stąd wyrzucili, wejść na drabinę i patrzeć przez mur, tak, by w razie, gdyby się Colin przewrócił, mógł się prędko cofnąć.

Radza jednak zgodził się na to, by pozostał, i procesja ruszyła z miejsca. Wyglądali doprawdy jak procesja. Colin szedł na czele z Dickiem i Mary po obu stronach. W tyle kroczył Ben Weatherstaff, za nim „stworzenia”, jagnię i lisek blisko Dicka, Sadza zaś z powagą osoby czującej swą godność.

Była to procesja posuwająca się naprzód wolno, lecz z godnością. Co kilkanaście kroków przystawali, by odpocząć. Colin wspierał się na ramieniu Dicka, Ben zaś w cichości ducha pilnie baczył, by mu się co nie stało. Lecz chłopczyk co pewien czas zdejmował rękę z ramienia swego przewodnika i szedł kilka kroków o własnych siłach. Cały czas głowę miał podniesioną i wydawał się bardzo wysoki.

— Czary są we mnie! — wciąż powtarzał. — Czary mi dają siłę! Czuję je w sobie, czuję!

Zdawać by się mogło rzeczywiście, że go coś podnosiło, podtrzymywało. Przysiadł na ławeczkach w altanach, kilka razy odpoczywał na trawie, kilka zaś razy zatrzymywał się jeno na ścieżkach i wspierał na Dicku, lecz nie chciał ustąpić, póki nie obszedł dokoła ogrodu. Gdy pod baldachim swój powrócił, twarz miał zaróżowioną, minę tryumfującą.

— Dopiãłem swego! Czary działały! — wołał radośnie. — To moje pierwsze naukowe odkrycie.

— Co doktor Craven na to powie? — rzekła uszczęśliwiona Mary.

— Nic nie powie — odparł Colin — bo nic mówić nie trzeba. To będzie największą tajemnicą z tego wszystkiego. Nikt nic nie będzie wiedział, dopóki o tyle się nie wzmocnię, że będę mógł chodzić i biegać. Co dzień w moim fotelu mnie będziecie przywozić i odwozić. Nie chcę, żeby sobie szepetano i dopytywano się, i nie chcę, by ojciec wiedział

cośkolwiek. zanim doświadczenie zupełnie się nie uda. Potem za to, kiedy wróci do Misselthwaite, wejdę nagle do jego pokoju i powiem: „Oto jestem, tatusiu; jestem taki jak wszyscy chłopcy. Jestem zupełnie zdrow i wyrosnę na dzielnego człowieka. A stało się to przez doświadczenie naukowe”.

— Twój tatuś pomyśli, że to sen — zawołała Mary. — Oczom swoim nie będzie chciał wierzyć.

Colin uśmiechnął się tryumfująco. Nakazał sobie uwierzyć, że będzie zdrow, co rzeczywiście było już połową wygranej. Podtrzymywała go zaś więcej niż wszystko myśl o ojcu, co powie, jaką minę zrobi, gdy dowie się, że ma syna zdrowego i prostego jak synowie innych tatusiów. Jednym z najstraszniejszych utrapień jego za owych smutnych, beznadziejnych dni przeszłych była jego bezsilna nienawiść do swego chorobliwego stanu, który mu miłość ojca zabierał.

— Wtedy tatuś będzie musiał uwierzyć — powiedział. — Jak czary już swoje zrobią i będę zdrow, bo jednym z pierwszych ćwiczeń, zanim się wezmę do odkryć naukowych, będzie atletyka.

— Za tydzień, dwa to się panicz weźmie do boksowania — rzekł Ben Weatherstaff. — Skończy panicz na tym, że w atletyce zdobywać będzie pierwsze nagrody w Anglii.

Colin spojrział na niego surowo.

— Weatherstaff! — zawołał — to brak uszanowania. Nie wolno wam się poufalić dlatego tylko, że dopuszczeni jesteście do tajemnicy. Choćby czary największą siłę mi dały, nie będę zawodowym atletą. Będę badaczem naukowym.

— Przepraszam, bardzo przepraszam, *sir* — odparł Ben, dotykając czoła w ukłonie. — Powinienem był wiedzieć, że z tego żartować nie wolno — lecz niemniej wesoło mrugał małymi oczkami i ubawiony był serdecznie. Chętnie zniósł i to natarcie uszu, byle jego panicz miał siły ciała, umysłu i serca!

#### ROZDZIAŁ XXIV. „NIECH SIĘ ŚMIEJĄ!”

Tajemniczy ogród nie był jedynym, w którym pracował Dick. Wokoło domku na wrzosowisku znajdował się kawałek gruntu otoczony niskim wałem ze zwykłych kamieni polnych. Wczesnym rankiem i po słońca zachodzie, i każdego dnia, gdy dla Mary i Colina bywał niewidoczny — Dick pracował w tym ogródku, sadząc dla swej matki kartofle, kapustę, rzepę, marchew i wszelką włoszczyznę. Dokazywał tam wprost cudów wraz ze swymi „stworzonkami”, a nigdy — zdawało się — nie bywał zmęczony. W czasie kopania lub pielenia pogwizdywał wesoło albo śpiewał piosnki ludowe, często rozmawiał z Sadzą i Kapitanem, a niekiedy ze swym rodzeństwem, które nauczył pomagać sobie.

— Nigdy nam się tak dobrze nie działo jak teraz — mówiła pani Sowerby — a to tylko dzięki ogródkowi Dicka. Jemu wszystko lepiej rośnie. Jego kartofle i kapusta są dwa razy większe niż u innych, a zapach taki mają, aż ślina do ust idzie.

Gdy tylko miała wolną chwilę, lubiła pójść z nim pogawędzić. Po kolacji bywała jeszcze długa szara godzina do pracy i to stanowiło jej wypoczynek. Siadywała wtedy na niskim wale z kamieni, przyglądała się i słuchała opowiadania z całego dnia. Lubiła te chwile. W ogródku ich były nie tylko warzywa; Dick kupował paczuski nasion kwiatów i posiał pomiędzy krzakami agrestu, a nawet między kapustą i na rabatach śliczne, cudnie pachnące kwiatuszki, jak rezedę, goździki, bratki i te roślinki, których nasiona mógł zbierać lub te, których korzenie co roku na wiosnę nowe wypuszczały kielki. Niski wał kamienny był jedną z ładniejszych rzeczy w Yorkshire, ponieważ Dick w każdym zagłębieniu między kamieniami posadził: naparstnice, paprocie, rzeżuchę, które rozrosły się ślicznie i tylko tu i ówdzie odsłaniały surowy kamień.

— Niech tylko każdy robi tak, żeby im było dobrze, żeby mogły rosnąć — mawiał — a i te kwiatki będą z nim w przyjaźni na pewno. One tak samo jak zwierzątka. Jak im się chce pić, trzeba je napoić, jak są głodne, trzeba je odżywić. One tak samo pragną żyć jak my. Gdyby mi powiedły, to czułbym, że byłem zły i bez serca dla nich.

O takiej to szarej godzinie wysłuchiwała pani Sowerby opowieści o tym, co się działo w Misselthwaite Manor. Najpierw dowiedziała się tylko, że „panicz” nabrał ochoty wyjść do ogrodu z panną Mary i że to dobrze wpływało na jego zdrowie. Lecz wkrótce potem

postanowiły dzieci „dopuścić do tajemnicy” matkę Dicka. Nie wątpili ani na chwilę, że tej można zaufać „na pewno”.

Więc też pewnego cichego, wiosennego wieczoru Dick opowiedział jej całą historię z wszystkimi sensacyjnymi szczegółami o pogrzebanym kluczu i gilu, i o szarej mgle, która zdawała się martwotą, i o tajemnicy, której panna Mary nie chciała nikomu powierzyć. Opowiadał o tym, jak przyszedł, w jaki sposób mu opowiedziała o ogrodzie, wątpliwości co do panicza Colina i ostatecznie całą historię wprowadzenia go do ukrytego państwa w związku z wypadkiem z Benem Weatherstaff. Jego oburzona twarz zagląająca przez mur i nagle rozbudzona siła panicza, wszystko to kilka razy wywoływało na przemian rumieńce lub bladość na śliczną twarz pani Sowerby.

— Jak Boga kocham! — wołała — jak to dobrze, że ta mała panienka przyjechała do Misselthwaite. Było to zarówno dobre dla niej, jak zbawienne dla niego. Więc stał na nogach! A my tu wszyscy myśleliśmy, że to biedactwo niespełna rozumu i połamane, i krzywe na wszystkie strony!

Zadawała mnóstwo pytań, a niebieskie jej oczy pełne były zamyślenia.

— Cóż oni tam mówią we dworze, że taki teraz zdrow i wesół, i nie narzeka, nie jęczy? — pytała.

— Oni już sami nie wiedzą, co myśleć — odparł Dick. — Każdziuchnego dnia inaczej panicz wygląda. Twarz mu się wypełnia i już nie jest taka ostra, a bladość znikła jak kamfora. Ale zawsze przecież musi trochę narzekać — dodał z bardzo ubawioną miną.

— Czemuż to, na miłosierdzie boskie?! — pytała pani Sowerby.

Dick chytrze się uśmiechnął.

— Umyślnie tak narzeka, żeby nie odgadli, co się tam dzieje. Gdyby doktor wiedział, że mu dobrze i że może stanąć o własnej sile, to by napisał o tym do jaśnie pana. A panicz znów sam chce tę tajemnicę ojcu powiedzieć. Będzie teraz czary robił co dzień ze swoimi nogami, dopóki ojciec jego nie wróci, a potem wejdzie do jego pokoju i pokaże, że jest silny i prosty jak wszyscy chłopcy. Ale i panicz, i panna Mary myślą, że najlepiej będzie trochę pokapryścić, pokrzyzczyć, narzekać od czasu do czasu, żeby ludzie nie mogli niczego przewąchać.

Pani Sowerby serdecznie i szczerze śmiała się, zanim jeszcze ostatnie zdanie wypowiedział.

— Oj! Ci się dopiero dobrze bawią — rzekła — ręczę za to. Zagrają doskonale komedię, a dzieci niczego tak nie lubią, jak grać komedię. No, opowiadaj mi jeszcze o nich, moje dziecko.

Dick przestał grabić, przysiadł na piętach i zaczął opowiadać. Oczy miał wesołości i roześmiania pełne.

— Panicza znosi się w krześle za każdym razem, gdy wychodzi — objaśniał. — A on gniewa się na służącego Jana, że go nie wiezie dosyć uważnie. Taki się niby robi bezsilny, o ile tylko może, a głowy nigdy nie podnosi, dopiero jak już sami zupełnie jesteśmy. A piszczy, a narzeka, gdy go w tym fotelu sadowią! I panicz, i panna Mary tak się bawią; a jak on narzeka i skarży się, to panienka mówi: „Biedny Colin! Czy cię tak bardzo boli? Mój Boże! Takiś strasznie słaby? Biedny Colin!”, tylko w tym bieda, że się czasem ledwo wstrzymać mogę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Jak już potem bezpieczni jesteśmy w ogrodzie, to się aż duszę ze śmiechu. Nieraz muszą głowy chować w poduszki panicza, żeby ich ogrodnicy nie usłyszeli, jeżeli przypadkiem są w ogrodzie.

— Im więcej się śmieją, tym lepiej dla nich — rzekła pani Sowerby, sama się śmiejąc. — Zdrowy śmiech jest dla dziecka zdrowszy niż branie pigułek i leków co dzień. Tych dwoje to na pewno wyzdrowieje i utyje.

— Oni już przytyli — rzekł Dick. — Tacy są głodni ciągle, że nie wiedzą, jakby zrobić, żeby dostać więcej jeść, a żeby się nikt nie domyślił. Panicz mówi, że jak pośle po więcej jedzenia, to wcale już wierzyć nie będą chcieli, że jest kaleką. Panna Mary znów mówi, że paniczowi odda swoją część, ale on powiada, że jak panienka będzie głodna, to schudnie, a oni muszą utyc oboje równocześnie.

Pani Sowerby tak serdecznie się śmiała, słysząc o tych trudnościach, że tylko kiwała się naprzód i w tył w swej modrej sukni, a Dick jej wtórował.

— Powiem ci coś, synku — rzekła pani Sowerby, gdy się uspokoiła. — Mam już sposób, jakby mu pomóc. Gdy rano do nich pójdziesz, to im zanieziesz koneweczkę świe-

żego, dobrego mleka i upiekę im chleba wiejskiego albo bułeczek z porzeczkami, takich jak to wy lubicie. Nic nie jest takie dobre jak świeże mleko i chleb. Potem zaspokoić będą mogli swój apetyt w ogrodzie, a to, co zjedzą w domu, to już będzie takim dodatkiem.

— Oj, matuś! — mówił Dick z uwielbieniem. — Dziw, jakaś ty mądra! Zawsze matusia radę na wszystko wynajdzie. Wczoraj to byli w wielkim ambarasie. Nie wiedzieli zupełnie, co zrobić, jak wytrzymać, żeby nie zażądać więcej jedzenia, takie mieli pustki w żołądku.

— Oboje prędko rosną i oboje prędko wracają do sił i zdrowia. Takie dzieci to jak młode wilczki, a pożywienie to dla nich krew i ciało — mówiła pani Sowerby. Potem uśmiech Dicka okraszył jej usta.

— Oj! Ale to się naużywają! — dodała.

I słusność miała ta dobra, zacna matka; a nigdy nie miała większej, jak wtedy, gdy powiedziała, że chętnie będą „grali komedię”. Dla Colina i Mary było to źródłem ekscytującej rozrywki. Myśl uchronienia się przed podejrzeniami poddała im bezwiednie najpierw zdumiona pielęgniarka, później doktor Craven.

— Apetyt się ogromnie paniczowi poprawił — rzekła dnia pewnego. — Dawniej nic panicz nie jadł i nie lubił potraw!

— Teraz wszystkie lubię — odparł Colin; potem zaś, widząc pielęgniarkę przyglądającą mu się z ciekawością, przypomniał sobie nagle, że może nie powinien wyglądać na zbyt zdrowego. — W każdym razie rzadziej bywa, że mi coś nie smakuje. To skutek świeżego powietrza.

— Być może — powtórzyła pielęgniarka nieufnie. — Ale muszę pomówić o tym z doktorem Cravenem.

— Jak ona na ciebie patrzyła! — rzekła Mary, gdy tamta wyszła z pokoju. — Jakby myślała sobie, że jest w tym coś, co należy zbadać.

— Nie chcę, by robiła jakieś dochodzenia — rzekł Colin. — Jeszcze nikt się niczego nie może domyślać.

Gdy tego rana przybył doktor Craven, wydawał się również ogromnie zdziwiony. Ku niezadowoleniu Colina, zadawał mu mnóstwo pytań.

— Dużo bardzo przebywasz w ogrodzie? — badał. — Gdzie zwykle chodzisz?

Colin przybrał swój zwykły wyraz twarzy zupełnej obojętności na sądy ludzkie.

— Nie chcę, żeby ktokolwiek bądź wiedział, dokąd się udajemy — odparł. — Chodzę tam, gdzie mi się podoba. Wszyscy otrzymali rozkaz, żeby mi w drogę nie wchodzili. Nie chcę, żeby mi się przyglądali. Dobrze pan o tym wie!

— Zdaje się, że cały dzień przebywasz na dworze, ale ci to chyba nie szkodzi, przeciwnie nawet. Pielęgniarka twierdzi, że teraz jadasz więcej, niż jadłeś kiedykolwiek.

— A może — zaczął Colin natchniony nowym pomysłem — a może to apetyt nie-naturalny!

— Wątpię, bo pożywienie ci służy — rzekł doktor Craven. — Nabierać zaczynasz ciała i cerę masz zdrowszą.

— A może... może ja puchnę i mam gorączkę — rzekł Colin, przybierając smutną, stroskaną minę. — Ludzie skazani na śmierć, bywają nieraz... różni.

Doktor Craven głową potrząsnął. Trzymał dłoń Colina, odchylił rękaw i ujął go za ramię.

— Wcale nie masz gorączki — rzekł zamyślony — a ciało takie, jak twoje obecnie, oznacza zdrowie. Jeśli się tak utrzymamy, mój chłopcze, to nie ma co myśleć o śmierci. Ojciec twój będzie ogromnie szczęśliwy, gdy usłyszysz o tak znacznym polepszeniu.

— Nie chcę, żeby usłyszał! — wściekle wybuchnął Colin. — Potem będzie jeszcze gorzej się martwił, jeśli mi się znów pogorszy... a mnie gorzej będzie już dziś w nocy. Będę miał napad z gorączką! Zdaje mi się, że już się zaczyna. Nie chcę, żebyście pisali do tatusia, nie chcę, nie chcę! Pan mnie irytuje, choć wie, że mi to szkodzi! Już mi się zaczyna robić gorąco. Nie cierpię, żeby o mnie mówili i żeby o mnie pisali, tak samo jak znieść nie mogę, by na mnie patrzano!

— Cicho, cicho, chłopcze kochany — uspokajał go doktor Craven. — Nic się pisać nie będzie bez twego pozwolenia. Zanim wszystko bierzesz do serca. Nie możesz psuć tego, co się dobrego zrobiło.

Nie mówił już więcej o liście do pana Cravena, a pielęgniarkę ostrzegł na uboczu, by nawet o możliwości listu nie wspomniała.

— Chłopcu jest bez porównania lepiej — mówił. — Zmiana na dobre w jego zdrowiu jest wprost anormalna. Lecz teraz z własnej nieprzymuszonej woli robi to, do czego nie mogliśmy go zmusić żadną siłą. Jednakże wciąż jeszcze łatwo się podnieca, więc nie trzeba mówić nic, co by go irytowało.

Mary i Colin przerazili się nie na żarty i rozmawiali lękliwie. Od tej chwili poczęło się ich granie „komedii”.

— Wiesz, zdaje mi się, że będę zmuszony mieć „napad” — mówił Colin z żalem. — Nie pragnę go mieć, a czuję się teraz zbyt dobrze, by się móc wprowadzać w taki „porządny”. Kto wie, czy mi się w ogóle uda dostać ataku. Gardło nigdy mi się teraz nie ściska, a rozmyślam tylko o rzeczach ładnych i miłych, nie o straszliwych. Ale jeśli zaczną znów gadać o pisaniu do ojca, to będzie trzeba jednak coś wymyślić!

Postanowił sobie mniej jadać, lecz niestety! Wykonanie tego świetnego pomysłu okazało się nader trudne wobec tego, że budził się co rano z wilczym apetytem, stół zaś przy sofie zostawiony był śniadaniem, składającym się z chleba domowego pieczenia, masła świeżego, ślicznych, białych jajek, marmolady i bitej śmietany. Mary jadła z nim razem, a gdy znaleźli się przy stole, zwłaszcza gdy woń gorącej szynki wydobywała się spod srebrnej pokrywy, wtedy — o! wtedy z rozpaczą spoglądali sobie w oczy.

— Wiesz, zdaje mi się, że dzisiaj to jeszcze wszystko sobie zjemy — mawiał zwykle w końcu Colin. — Za to odeślemy do kuchni trochę z drugiego śniadania i cośkolwiek z obiadu.

Lecz niestety! Nigdy im się to jakoś nie udawało, a do czysta wyjedzone półmiski wywoływały komentarze w kredensie.

— Życzyłbym sobie bardzo — mawiał też Colin — by plastereczki szynki były trochę grubsze; taka porcyjka na każde z nas, to stanowczo za mało.

— Właściwie to dosyć dla kogoś, co ma umrzeć niedługo — odpowiadała Mary — ale nie wystarcza to dla kogoś, kto ma żyć. Czasem to bym pewnie ze trzy takie porcje zjadła, gdy przez okno to cudne powietrze napływa i zapach od wrzosowiska idzie...

Tego rana, gdy Dick po dwugodzinnej wspólnej zabawie poszedł za wielki krzak różany i wyniósł stamtąd dwa blaszane naczynia, z których jedno było napełnione świeżym mlekiem, a w drugim znajdowały się świeże bułeczki z porzeczkami, zawinięte w czystą serwetę — zawinięte tak starannie, że jeszcze były gorące, było okrzyków radości co niemiara. Jak też pocziwie ze strony pani Sowerby, że o nich pomyślała! Jaka to musi być dobra i rządna<sup>62</sup> kobieta! Jakież te bułeczki były wyborne! A co za mleko znakomite!

— Czary są w niej, zarówno jak w Dicku — mówił Colin. — I one nasuwają jej pomysły dobre, jak robić rzeczy ładne. Ona stanowczo czaruje. Powiedz matce, Dicku, że jesteście jej wdzięczni, ogromnie wdzięczni!

Colin lubił używać wyrażen jak dorośli. Miał w tym pewne upodobanie. A miał je do tego stopnia, że chciał się jeszcze lepiej wyrazić.

— Powiedz matce, że wzruszeni jesteście jej dobrocią i niewymownie wdzięczni.

Potem zaś, zapominając o swej powadze, dopadł do baniek i począł opychać się bułeczkami i mleko pił chciwie wielkimi łykami, po prostu tak, jak by robił każdy mały, głodny chłopczyk, który się wyhasał do woli i wybiegał na świeżym powietrzu; a był już od dwóch godzin po śniadaniu.

To dało początek całemu szeregowi miłych wydarzeń. Przed wszystkim od razu doszli do przekonania, że pani Sowerby, zmuszona myśleć co dzień o nakarmieniu czternastu istot, nie może żywić jeszcze ich dwoje bez uszczerbku dla siebie. Poprosili ją zatem, by na cel ten pozwoliła sobie przysyłać ich zaoszczędzone szylingi.

Dick uczynił nadzwyczajne odkrycie, a mianowicie, że w lesie — tam, gdzie go Mary po raz pierwszy ujrzała przygrywającego zwierzątkom na fujarce — znajdowała się głęboka, a niewielka jama, z której mogliby zrobić doskonały piecyk i piec kartofle i jaja. Pieczone jaja były nieznanym a wykwintnym przysmakiem, zaś pieczone, ogromnie gorące kartofle z solą i świeżym masłem były potrawą godną króla lasów, poza tym można

<sup>62</sup>rządny — tu: gospodarny.

się było znakomicie nimi najeść. Mogli sobie nakupić jaj i kartofli, ile dusza raczyła, i najeść się za wszystkie czasy, a nie mieli uczucia, że krzywdzą kogokolwiek w domku na wrzosowisku.

Każdego pogodnego poranka mistyczne zgromadzenie odprawiało czary pod drzewem sliwkowym, którego baldachim coraz gęstniał wobec rozrastających się listków po krótkich dniach kwitnienia. Po ceremonii Colin zaczynał swe ćwiczenia chodzenia, potem zaś w ciągu dnia przedsiębrał je po kilkakroć. Co dnia nabierał więcej sił, co dzień z większą łatwością mógł chodzić i coraz dalej. I co dnia wzmagala się jego wiara w czary — i nic w tym dziwnego. Próbował jednego ćwiczenia po drugim, w miarę jak mu przybywało sił, Dick zaś coraz nowych uczył go rzeczy.

— Wczoraj — mówił pewnego rana po dniu nieobecności — poszedłem do Thwaite z interesem matki i koło oberży Pod Niebieską Krową widziałem Boba Haworth. To najsilniejszy człowiek z naszej okolicy. Jest pierwszym atletą, a skacze wyżej niż ktokolwiek bądź i rzucać umie najlepiej młotem. Jednego roku to na różne ćwiczenia sportowe poszedł do Szkocji. Mnie znał, jakem jeszcze był całkiem mały, a że jest przyjacielski, więc go zapytałem o kilka rzeczy. Nazywają go tu wszyscy atletą, a ja sobie pomyślałem o was, paniczu, i mówię mu: „Jak ty robisz, Bob, że masz takie silne i twarde mięśnie? Czy robisz jakie specjalne ćwiczenia?”. A on mówi: „Ano naturalnie, chłopcze, żem robił. Był tu raz w Thwaite taki jeden siłacz, co sztuki pokazywał, i on mnie nauczył, jak wyrabiać sobie ręce, nogi i mięśnie w całym ciele”. A ja mówię: „Czy delikatny chłopiec mógłby się też wzmocnić?”. A on się roześmiał i mówi: „Czy to ty niby masz być ten delikatny chłopiec?”. A ja mówię: „Nie, ale znam jednego młodego panicza, który przychodzić zaczyna do zdrowia po długiej chorobie i chciałbym znać twoje sposoby, żeby i jego nauczyć”. Nie mówiłem mu nazwiska, a on się też nie pytał. Mówiłem już, że to poczciwy chłopak; wstał, pokazał mi niektóre ćwiczenia, a ja je powtarzałem, ażem się ich na pamięć nauczył.

Colin pochłaniał każde słowo.

— I możesz mi pokazać? — wołał. — Czy byłbyś taki dobry?

— No, ma się rozumieć — odparł Dick, powstając z miejsca. — Ale on mówił, że najpierw trzeba wolno robić i uważać na siebie, żeby się nie zmęczyć. Trzeba niekiedy wypoczywać i głęboko oddychać, i nie męczyć się.

— Będę ostrożny — rzekł Colin — tylko mi pokaż! Pokaż! Dicku, jesteś najczarowniejszy chłopiec na świecie!

Dick stanął na trawniku i wykonał starannie szereg ćwiczeń mięśni. Colin przyglądał mu się z rosnącym zajęciem. Siedząc, mógł wykonywać niektóre ruchy. Potem ostrożnie wykonał kilka stojąc — Mary ich naśladowała. Sadza, przyglądając im się ciekawie, była ogromnie podniecona; zleciała ze swojej gałęzi, skakała dokoła niestrudzenie, nie mogąc naśladować ruchów dzieci.

Od tej pory ćwiczenia owe, zarówno jak czary, stanowiły obowiązek dnia. Colin i Mary wprawiali się coraz bardziej i taki im to dawało apetyt, że byliby zgubieni, gdyby nie koszyk, stawiany co dnia przez Dicka za krzewami. Tymczasem piecyk w lesie w połączeniu z poczciwą pamięcią pani Sowerby tak były wystarczające, że pani Medlock, pielęgniarka i doktor Craven w głowę zachodzili ze zdumienia. Można zaiste nie ruszyć śniadania i zdawać się lekceważyć zupełnie obiad, gdy się jest najedzonym aż po uszy pieczonymi jajami i kartoflami i mlekiem świeżym, i plackami owsianymi, i bułkami, i miodem, i bitą śmietaną.

— Tyle jedzą, co nic — mówiła pielęgniarka. — Umrą z głodu, jeśli im się nie zdoła wytłumaczyć, że muszą przecież przyjmować trochę pokarmu. A jednak niech pani spojrzy, jak wyglądają!

— Spójrzyj! — zawołała z pogardą najwyższą pani Medlock. — Oj! Już mnie te bębny na śmierć zamęczyły! Toć to doprawdy para młodych diablów. Jednego dnia suknie im za ciasne, a drugiego nosem kręcą na najlepsze potrawy, jakie kucharz wymyślić potrafi. Ani na ząb nie spróbowali tej młodej perliczki, takiej wybornej. I biedna gospodyni „wynalazła” dla nich nowy budyń, to go odesłali nietknięty do kuchni. Aż się biedaczka popłakała. Boi się okropnie, że na nią wina spadnie, jak się na śmierć zagłodzą.

Doktor Craven przyjechał i przyglądał się Colinowi długo i uważnie. Miał twarz bardzo znużoną, gdy pielęgniarka z nim rozmawiała i pokazywała mu nietknięte niemal śnia-



danie, które umyślnie schowała, by mu je pokazać — lecz znękany był bardziej jeszcze, gdy usiadł przy Colinie i zaczął mu się przyglądać. Był zmuszony z powodu interesu wyjechać do Londynu i dwa tygodnie pacjenta swego nie widział. Młodzi nabierają sił bardzo prędko. Woskowa bladłość ustąpiła na twarzy Colina miejsca ciepłym tonom różowym; piękne jego oczy jasno teraz na świat patrzyły, a doły na w policzkach i na skroniach wypełniły się, śladu po sobie nie zostawiając. Ciężkie ciemne loki, opadające na czoło stały się jedwabiste i jakby życia pełne. Usta mu wypełniały i nabrały koloru zdrowego. Naprawdę trudno było uwierzyć, by to miał być ów inwalida na śmierć skazany. Doktor Craven ujął go pod brodę i przyglądał mu się z uwagą.

— Bardzo się martwię, że nic teraz nie jesz — mówił. — To niedobrze. Wszystko, co się dobrego stało, znów pójdzie na marne, a wydobrzałeś w niepojęty sposób! Takis miał dobry apetyt jeszcze niedawno!

— Przecież mówiłem panu, że to apetyt nienaturalny — odparł Colin.

Mary siedziała na krześle obok nich i nagle wydała dźwięk ogromnie dziwny, który usiłowała tak gwałtownie stłumić, że dostała czkawki.

— Co się stało? — rzekł doktor Craven, odwracając się ku niej.

Mary spowaźniała.

— Było to coś pomiędzy kichnięciem a kaszlem — odparła z obrażoną godnością — i to mi się dostało do gardła.

— Ale — mówiła później do Colina — trudno: nie mogłam się powstrzymać. Tak parsknęłam, bo sobie zupełnie nagle przypomniałam, jak zabawnie wyglądałeś z tym ogromnym kartoflem w ustach, jaką miałeś wtedy twarz wypchaną, jak gryzłeś kromkę z szynką.

— Czy jest jakakolwiek możliwość, że te dzieci potajemnie gdzie dostają jeść? — pytał doktor Craven panią Medlock.

— Żadnej możliwości nie ma, chyba żeby sobie wykopali co lub z drzewek zerwali — odparła pani Medlock. — Cały boży dzień siedzą na dworze, a to tylko we dwoje ciągle. A gdyby chcieli co innego niż to, co dostają, to by im się przecież zaraz dało.

— Więc dobrze — rzekł doktor Craven. — O ile niejedzenie im tak służy, to nie ma się czym trapić. Przecież to inny chłopak teraz.

— I panią to samo — odparła pani Medlock. — Wszak to całkiem ładne dziecko, odkąd utyla i straciła ten cierpki, niemiły wyraz twarzy. Włosy jej urosły, zgrubiały i taką ma cerę zdrową. Takie to było ponure i niepoczcziwe, a teraz oboje z paniczem śmieją się, jak wariaty. Może z tego tak tyją.

— Może z tego — odparł doktor Craven. — Niech się śmieją!

## ROZDZIAŁ XXV. ZASŁONA

Tymczasem ogród tajemniczy rozkwitał i rozkwitał, i co dzień nowe ukazywał cuda. W gniazdku gila były jajka, a samiczka siedziała na nich, ogrzewając je swym drobnym, pierzastym ciałkiem i osłaniając troskliwymi skrzydełkami. Z początku była ogromnie nerwowa, a gil sam wprost nieprzyzwoicie podejrzliwy. Nawet Dick nie podchodził w tym czasie do gęstw ocienionego kąta ogrodu; czekał, aż tajemnym wołaniem zdoła oddziaływać uspokajająco na umysły małej ptasiej parki i przekona ich, że w ogrodzie wszystko jest im przyjazne — że nie ma tam nikogo, kto by nie rozumiał całej cudowności tego, co się działo w ich gniazdku — owej wielkiej, czulej, potężnej, uroczystej tajemnicy. Gdyby była choć jedna istota w tym ogrodzie, która by nie wiedziała, że gdyby jajko w gniazdku ruszyło lub stuknęło, to by świat cały zawirował i rozpadł się w przestrzeni; gdyby była choć jedna, nieczująca tego i postępująca wedle tej nieświadomości, to nie byłoby szczęścia nawet w tej najcudniejszej, złotej porze wiosennej. Lecz tu wszyscy wiedzieli i odczuwali to, zaś gil i samiczka jego wiedzieli o tym, że tamci wiedzieli.

Z początku przyglądał się gil Colinowi i Mary z nieklamany lękiem. Dla przyczyny jakiejś niewytłumaczonej wiedział, że nie potrzebuje czuwać nad Dickiem. Od pierwszej chwili, jak tylko spojrział na Dicka, zrozumiał, że nie jest obcy, ale że to też rodzaj gila, tylko bez dzioba i upierzenia. Umiał on mówić „po gilowemu” (co jest mową odrębną, której z żadną inną mieszać nie należy). Mówić po gilowemu do gila, znaczy to samo co mówić po francusku do Francuza. Dick zawsze przemawiał do gila jego językiem, toteż

temu ostatniemu obojętne było, gdy chłopiec jakąś „gwarą”, mówił do ludzi. Gil także myślał, że Dick musiał do nich mówić gwarą, gdyż nie byli oni dość inteligentni, by rozumieć mowę upierzoną. Ruchy chłopca również były „gilowe”. Nigdy one nikogo nie przstraszyły, nigdy bowiem nie były nagłe, by się zdawać mogły niebezpieczne lub groźące. Każdy gil mógł Dicka rozumieć, zatem obecność jego bynajmniej nie przeszkadzała.

Lecz przede wszystkim należało się mieć na baczności przed tamtych dwojgiem. Najpierw ów chłopiec nie wszedł do ogrodu na nogach. Wepchnięto go tu na czymś, co miało koła, a na nim narzucone były skóry zwierząt. To już samo przez się było mocno podejrzanane. Potem, gdy zaczął stawać i poruszać się, czynił to w dziwny, niezwykły sposób, a zdawało się, że ci drudzy muszą mu pomagać. Gil zwykle chował się w krzaki i stamtąd przyglądał się wystraszony, przechylając główkę to na tę stronę, to na tamtą. Myślał bowiem, że owe powolne ruchy były przysposobieniem do skoku, jak to zwykły czynić koty. Gdy kot przygotowuje się do skoku, natenczas czołga się po ziemi ogromnie wolno. Gil dużo na ten temat rozmawiał ze swoją żoną dni kilka, lecz potem zdecydował, że nic jej mówić nie będzie, gdyż przerażenie jej było tak wielkie, że lękał się, by to nie zaszkodziło jajkom.

Odczuli wielką ulgę, gdy chłopiec zaczął chodzić sam, a nawet poruszać się prędzej. Lecz długo jeszcze — w każdym razie gilowi zdawało się to długo — był on źródłem pewnej obawy. Nie robił wszystkiego tak jak inni ludzie. Zdawał się bardzo lubić chodzić, ale miał taki niepokojący sposób siadania lub kładzenia się i wstawania potem nagle, by zacząć na nowo.

Pewnego dnia gil sobie przypomniał, że gdy jego samego rodzice zaczynali uczyć latać, to podobnie robił. Wzlatywał na kilka łokci i zmuszony był odpoczywać. Zrozumiał zatem, że ten chłopczyk uczy się latać — czyli właściwie chodzić. Wspomniał o tym samicy, a gdy dodał, że jajka po wykluciu się i wypierzeniu w ten sam sposób będą postępowały, uspokoiła się zupełnie, a nawet zainteresowała nie na żarty, skąd znów powstała dla niej szczerza przyjemność przyglądania się chłopcu przez brzegi gniazodka — choć, co prawda, przekonana była, że pisklęta jej będą zdolniejsze i uczyć się będą prędzej. Potem jednakże dodała z pobłażaniem, że ludzie są zawsze ciężsi i powolniejsi od piskląt, a większość z nich robiła istotnie wrażenie, jakby się nigdy nie uczyli latać. Nigdy ich spotkać nie było można w powietrzu i na wierzchołkach drzew.

Po pewnym czasie ów chłopczyk począł poruszać się, jak inne dzieci, lecz wszyscy troje wykonywali czasem rzeczy niezwykle. Stawali pod drzewem i poruszali rękoma, nogami i głowami w taki sposób, że nie było to ani chodzeniem, ani bieganiem, ani siedzeniem. Ruchy te wykonywali w pewnych chwilach co dnia, a gil nie był w stanie wytłumaczyć samicy, co robili, czy co usiłowali robić. Mógł tylko powiedzieć, że był zupełnie pewny, iż pisklęta nigdy nie będą w taki sposób wymachiwać skrzydełkami; ale ponieważ ów chłopiec, mówiący tak płynnie po „gilowemu”, robił to samo, co tamci, zatem ptaszki mogły być spokojne, że ruchy te nie były natury niebezpiecznej. Co prawda, to ani gil, ani jego żona nie słyszeli nigdy o siłachu Bobie Haworth i o jego ćwiczeniach dla wyrobienia twardych mięśni. Gile nie są do ludzi podobne; ich mięśnie od początku się wyrabiają w sposób przyrodzony, bez ćwiczeń nadzwyczajnych. Jak trzeba fruwać, by znaleźć sobie każde źdźbło pożywienia, to muskuły nie zanikną (zanikają zwykle przez brak ruchu).

Gdy chłopczyk począł biegać, chodzić, kopać, pleć jak tamte dzieci, wówczas w gniazdku zapanował pokój i zadowolenie. Obawy o jajka stały się sprawą przeszłości, świadomość, że jajka są bezpieczne, jakby były zamknięte w banku, w połączeniu z możliwością przyglądania się tylu ciekawym rzeczom, uczyniły z „wysiadywania” bardzo sympatyczne zajęcie. W słotne dni odczuwała nawet matka jajek pewnego rodzaju nudę, gdy dzieci nie było w ogrodzie.

Lecz nie można twierdzić, żeby nawet w słotne dni Mary i Colin się nudzili. Pewnego poranku, gdy deszcz bez ustanku lał jak z cebra, Colin zaczynał już być niespokojny, zdenerwowany, ponieważ zmuszony był siedzieć na sofie, gdyż chodzić byłoby niebezpiecznie; wówczas Mary przysłała myśl genialną.

— Teraz, gdy jestem zdrowym, normalnym chłopcem — mówił Colin — moje nogi, ręce, całe ciało tak są pełne czarów, że mi trudno na miejscu usiedzieć. Więc chciałbym być w ruchu. Wiesz, Mary, jak się obudzę rano bardzo wcześnie, a ptaszki taki rozgwar wesoly czynią i wszystko zdaje się krzyżeć z radości, nawet drzewa, choć ich nie słyszymy,

to zdaje mi się, że muszę z łóżka wyskoczyć i też krzyknąć z radości. Ach, gdybym to zrobił, to pomyśl tylko, co by się stało!

Mary wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem.

— Wpadłaby tu zaraz pielęgniarka i pani Medlock i byłyby przekonane, żeś zwariował, i posłałyby po doktora — odrzekła.

Colin śmiał się serdecznie. Wyobrażał sobie, jakby te „baby” wyglądały, jak byłyby przerażone jego wybuchem, a jak zdumione, widząc go stojącego.

— Chciałbym, ażeby ojciec już wrócił — mówił. — Chcę mu sam wszystko powiedzieć. Wciąż o tym rozmyślam, ale dłużej już tak trudno będzie nam wytrzymać. Nie mogę ciągle leżeć i udawać, a przy tym wyglądam zupełnie inaczej teraz. Tak bym chciał, żeby dziś była pogoda!

I w tym oto momencie miała panna Mary myśl genialną.

— Colinie — rzekła tajemniczo — czy wiesz, ile w tym domu jest pokoi?

— Myślę, że z tysiąc — odparł.

— Jest około stu, do których nikt nigdy nie wchodzi — rzekła Mary. — Pewnego słotnego dnia poszłam i zajrzałam do kilku. Nikt o tym nie wie, choć pani Medlock o mało się na mnie nie natknęła. Zbłądziłam, gdym wracała i zatrzymałam się na końcu twego korytarza. Słyszałam wtedy twój płacz po raz drugi.

Colin podskoczył na sofie.

— Sto pokoi, do których nikt nie wchodzi — mówił. — To mi coś wygląda, jakby tajemniczy ogród. A gdybyśmy tak wybrali się i obejrzeliby je? Dowiozłabyś mnie w fotelu i nikt by się nie dowiedział.

— To samo sobie myślałam — rzekła Mary. — Niechby tylko nikt nie ważył się iść za nami. Tam są galerie długie, gdzie byśmy się mogli gonić. Jest też mały pokój indyjski, w którym znajduje się gablotka pełna małych słoni z kości słoniowej. Są najrozmaitsze pokoje.

— Proszę cię, zadzwoń — rzekł Colin.

Gdy weszła pielęgniarka, dał jej dyspozycję.

— Proszę o mój fotel — rzekł. — Panna Mary i ja pójdziemy do części domu niezamieszkaney. Jan może mnie zawieźć aż dotąd, gdzie się zaczyna galeria obrazów, tam są małe schody. Potem musi sobie odejść, zostawić nas samych i wrócić dopiero wtedy, gdy go zawołam.

Począwszy od tego ranka dnie deszczowe przestały dla nich być postrachem. Gdy lokaj dowiózł fotel do galerii i zostawił ich dwoje samych, zgodnie z rozkazem, Colin i Mary spojrzeli na się rozpromienieni. Skoro tylko Mary się upewniła, że Jan zszedł już na dół, do służbowych pokoi, mógł Colin bezpiecznie wyjść ze swego fotela.

— Najpierw przebiegnę kilka razy galerię wzdłuż — mówił — potem sobie poskaczemy, a potem będziemy robili ćwiczenia Boba Haworth.

I wykonali nie tylko to, lecz wiele innych jeszcze rzeczy. Zrobili przegląd galerii, a między portretami znaleźli i ową małą, nieładną dziewczynkę, trzymającą na palcu papugę.

— To wszystko muszą być chyba moi krewni — mówił Colin. — Żyli oni już bardzo dawno temu. Ta z papugą, to, zdaje się, jakaś moja pra-pra-pra-pra-babka. Ona bardzo do ciebie, Mary, podobna, ale nie teraz, tylko do tej Mary, jaką byłaś, gdyś tu przyjechała. Teraz jesteś wiele pełniejsza i ładniej wyglądasz.

— I ty także — odrzekła Mary i oboje się rozśmiali.

Poszli potem do indyjskiego gabinetu i bawili się słoniami. Odnaleźli buduar z różowej brokateli i dziurę w poduszce, którą wygryzła mysz, ale myszki wyrosły, uciekły, a dziura była pusta. Obejrzeliby więcej pokoi i porobili więcej odkryć niż Mary za swej pierwszej wędrowki. Znaleźli nowe korytarze i zakręty, i schody, i inne stare bardzo obrazy, które podobały im się ogromnie, i wiele starych czarownych rzeczy, których użytku nie znali. Był to dziwnie zajmujący poranek, a to uczucie, że wędrują w jednym domu z tylu innymi ludźmi, a równocześnie że są jakby o setki mil od wszystkich daleko, było czymś pełnym uroku.

— Bardzo jestem zadowolony, że tu przyszliśmy — rzekł Colin. — Nie wiedziałem zupełnie, że mieszkam w takim ogromnym, dziwnym, starym domu. Podoba mi

się. Każdego słotnego dnia będziemy się tak wałęsać. Za każdym razem znajdziemy coś nowego.

Tego rana znaleźli, między innymi, takie bajeczne apetyty, że gdy wrócili do pokoju Colina, nie byli w możności odesłać drugiego śniadania nieruszonego.

Gdy pielęgniarka zniosła tacę na dół, postawiła ją w kredensie z takim stukiem, że kucharz Loomis spostrzegł opróżnione doszczętnie półmiski i talerze.

— Proszę tylko spojrzeć! — zawołała. — Ten dom stanowczo pełen jest zagadek, a tych dwoje dzieci jest zagadką największą.

— Jeśli tak dalej pójdzie — rzekł ów silny służący Jan — to nie dziwno będzie, że ważyć będzie dwa razy tyle, co przed miesiącem. Będę musiał prosić o zwolnienie z obowiązku, bo się boję, że się podźwigam.

Tego popołudnia zauważyła Mary, że w pokoju Colina zaszło coś nowego. Już poprzedniego dnia to zauważyła, lecz sądziła, że zmiana była tylko przypadkowa. I dzisiaj nic nie mówiła, lecz usiadła i przyglądała się uporczywie portretowi przed kominkiem. Mogła mu się przyjrzeć, bowiem zasłonę odsunęto na bok. Oto była zmiana, którą zauważyła.

— Wiem, co chcesz, żebym ci powiedział — rzekł Colin, gdy przyglądała się obrazowi czas jakiś. — Ja zawsze wiem, gdy chcesz, bym ci coś powiedział. Ciekawa jesteś, dlaczego zasłona jest odsłonięta. Teraz chcę, żeby tak zostało zawsze.

— Dlaczego? — spytała Mary.

— Bo już mi nie jest przykro teraz, gdy ją widzę śmiejącą się. Onegdajszej<sup>63</sup> nocy obudziłem się, księżyc jasno świecił i miałem uczucie, że czary napelniają cały pokój i czynią wszystko tak cudnym, że uleżeć nie mogłem. Wstałem więc i wyjrzałem przez okno. W pokoju było jasno, a jedna plama światła księżycowego kładła się na tej zasłonie i to uczucie niejako spowodowało, żem podszedł i pociągnąłem za sznurek. Spojrzała prosto na mnie, jakby się śmiała z radości, że mnie widzi na nogach. Zacząłem z lubością na nią patrzeć. Miło mi więc widzieć ją taką uśmiechniętą. Myślę, że ona musiała być pełną czarów.

— Ogromnie jesteś do niej teraz podobny — rzekła Mary — tak, iż nieraz sobie myślę, że może jesteś jej duchem zaklętym w chłopca.

Myśl ta zawładnęła umysłem Colina. Zamyślił się głęboko, po czym z wolna odrzekł:

— Gdybym był jej duchem, to by mnie ojciec mój kochał.

— Czy chciałbyś, żeby cię kochał? — pytała Mary.

— Dawniej nienawidziłem jej, bo mnie przez nią nie kochał. Gdyby ojciec pokochał mnie, to bym mu może opowiedział o czarach. Może by to sprawiło, że by był trochę mniej smutny.

## ROZDZIAŁ XXVI. „TO MATKA!”

W „czary” wierzyli wytrwale. Po rannych „śpiewach” miewał Colin czasem wykłady o czarach.

— Lubię mieć wykład — tłumaczył się — bo gdy dorosnę i będę robił odkrycia naukowe, to będę musiał miewać o nich wykłady, więc teraz nabieram już wprawy. Moje prelekcje obecnie nie mogą być długie, bo, po pierwsze, jestem jeszcze mały, a po wtóre, Benowi Weatherstaffowi zdawałoby się znowu, że jest w kościele i znów by usnął.

— Taki wykład to ma do siebie — mówił Ben — że taki chłopiec może sobie wstać i mówić, co mu się podoba, a nie wiadomo, co mu na to odpowiedzieć. Kiedy niekiedy to nawet dosyć lubię takie kazanie.

A gdy Colin miał przemowę, stojąc przed drzewem śliwkowym, stary Ben pożerał go wprost oczyma. Przyglądał mu się krytycznie, lecz z miłością. Interesował się nie tyle wykładem, ile raczej nogami chłopca, które co dzień wyglądały na silniejsze i sprężystsze; młodzieńczą głową, którą tak dumnie podnosił, jego niegdyś spiczastą brodą i zapadłymi policzkami, które się wypełniły i zaokrągliły, wreszcie oczami, które nabrały blasków znanych Benowi dawniej w innej parze oczu. Czasami, gdy Colin czuł, że surowy wzrok Bena oznacza, iż stary jest bardzo przejęty, ciekaw był bardzo, o czym tak rozmyśla, a razu pewnego, gdy wydawał się po prostu jak w zachwycie, zapytał go:

<sup>63</sup> onegdajszy (daw.) — przedwczorajszy.

— O czym tak myślicie, Benie Weatherstaffie?

— Myślę sobie — odparł Ben — że paniczowi w tym tygodniu przybyło najmniej trzy do czterech funtów. Przyglądam się panicza nogom i ramionom. Bardzo bym chciał panicza dostać na wagę.

— To wszystko zasługa czarów... i bułeczek, mleka i innych przysmaków pani Sowerby — odparł Colin. — Widzicie więc, jak się moje naukowe doświadczenie udało.

Tego ranka Dick spóźnił się na wykład. Przyszedł cały zarumieniony od biegu, a zabawna twarzyczka jego promieniała więcej niż zwykle. A że po deszczu dużo było pielienia, zabrali się zaraz do roboty. Zawsze mieli dużo pracy po ciepłym, rześystym deszczu. Wilgoć i ciepło zarówno dobre były dla kwiatów, jak i dla chwastów, które zaraz poczęły wypuszczać listki i kielki, a te należało wyrwać, zanim wyrosły i umocniły się korzenie. Colin pełn na równi z innymi, a w czasie roboty mógł miewać wykłady.

— Czary działają najlepiej, jak my sami pracujemy — powiedział tego rana. — Można je odczuć w nas, w kościach i mięśniach. Będę czytał książki o kościach i mięśniach, a o czarach sam książkę napiszę. Teraz się właśnie namyślam i wynajduję rzeczy nowe.

W chwilę po wypowiedzeniu tych słów odłożył motykę i powstał. Przez kilka minut milczał, a tamci domyślili się, że układa sobie wykład, jak to zwykł być czynić. Gdy pochwycił motykę i stanął wyprostowany, zdawało się Mary i Dickowi, że opanowała go myśl nagle a silna. Wyprostował się w całej swej wysokości i radośnie rozpostarł ramiona. Twarz okryła się rumieńcem, żrenice rozszerzyły się radością. Nagle coś sobie w pełni uprzytomnił.

— Mary! Dicku! — wołał. — Spójrzycie na mnie!

Przestali pracować i spojrzeli.

— Pamiętacie wy ów pierwszy ranek, gdyście mnie tu przynieśli? — zapytał.

Dick bystro mu się przyglądał. Jako czarodziej zwierząt dostrzegł on więcej rzeczy niż wszyscy, a o wielu z nich nigdy nie mówił. Teraz dostrzegł to i owo w tym chłopcu.

— Pamiętamy, a jakże! — odparł.

Mary również przyglądała mu się bystro, ale nie odzywała się.

— W tej sekundzie właśnie sam sobie tę chwilę przypomniałem — rzekł Colin — jakem sobie spojrział na rękę trzymającą motykę i musiałem powstać, żeby się upewnić, że to nie sen. A to wszystko prawda! Zdrow jestem! Zdrow!

— Oj, zdrow panicz, zdrow! — powtórzył Dick.

— Zdrow jestem! Zdrow! — znowu mówił Colin, a twarz całą pokrył mu rumieniec.

Przedtem już wiedział o tym do pewnego stopnia, miał nadzieję, czuł i myślał o tym, lecz w tej chwili coś stało się w nim, coś go dreszczem przejęło, jakby nagle przekonanie i pewność, że musiał je wypowiedzieć.

— Będę żył zawsze! Zawsze! Zawsze! — zawołał wielkim głosem. — Odkryję tysiące, tysiące rzeczy. Odkryję prawdy różne o ludziach, zwierzętach i o wszystkim, co rośnie, jak Dick, a nigdy nie przestanę czynić czarów. Zdrow jestem! Zdrow jestem! Czuję, czuję potrzebę wołać, krzyknąć z dziękczynienia i szczęścia!

Ben Weatherstaff, pracujący w pobliżu przy krzaku róży, spojrział na niego.

— Powinien panicz zaśpiewać Doksologię<sup>64</sup> — zaproponował opryskliwie. Nie miał o tej pieśni właściwie żadnego zdania, propozycję zaś uczynił bez specjalnego poszanowania.

Lecz Colin miał umysł dociekający i o Doksologii nic nie wiedział.

— A co to takiego? — dopytywał.

— Dick to paniczowi na pewno zaśpiewa, ręczę za to — odparł Ben Weatherstaff.

Dick zaś odparł z swym wszystkowiedzącym uśmiechem czarodzieja:

— W kościele ją śpiewają — odparł. — Matka mówi, że wierzy w to, że skowronki ją śpiewają, gdy się rankiem ze snu budzą.

— Jeżeli ona to mówi, to ten śpiew musi być ładny — odparł Colin z przekonaniem. — Sam nigdy nie byłem w kościele. Byłem zawsze zbyt chory. Dicku, zaśpiewaj. Chciałbym ją usłyszeć.

<sup>64</sup>Doksologia — modlitwa pochwalna; formuła wyznania chwały Boga.

Dick z prostotą przystał. Pojmował, co czuł Colin, lepiej niż on sam. Pojmował przez wrodzony instynkt, tak że sam sobie z tego sprawy nie zdawał. Zdjął czapkę i wciąż się uśmiechając, rozejrzał się dookoła.

— Musi panicz zdjąć czapkę — rzekł do Colina — i Ben także, i musicie powstać, wiadomo!

Colin zdjął czapkę, słońce zaś oświecało i grzało gęsty włos jego, on zaś w skupieniu patrzył na Dicka. Weatherstaff dźwignął się również z kolan, odkrył głowę ze zdziwionym i trochę rozszoszczonym wyrazem na swej starej twarzy, jakby nie wiedział, dlaczego właściwie czyni rzecz tak niezwykłą.

Dick zaś stał wśród drzew, róż i kwiatów i zaczął śpiewać z prostotą, spokojnie, ładnym chłopięcym głosem.

Chwalmy Pana, który wszystko daje.

Niechaj na ziemi głoszą chwałę Jego,

Niech chwałę Jego śpiewają w niebiosach —

Chwałę Ojca i Syna, i Ducha świętego!

Amen.

Gdy skończył, Ben Weatherstaff stał spokojnie, zęby miał zaciśnięte, lecz wzrokiem pełnym rozrzewnienia patrzył na Colina. Colin zamyślony był głęboko.

— To śliczna pieśń — powiedział. — Podoba mi się. Może ona oznacza to, co ja odczuwam, gdy mam ochotę wołać, żem wdzięczny czarom. — Zamilkł i rozmyślał zadumany. — A może czary a tamto, to to samo. Nie można wiedzieć, jak się każda rzecz nazywa. Zaśpiewaj jeszcze raz, Dicku. Mary, popróbuj i ty; ja też spróbuję. To moja pieśń. Jak się to zaczyna? „Chwalmy Pana, który wszystko daje”?

I śpiewać poczęli raz jeszcze; Mary i Colin nastrajali głosy, jak umieli, głos Dicka płynął miękko, a donośnie; przy drugim wierszu Ben Weatherstaff energicznie odkaslnął, zaś przy trzecim z taką mocą przyłączył się do śpiewających, że można się było przerazić; a gdy przyszło „Amen”, Mary spostrzegła, że stało się z nim to samo, co w chwili, gdy się przekonał, że Colin nie był kaleką: broda mu się trzęsła i patrzył, i mrugał, a pergaminowa twarz jego wilgotna była od łez.

— Dawniej nie mogłem się nigdy w Doksologii sensu dopatrzeć — wyrzekł ochryplym głosem — ale może mi się z czasem w głowie odmieniło. Ale paniczowi, to najmniej z pięć funtów wagi w tym tygodniu przybyło, przynajmniej z pięć!

Colin tymczasem patrzył w ogród na coś, co uwagę jego przykuwało, a na twarzy poczęło malować się zdumienie.

— Kto tu wszedł? — rzekł spiesźnie. — Kto to?

Drzwi w bluszczowej zasłonie otworzyły się z wolna i do ogrodu weszła kobieta. Weszła przy ostatnim wierszu ich śpiewu i stała, słuchając i przyglądając im się. Na ciemnym tle bluszczu, pośród płam słońca padającego na jej błękitną suknię przez gałęzie drzew, ze swą ładną, świeżą twarzą okraszoną miłym uśmiechem, wyglądała na ładnie kolorowany obrazek z jednej książki Colina. Miała cudne, rzewne spojrzenie, które zdawało się obejmować wszystko i wszystkich, nawet Bena Weatherstaffa i „stworzonka”, i każdy pęczek kwiatu. Choć weszła tak zupełnie niespodzianie, nikt nie miał uczucia, że jest tu ona intruzem. Wzrok Dicka promieniał.

— To moja matka! Moja matka! — zawołał i pobiegł do niej przez trawnik.

Colin począł iść także ku niej. Mary szła z nim razem. Obojgu serca żywiej bić poczęły.

— To matka! — zawołał znów Dick, gdy się w połowie drogi spotkali. — Wiedziałem, że panicz chciał ją zobaczyć, więc jej powiedziałem, gdzie są ukryte drzwi.

Colin wyciągnął rękę z rumieńcem nieśmiałości, lecz oczyma wprost pochłaniał jej postać.

— Nawet gdym był chory, chciałem panią zobaczyć — powiedział — panią, Dicka i tajemniczy ogród. Przedtem nie chciałem widzieć nikogo i nic.

Widok jego twarzyczki ku niej zwróconej wywołał nagłą zmianę w jej własnej. Zarmieniła się, kąciki jej ust zadrgały, oczy przesłoniła jakby gęsta mgła.

— Dziecko moje drogie! — zawołała drżącym głosem. — Dziecko drogie! — Nie powiedziała „paniczu”, ale po prostu „drogie dziecko”, nagle, nie zdając sobie z tego spr-

wy. Byłaby tak samo odezwała się do Dicka, gdyby była ujrzała na twarzy jego coś, co ją wzruszało. Colinowi mile to było.

— Czy pani się dziwi, że taki zdrow jestem? — zapytał.

Ona zaś oparła mu ręce na ramionach, a uśmiech rozjaśniał mgłę przysłaniającą jej wzrok.

— Pewno, że się dziwię! — odparła. — Ale panicz taki do swej mamusi podobny, że mi się na płacz zbierało.

— Czy myśli pani — zaczął Colin nieśmiało — że mój ojciec mnie dlatego pokocha?

— Na pewno, ale na pewno, dziecko moje — odparła, klepiąc go delikatnie po ramieniu. — Musi pan do domu wrócić, musi.

— Zuzanno Sowerby — rzekł Ben Weatherstaff, podchodząc do niej. — Spójrzycie no na nogi tego chłopca. A co? Dwa miesiące temu były jak dwa patyki w pończochach, a słyszałem przecie, jak ludzie mówili, że ma angielską chorobę i nogi powykręcane na wszystkie strony. A teraz spojrzycie: no!

Zuzanna Sowerby zaśmiała się radośnie.

— Jeszcze trochę, a będzie miał piękne, silne nogi, jak na młodego przystało — odparła. — Niech tylko dalej bawi się, pracuje w ogrodzie i zjada, i pije dużo dobrego, słodkiego mleka, a nie znajdziecie w całym Yorkshire ładniejszej pary. Bogu dziękować!

Obie ręce położyła na ramionach panny Mary i przyglądała się jej twarzyczce z macierzyńską troskliwością.

— I panienka także! — rzekła. — Tak panienka wyrosła zdrowo jak nasza Elżunia. Ręczę, że i panienka będzie podobna do swej mamusi. Marta mówiła, że słyszała od pani Medlock, że była podobno śliczna pani. Panienczka też podobna będzie do róży rozkwitłej, gdy dorośnie, tak ci Panie Boże dopomóż!

Nie wspomniała o tym, że gdy Marta przyszła do domu w swoje „wychodne” i opisywała brzydkie, żółte dziecko, twierdziła, że nie wierzy w opowiadanie pani Medlock. „Przecież uwierzyć w to trudno, żeby ładna kobieta mogła być matką takiego brzydkiego dziecka” — dodała uparcie.

Mary nie miała czasu zajmować się swoją urodą. Wiedziała tylko, że wyglądała teraz „inaczej” i zdawała się mieć dużo gęściejsze i dłuższe włosy. Ale jak sobie przypomniła, z jaką przyjemnością przyglądała się niegdyś matce, wówczas miło jej było usłyszeć, że kiedyś może będzie do niej podobna.

Zuzanna Sowerby obeszła z nimi ogród dokoła. Opowiedzieli jej całą historię, pokazywali każdy krzak, każde drzewo ocalone. Colin szedł przy niej z jednej strony, Mary z drugiej. Oboje nie przestawali zaglądać w jej pocziwe oczy, oboje nie umieli zdać sobie sprawy z dziwnego uczucia, jakie im to zbliżenie dawało, a było to uczucie spokoju i pewności. Zdawało się, że rozumiała ich tak, jak Dick rozumiał swoje „stworzonka”. Nachylała się nad kwiatami i przemawiała do nich jak do dzieci. Sadza dreptała za nią, kilka razy przemówiła do niej „kau-kau” — i usiadła jej na ramieniu, jak Dickowi.

Gdy jej opowiedzieli o gilu i o pierwszej próbie latania piskląt, rozśmiała się słodczy pełnym, macierzyńskim śmiechem.

— Przypuszczam, że nauczyć ptaszka latać to to samo, co nauczyć dzieci chodzić, ale ogromnie byłabym zatrwożona, gdyby moje dzieci miały skrzydła zamiast nóg — mówiła.

Ponieważ zaś była taka przemiła i miała taki przeuroczy, prostoty pełen sposób bycia, przeto powiedziano jej o czarach.

— Czy pani wierzy w czary? — rzekł Colin, opowiedziawszy jej poprzednio o fakirach. — Mam nadzieję, że pani wierzy!

— O tak, wierzę — odparła. — Nie znałam ich wprawdzie pod tą nazwą, lecz co znaczy nazwa? Pewna jestem, że nazywają to innym mianem we Francji, innym w Niemczech. Ta sama Moc, która sprawia, że roślinki żyją i kwitną, że słońce świeci, uczyniła z panicza takiego dobrego chłopczyka i to jest owo Odwieczne Dobro. I ono nie takie, jak my, biedni, zaślepińcy, którym tak zależy na tym, by nas takim mianem nazywano, a nie innym. Owo niezmierne Dobro Odwieczne nie troszczy się o takie błahostki. Tworzy Ono miliony światów do naszego podobnych. Niech panicz nigdy nie przestanie wierzyć w Dobro owo i niech panicz wie, że świat cały pełen jest Jego, a nazywać może Je panicz, jak zechce. Toż śpiewaliście o nim, gdym tu weszła.

— Takim był szczęśliwy — rzekł Colin, patrząc na nią swymi cudnymi oczyma. — Nagle zupełnie uprzytomniłem sobie, jak się odmieniłem, jak moje ręce i nogi się wzmocniły, wie pani, i ja mogę stać i kopać, i zacząłem skakać, i chciałem krzyczeć i wołać coś do kogoś, kto by mnie chciał słuchać.

— „Czary” słuchały, gdyście śpiewali Doksologię. A byłyby wysłuchały każdej pieśni waszej. Najważniejszą rzeczą była radość wasza. Oj! Dziecko, dziecko! Co znaczy nazwanie takie lub owakie dla Dawcy wszelkiego Dobra? — i znów poklepała go po ramieniu.

Przygotowała była koszyk, który dnia tego zawierał całą ucztę, a gdy nadeszła godzina głodu, a Dick wyniósł go ze schowania, wtedy matka usiadła wraz z nimi pod drzewem i przyglądała się, jak pochłaniali jej przysmaki, śmiejąc się i żartując. Pełna była zadowolenia i rozśmieszała ich opowiadaniem różnych żartów. Mówiła im rzeczy rozmaite rozwlekłą gwarą i uczyła nowych wyrażen, śmiała się, jakby się pohamować nie mogła, gdy jej mówili, jaką trudność ma Colin w udawaniu rozkapryśzonego inwalidy.

— Widzi pani, że się ciągle musimy śmiać, gdy jesteśmy razem — mówił Colin. — A ten śmiech na chorobę nie wygląda wcale. Usiłujemy go stłumić, ale on jednak wybucha, a to jeszcze wiele gorzej.

— Jedna rzecz często mi na myśl przychodzi — mówiła Mary — i jak nagle o tym pomyślę, to już naprawdę trudno mi się wstrzymać od śmiechu. Myślę sobie, przypuścić można, że teraz Colin będzie wyglądał niedługo jak księżyc w pełni. Jeszcze tak nie jest, ale on z dniem każdym jest tłusciejszy. No więc przypuśćmy, że pewnego pięknego poranku stanie się taki: co wtedy zrobimy?

— Tak, tak! Widzę ją dobrze, że musicie grać komedię — rzekła Zuzanna Sowerby. — Ale już długo tego nie będziecie potrzebowali robić. Pan Craven wróci niedługo do domu.

— Myśli pani, że wróci? — spytał Colin. — Dlaczego?

Zuzanna Sowerby uśmiechnęła się znacząco.

— Myślę, że by się paniczowi serce krwawiło, gdyby się ojciec dowiedział o wszystkim, zanim mu panicz sam powie — rzekła. — Pewnie przez niejedną noc bezsennej panicz sobie to spotkanie planował.

— Nie zniósłbym, gdyby mu ktokolwiek inny o tym powiedział — rzekł Colin. — Myślę sobie o różnych sposobach codziennie. Teraz myślę, żeby wbiec do jego pokoju.

— To by dopiero była niespodzianka dla niego — rzekła Zuzanna Sowerby. — Chciałabym pana wtedy widzieć. Chciałabym, jak Boga kocham. Musi wrócić do domu, musi! Omawiali szczegółowo wizytę swoją na wrzosowisku.

Ułożyli sobie już wszystko. Przez wrzosowisko pojadą, śniadanie spożyją na otwartym powietrzu, wśród wrzosów. Poznają wszystkie dwanaścioro dzieci i ogród Dicka zobaczą, i wrócą dopiero wtedy, jak się zmęczą.

Zuzanna Sowerby powstała wreszcie, by wrócić do domu i zejść do pani Medlock. Czas też już był zawieźć Colina również z powrotem. Lecz zanim usadowił się w fotelu, stanął blisko przy Zuzannie, patrzył na nią z uwielbieniem i nagle pochwycił za fałdy jej błękitnej sukni.

— Pani jest taka, właśnie taka, jak sobie wymarzyłem — powiedział. — Chciałbym, żeby pani była moją matką, tak samo jak matką Dicka.

Nagle Zuzanna Sowerby pochylała się, ujęła go w ramiona i przytuliła do swego zagnanego serca, tak jakby był bratem Dicka. Gęsta mgła snadź<sup>65</sup> przysłoniła jej oczy.

— Moje ty dziecko drogie! — zawołała. — Twoja matusia jest tu w tym ogrodzie, wierzę w to niezłomnie. Nie może ona być daleko od ciebie. Ojciec twój musi do ciebie przyjechać, musi!

## ROZDZIAŁ XXVII. W OGRODZIE

Od początku świata każdy wiek miał swoje wynalazki. W ostatnim stuleciu uczyniono odkryć zadziwiających więcej niż w wiekach poprzednich, odkryć coraz cudowniejszych. Na razie nie chcą ludzie uwierzyć, żeby można dokonać czegoś nowego, później zaczynają ufać, że można tego dokonać, później widzą, że się dokonuje, na koniec dokonuje się

Przemiana, Natura,  
Smutek, Radość, Zdrowie

<sup>65</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie, zapewne.



czegoś, a ludzkość dziwi się, że nie zrobiono tego już przed wiekami. Jednym z najostatniejszych odkryć naukowych doby obecnej jest to, że myśl — po prostu myśl — może być równie silna jak bateria elektryczna, równie dobroczynna jak promienie słoneczne lub zabójcza jak trucizna. Przejmowanie się i trwanie w myślach smutnych lub złych jest tym samym, co zakażenie organizmu, na przykład zarazkiem szkarlatyny. Skoro też tylko dopuści się do osiedlenia się takiej myśli na stałe, natenczas może to być ze szkodą na całe życie.

Dopóki umysł Mary pełen był myśli nieprzyjemnych, złego mniemania o ludziach, obojętności na to, czy ją będą lubić, czy się będzie podobać, obojętności na wszystko, co ją otaczało, dopóty była ona dzieckiem złym, niepokciwym, o żółtej, chorobliwej cerze. Okoliczności jednak były dla niej łaskawe, choć nie zdawała sobie sprawy z tego. Poczęły one kierować nią ku jej dobru. W miarę jak jej myśl poczęła się zaprzętać gilami i domkami pełnymi dzieci, i starymi ogrodnikami o pomarszczonych twarzach, i prostymi dziewczynami wiejskimi, i wiosną, i tajemniczymi ogrodami ożywiającymi się z dnia na dzień, a również i chłopcem z wrzosowiska, i jego „stworzonkami”, nie było w jej głowie miejsca na myśli nieprzyjemne, które by oddziaływały ujemnie na jej wątrobę i trawienie i powodowały żółtość cery i zmęczenie.

Dopóki Colin zamykał się w swoim pokoju i myślał tylko o swoich lękach, chorobie i nienawiści do tych, którzy na niego patrzyli, dopóki godzinami całymi rozmyślał o garbach i wczesnej śmierci, dopóty był histerycznym, na polu zidiociałym małym hipochondrykiem, któremu nieznane były promienie słoneczne i wiosna, i który nie wiedział, że może być zdrow i że może chodzić, o ile tego popróbuje. Ale gdy nowe, dobre i piękne myśli i wrażenia poczęły brać górę nad dawnymi okropnymi, życie nowe poczęło w niego wstępować, krew zaczęła zdrowo krążyć w żyłach, a siły i moc napływały weń całą falą. Jego doświadczenie naukowe było bardzo proste i praktyczne i nie było w nim nic nadziemskiego. Wiele dziwniejsze rzeczy dziać się mogą z kimś, kto w czas umie się spoznać, gdy go złe myśli nachodzą i zdoła je oddalić i dobrymi zastąpi, które mu otuchę i moc dadzą. Dwóch rzeczy naraz robić nie można.

„Gdzie róże, chłopcze, posiejesz  
Nie mogą zakwitnąć osty”.

Podczas gdy tajemniczy ogród powracał do życia, a z nim dwoje dzieci, był człowiek pewien, wędrujący po świecie, daleko, po cudzych miejscowościach wśród fiordów norweskich i po górach i dolinach Szwajcarii, a był to człowiek, który od dziesięciu lat poddawał się czarnym, rozpaczliwym myślom. Nie był on odporny i nie próbował nigdy zastąpić swych myśli innymi, pogodnymi. Wędrował nad cudnymi brzegami jezior błękitnych — myśli złe szły za nim, spoczywał na stokach gór w bukiety wonnego kwiecica spowitych, oddychał balsamicznym górskim powietrzem — a złe myśli go nie opuszczały. Ból okrutny złamał go w chwili największego szczęścia, w duszy jego noc osiadła, a nie chciał nigdy promyka jaśniejszego do niej dopuścić. Opuścił i zaniedbał dom i obowiązki. Gdy podróżował, widok jego krzywdę ludziom robił — tak bowiem smutek nad nim ciążył, że atmosferę około siebie smętkiem tym zatruewał. Ludzie obcy przypuszczali, że musi być albo chorym umysłowo, albo mieć jakąś ukrytą zbrodnię na sumieniu. Był to człowiek wysoki, o ściągłej twarzy i przygarbionych plecach, w hotelach zaś zapisywał swe nazwisko jako „Archibald Craven, Misselthwaite Manor, Yorkshire, Anglia”.

Podróżował daleko i szeroko od chwili, gdy widział Mary w swym gabinecie i powiedział jej, że może mieć swój „kawalek ziemi”. Zwiedził najpiękniejsze miejscowości Europy, choć nigdzie więcej nad dni kilka nie bawił. Wybierał najcichsze i najbardziej oddalone zakątki. Był na wierzchołkach gór, których szczyty w obłokach się kryły, i spoglądał na inne szczyty, gdy słońce wstawało i takim je oblewało światłem, że, rzekłbyś, świat się na nowo rodzi.

Lecz cuda te nie oddziaływały na niego aż do pewnej chwili, gdy uprzytomnił sobie, że po raz pierwszy od lat dziesięciu stało się z nim coś dziwnego. Znajdował się w przedniej dolinie w Tyrolu austriackim i szedł wśród takich cudów, które byłyby zdolne każdą najsmutniejszą duszę pocieszyć i podźwignąć. Szedł długo, lecz pociechy nie znalazł. Wreszcie poczuł znużenie i by odpocząć, rzucił się na kobierzec z mchu nad brzegiem

strumyka. Był to przeźroczysty, mały strumień, biegnący radośnie w swym wąskim łożysku pośród bogactwa wilgotnej zieleni. Czasami wody jego szemrały jak śmiech wesoly, szumiąc po kamykach i bijąc o brzeg zielony. Widział, jak ptaki nachylały główki i przychodziły pić jego wody, a potem rozwijały skrzydełka i fruwały hen, daleko. Był jakoby czymś żyjącym, a jednakże delikatny szum jego czynił ciszę jeszcze głębszą. Dolina była spokoju pełna.

Gdy tak siedział, przyglądając się pięknym przeźroczystym nurtom, pan Archibald Craven poczuł, jak z wolna myśli jego i ciało poczęły napępniać się pokojem i ciszą doliny. Myślał, że może śni, lecz nie usnął. Siedział i patrzył na przesiąkniętą słońcem wodę, a oczy jego poczęły dostrzegać rosnące nad brzegiem kwiaty. W jednym miejscu rozkwitło całe pole niezapominajek tak blisko wody, że listki ich kapały się w strumieniu, patrząc zaś na nie, pan Craven uprzytomnił sobie nagle, że przed wielu laty lubił się im przyglądać. Myślał z rozczuleniem, jakim cudem błękitnym były owe tysiące rozkwitających się kwiatów. Nie wiedział on, że myśl owa tak prosta, poczęła z wolna wypełniać mu umysł — wypełniać, wypełniać, aż usunęła zeń inne smutne myśli. Było to tak, jakby słodka, promienna wiosna zaczęła się budzić nad sennymi wodami bagnisk i z wolna przemieniała je w toń kryształową. Lecz on sprawy sobie z tego nie zdawał. Wiedział tylko, że dolina zaczyna napępniać się coraz głębszą ciszą, on zaś siedzi i przygląda się jasnym, błękitnym kwiateczkom. Nie zdawał sobie sprawy, jak długo tam siedział i co się z nim działo, wreszcie poruszył się, jakby się ze snu budził, wstał z wolna, stanął na mchach puszystych, oddychając głęboko i nie wiedząc, co się z nim dzieje. Zdawało się, że w nim coś łagodnie, spokojnie rozwiązało się, oswobodziło.

— Co to jest? — rzekł szeptem i rękę przesunął po czole. — Czuję, jakobym do życia powracał!

Nie mam dostatecznych wiadomości o cudownościach rzeczy nieznanych, bym zdolny był wytłumaczyć, jakim sposobem się to stało. I trudno w ogóle byłoby to wytłumaczyć. On sam pojąć tego nie mógł, lecz przypomniał sobie ową dziwną godzinę w kilka miesięcy potem, gdy znów znalazł się w Misselthwaite i przypadkiem doszedł do wniosku, że w tymże samym dniu Colin zawołał, zszedłszy do tajemniczego ogrodu:

— Będę żył zawsze, zawsze, zawsze!

Ów dziwny spokój pozostał w nim przez resztę wieczoru i zasnął nowym, ożywczym snem. Niestety! Nie trwało to długo. Nie wiedział o tym, że może go w sobie zachować. Następnego nocy dał folę swym smutnym myślom, które fałą powróciły i opanowały go. Opuścił dolinę i puścił się na dalszą wędrówkę. Lecz — rzecz dziwna — bywały minuty, a nieraz i godziny, gdy, nie wiadomo dlaczego, znów ów przytłaczający go ciężar zdawał się unosić, a on miał uczucie, że staje się zdolnym znów do życia. Z wolna — z wolna — nie znając przyczyny, ożywał się wraz z ogrodem.

Gdy złote lato zamieniło się w barwną jesień, udał się nad jezioro Como. Tu znalazł czar jak we śnie. Dni całe spędzał nad błękitnym przeźroczem wód lub błądził wśród bogatej zieleni wzgórz aż do znużenia. Lecz tymi czasami zaczął sypiać lepiej, a sny okropne przestały go dręczyć.

„A może — myślał — sił zaczynam nabierać?”

Zaczynał nabierać sił — prawda, lecz z powodu owych godzin, gdy umysł jego wypoczywał, duch jego począł się znowu stawać silniejszym. Począł myśleć o Misselthwaite i o tym, czy by nie wrócić do domu. Od czasu do czasu myślał trochę o synu i zapytywał sam siebie, co by odczuwał teraz, gdyby stanął nad łożem z baldachimem na czterech rzeźbionych kolumnach i spojrzął na ostro cyzelowaną twarz jak z kości słoniowej i na ciemne rzęsy ocieniające przerażająco mocno zamknięte oczy. Wstrząsnął się.

Pewnego cudnego dnia poszedł tak daleko, że gdy wrócił, księżyc wysoko stał na niebie i srebrzył swymi blaskami świat cały. Cisza jeziora, brzegów i lasu tak była czarowna, że żał mu było wracać do willi, w której mieszkał. Podeszedł do małego tarasu nad brzegiem wody, usiadł na ławce i oddychał wszystkimi wonnościami tej czarownej nocy. Czuł dziwną ciszę skradającą się nad nim — a cisza ta stawała się coraz głębszą, głębszą, aż zasnął.

Nie wiedział, kiedy zasnął i kiedy począł śnić; sen jego tak był rzeczywisty, że nie czuł, iż śni. Później sobie przypomniał, jak mu się zdawało, że jest przytomny i rozbudzony.

Zdawało mu się, że gdy siedział i oddychał wonią róż jesiennych i słuchał plusku fal u swych stóp, usłyszał głos wołający go. Głos był słodki i czysty i szczęśliwy i bardzo daleki. Zdawał się bardzo oddalony, lecz słyszał go tak dokładnie, jakby to było tuż obok.

— Archi! Archi! Archi! — mówił głos; po czym znów wyraźniej i czulej niż przedtem — Archi! Archi! — dodał.

Zdawało mu się, że skoczył na równe nogi, nawet nie zdziwiony.

Głos był tak rzeczywisty i tak zdawał się naturalny, że musiał go słyszeć.

— Liliias! Liliias! — odrzekł. — Liliias! Gdzie jesteś?

— W ogrodzie! — zadźwięczało jak głos fletni złotej. — W ogrodzie!

I sen się prześnił. Lecz pan Craven się nie zbudził. I spał głęboko i słodko całą tę noc czarownicą. Gdy się obudził, rano było już słoneczne, nad nim stał służący. Był to Włoch, przyzwyczajony, jak cała służba willi, do przyjmowania bez zdziwienia każdego kaprysu swych obcych panów. Nikt nie wiedział, kiedy pan wyjdzie, kiedy wróci, kiedy zechce spać albo czy błądzić zechce po parku, czy leżeć noc całą w łodzi na jeziorze. Służący trzymał tackę z listami i czekał spokojnie, aż je pan Craven odbierze. Gdy odszedł, pan Craven siedział chwil kilka, trzymając je w ręku i patrząc w zamyśleniu na jezioro. Ów dziwny spokój wciąż był w nim i coś więcej jeszcze — poczucie, jakby owa rzecz okrutna nie istniała i jakby się coś zmieniło nagle. Przypominał sobie sen — ów sen tak rzeczywisty.

— W ogrodzie! — rzekł, dziwiąc się sobie samemu. — W ogrodzie! Ależ drzwi są zamknięte, a klucz pochowany tak głęboko!

Gdy chwilę później rzucił okiem na trzymane w ręku listy, spostrzegł, że na samym wierzchu jest jeden list angielski, pochodzący z Yorkshire. Adresowany był niewyrobinym, nieznanym mu pismem kobiecym. Otworzył go, nie myśląc o tym, kto pisze, lecz pierwsze zaraz słowa przykuły jego uwagę.

„Jaśnie Wielmożny Panie!

Jestem Zuzanna Sowerby, która niegdyś miała śmiałość zaczepić JWPana na wrzosowisku. Chodziło wtenczas o pannę Mary. Ośmielałam się znów niepokoić JWPana. Proszę Jaśnie Pana, gdybym była Panem, to bym wróciła do domu. Myślę, że JWPan byłby szczęśliwy, gdyby wrócił, a — proszę mi moją śmiałość wybaczyć — myślę, że gdyby JWPani żyła, to by też prosiła, żeby JWPan wrócił.

Uniżona sługa,

Zuzanna Sowerby”.

Pan Craven dwa razy list przeczytał, zanim go z powrotem włożył w kopertę. Wciąż myślał o owym śnie.

— Wróć do Misselthwaite — powiedział. — Tak jest, wracam niezwłocznie.

Po czym wrócił do willi i kazał Pitcherowi przysposobić wszystko do powrotu do Anglii.

W kilka dni później znajdował się znów w Yorkshire, a w czasie całej długiej podróży rozmyślał o swym synu jak nigdy przedtem, przez całe lat dziesięć o nim nie myślał. Przez cały ten przeciąg czasu pragnął tylko zawsze zapomnieć o nim. Teraz, choć nie zamierzał myśleć o nim, to jednak myśli te same tłoczyły się do głowy. Przypominał sobie owe dni straszliwe, gdy od zmysłów odchodził, że dziecko żyje, a matka umarła. Nie chciał go wcale widzieć, a gdy wreszcie poszedł je zobaczyć, ujrzał wątłe, brzydkie małaństwo, tak słabe, że wszyscy pewni byli, że zaledwie dni kilka przeżyje. Lecz ku zdumieniu tych wszystkich, którzy pieczę o nim mieli, dni upływały, a dziecko żyło; wtenczas przekonani byli wszyscy, że będzie kaleką.

Nie był on złym ojcem, ale wcale uczuć ojcowskich dla syna nie żywił. Sprowadzał mu doktorów, pielęgniarki, wygodami otaczał, lecz wzdrygał się na samą myśl zobaczenia chłopca i zasklepał się w swym smutku. Gdy po roku nieobecności pierwszy raz do Misselthwaite powrócił, a drobne, nędzne stworzonko podniosło ku niemu zmęczoną i obojętną twarzyczkę z wielkimi, szarymi oczyma i czarnymi rzęsami, tak podobnymi, a jednak tak różnymi od owych oczu, które uwielbiał, znieść nie mógł tego widoku i odwrócił się odeń błady śmiertelnie. Potem rzadko kiedy go widywał, chyba śpiącego,

a wiedział o nim to tylko, że był nieuleczalnym kaleką, o złym, przewrotnym, historycznym charakterze. Wybuchom złości, szkodliwym dla jego zdrowia, zapobiegać było można jedynie ustępowaniem we wszystkim jego woli.

Wszystkie te wspomnienia nie dodawały zbyt ducha, ale gdy pociąg wiózł go przez tunele i złociste równiny, człowiek do życia wracający myślał głęboko i długo.

— Możem przez całych dziesięć lat nie miał<sup>66</sup> racji — rzekł do siebie. — Dziesięć lat to kawał czasu. Może już za późno, by można było naprawić cośkolwiek. O czym ja też myślałem!

Naturalnie, że to były złe czary, żeby zaczynać od słowa „za późno”. Nawet Colin byłby mu to powiedział. Lecz pan Craven nie wiedział nic o oczarach, ani o białych, ani o czarnych. Tego będzie się musiał nauczyć. Rad byłby wiedział, czy Zuzanna Sowerby odważyła się na list dlatego, że jako matka spostrzegła, że chłopcu jest gorzej — że może jest bardzo chory. Gdyby nie był pod wrażeniem owego dziwnego spokoju, który nim ośmiadł, byłby bardziej przygnębiony niż zwykle. Lecz spokój przyniósł z sobą jednocześnie odwagę i nadzieję. Zamiast poddawać się złym myślom, spostrzegł, że usiłuje wierzyć, że będzie lepiej.

„Czyżby możliwe było, żeby wiedziała, że będę zdolny dobrze na niego wpłynąć? — myślał. — Pojadę i zobaczę się z nią w drodze do Misselthwaite”.

Lecz gdy w drodze przez wrzosowisko zatrzymać kazał powóz przed domkiem, siedmioro lub ośmioro dzieci, bawiących się opodał, zbiło się w gromadkę i, kłaniając się grzecznie, objaśniło, że ich matka udała się na drugi koniec wrzosowiska, aby być pomocną chorej znajomej.

— A nasz Dick — dodały — chodzi do Misselthwaite i tam pracuje w ogrodzie przez kilka dni w tygodniu.

Pan Craven spojrział w ten zbiór silnych, małych dzieci, o pyzaty, rumianych twarzyczkach, uśmiechniętych każde na swój sposób i uprzytomnił sobie, że są zdrową, miłą gromadką. Uśmiechnął się do nich, wyjął złotego suwerena z kieszeni i wręczył go „naszej Elżuni”, jako najstarszej.

— Jak to podzielicie na osiem części, to każde z was otrzyma pół korony — powiedział.

Potem odjechał wśród śmiechu, chichotu, ukłonów, trącania się łokciami i podskoków radości.

Jazda przez wrzosowisko kojąco nań oddziaływała. Dlaczego dawało mu to uczucie zbliżania się do domu, uczucie, którego nie był zdolny, jak sądził, nigdy już odczuwać — owo poczucie piękności ziemi i nieba i owo serca bicie przy zbliżaniu się do starego gniazda, w którym od sześciu wieków przodkowie jego żyli? Jakże uciekał odeń ostatnim razem, wzdrygając się na myśl o jego zamkniętych pokojach i chłopcu leżącym na łożu z baldachimem na czterech rzeźbionych kolumnach. Czyż byłoby możliwe, że by go znalazł zmienionym odrobinę na lepsze i że by mógł opanować swe drżenie przed jego widokiem? Jakże rzeczywistym był ów sen — jakież cudny i wyraźny ów głos, który nań wołał: „W ogrodzie, w ogrodzie!”.

— Spróbuję odszukać klucz — powiedział. — Spróbuję otworzyć drzwi. Muszę, choć nie wiem dlaczego.

Gdy stanął przed domem, zauważyła służba, przyjmująca go ze zwykłymi honorami, że lepiej pan wyglądał i że nie udał się do pokoi oddzielnych, w których zamykał się z Pitcherem. Poszedł do biblioteki i posłał po panią Medlock. Zjawiała się natychmiast podniecona, ciekawa, zaafierowana.

— Jak się miewa panicz? — spytał.

— Proszę pana — odparła pani Medlock — panicz... panicz jest... inny, że tak powiem...

— Gorzej? — dopytywał.

— Proszę pana — usiłowała tłumaczyć — ani doktor Craven, ani pielęgniarka, ani ja nie możemy go zrozumieć.

— Dlaczego?

<sup>66</sup>możem (...) nie miał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: może nie miałem.

— Tak po prawdzie, żeby powiedzieć, *sir*, to paniczowi może jest lepiej, a może mu się odmienia na gorsze. Apetyt jego przechodzi wszelką imaginację, a jego zachowanie...

— Czy zrobił się z niego jeszcze większy dziwak? — spytał pan Craven, marszcząc brwi z przestachem.

— To, to, to, *sir*! Zrobił się bardzo dziwny, gdy go się porówna z tym, jakim był dawniej. Zwykle nic nie jadał, a potem naraz zaczął jeść: no, coś niebywałego! A potem nagle znów przestał i odsyłał potrawy nietknięte jak dawniej. Może pan nie wie o tym, że nigdy panicz nie chciał wyjść na powietrze. Przez cośmy wszyscy przechodzili, jak go się namawiało, to jak wspomnę, jeszcze mnie strach bierze. Doprowadzał się do takiego stanu, że doktor Craven mówił, że go namawiać nie będzie, bo nie może za niego odpowiadać. No więc potem, *sir*, bez namowy żadnej, po jednym z najgorszych napadów, nagle zażądał koniecznie, żeby go co dzień wywozili do ogrodu z panną Mary i Dickiem Zuzanny Sowerby, który popycha wózek. Upodobał sobie ich oboje, pannę Mary i Dicka, i Dick przyprowadził mu swoje oswojone zwierzątka, i czy pan uwierzy, od rana do wieczora panicz jest na dworze.

— Jakże wygląda? — brzmiało następne pytanie.

— Żeby się odżywał normalnie, to by można myśleć, że utył, ale lękamy się, że to może rodzaj obrzmienia. Czasami tak dziwnie się śmieje, jak są sami z panną Mary. Dawniej nigdy się nie śmiał. Jeśli pan pozwoli, to doktor Craven sam przyjdzie tutaj. Nigdy w życiu nie był jeszcze taki zdumiony.

— Gdzie teraz jest Colin? — pytał pan Craven.

— W ogrodzie. On ciągle jest w ogrodzie, choć nikomu zbliżać się nie wolno, z obawy, żeby na niego nie patrzano.

Pan Craven ledwo dosłuchał ostatnich słów.

— W ogrodzie — powiedział; a gdy odesłał panią Medlock, stanął i powtarzał ciągle: — W ogrodzie!

Musiał zrobić wysiłek, żeby się ocknąć, a gdy poczuł znów, że jest na ziemi, zawrócił i wyszedł z pokoju. Skierował się tą samą drogą, co Mary, przez drzwi w żywopłocie, w laurową aleję, koło fontanny. Woda teraz tryskała i fontanna otoczona była klombami świetnych kwiatów jesiennych. Przeszedł przez gazon i zawrócił w Wielką Aleję przy bluszczem okrytych murach. Szedł wolno z oczyma utkwionymi w ścieżkę. Czuł, że moc jakaś ciągnie go ku miejscu, w którym tak dawno nie był, a nie wiedział dlaczego. W miarę jak się doń zbliżał, zwalniał wciąż kroku. Wiedział, gdzie są drzwi, choć bluszcz tak gęsto je zarósł — lecz nie wiedział dokładnie, gdzie jest pogrzebany klucz.

Zatrzymał się zatem, rozglądając się, lecz w tejże chwili przystanął i począł słuchać, zapytując sam siebie, czy to wszystko sen.

Bluszcz wisiał gęstymi splotami nad drzwiami, klucz pogrzebany był pod krzewami, żadna istota ludzka progu tego nie przestąpiła od lat dziesięciu — a jednak w ogrodzie były odgłosy. Były to odgłosy bieganina, tupot nóg, jakby goniących się między drzewami, były dziwne, tłumione dźwięki przyciszonych głosów, wykrzykniki i tłumione wybuchy radosne. Brzmiało to jak śmiechy młodych istot, niekrępowany niczym śmiech dzieci, które usiłowały, by ich słyszać nie było, lecz w pewnym momencie wybuchnęły wesoło. O czymże on śnił — na miłość boską — cóż on słyszał? Czy zmysły postradał i myślał, że słyszy rzeczy nie dla ludzkich słyszalne uszu? Czy o tym mówił ów cichy, słodki głos?

A naraz nadeszła chwila — chwila niekrępowania się, gdy zapomniano panować nad sobą. Tupot był coraz szybszy — zbliżał się do drzwi ogrodu — młody, zdrowy oddech, wybuchy śmiechu niepowstrzymanego — drzwi w murze rozwarły się na oścież, pęki bluszczu zostały uniesione i całym pędem wybiegł chłopczyk, a nie widząc przybysza, wpadł prosto w jego ramiona.

Pan Craven ręce w sam raz rozpostarł, by go uchronić od upadku, który by miał miejsce z powodu nieprzewidzianej przeszkody, gdy zaś przyjrzał mu się zdumiony, począł ustami oddech chwytać z wielkiego wzruszenia.

Był to chłopczyk wysoki i bardzo ładny. Tryskało z niego życie, a bieg szybki twarz mu rumieńcem okraślił. Odrzucił z czoła gęste włosy i podniósł ku panu Craven parę wielkich, szarych oczu — oczu pełnych chłopięcego śmiechu i wesela, oczu ocienionych długą czarną rzęsą jak frędzlą. Oczy te wzruszyły tak bardzo pana Cravena.

— Kto to?... Co?... Kto?... — jąkał.

Colin inaczej sobie wszystko wyobrażał — nie tak sobie spotkanie układał. A jednak to, że tak wpadł na ojca wśród gonitwy, dobiegając pierwszy do mety, było może nawet lepiej. Wyprostował się, robiąc się jak mógł najwyższy. Mary, która się z nim goniła, wypadła równocześnie przez drzwi i pewna była, że przedtem się taił, a teraz dopiero wyprostował w całej swej wysokości.

— Tatusiu — powiedział — jestem Colin. Pewnie nie wierzysz, tatusiu. Ja sam ledwo uwierzyć mogę. Jestem Colin.

Tak samo jak pani Medlock, nie mógł pojąć, co znaczą słowa ojca:

„W ogrodzie, w ogrodzie!”

— Tak, tak — trzepał Colin. — Ogród to zdziałał i Mary, i Dick, i stworzonka, i czary. Nikt o tym nie wie. Trzymaliśmy to w tajemnicy, żeby tobie, tatusiu, najpierw powiedzieć. Zdrów jestem, mogę Mary prześcignąć. Będę atletą.

Mówił to wszystko jak chłopiec normalny i zdrowy — twarz mu pałała, słowa padały jak grad — a dusza pana Cravena drżała ze szczęścia.

Colin rękę wyciągnął i na ramieniu ojca położył.

— Czy się tatuś nie cieszy? — kończył. — Czy tatuś nie kontent? Będę teraz żył zawsze, zawsze, zawsze!

Pan Craven ręce oparł na ramieniu chłopca i milczał. Przez chwilę nie mógł się odezwać.

— Zaprowadź mnie do ogrodu, dziecko — wyrzekł na koniec. — I opowiedz mi wszystko od początku.

I wprowadzili go do ogrodu.

Było to miejsce cudów jesiennych pełne, pełne złota, purpury, fioletu i szkarłatu, a wszędzie kwitły snopy lilii białych i biało-purpurowych. Pan Craven pamiętał, gdy tu pierwsze z nich sadzono, że w owej roku porze roztaczały swe wdzięki. Późne, jesienne róże pięły się, zwieszały i czepiały, a promienie słońca czyniły odbłask pożółkłych liści złocistszym jeszcze i miało się uczucie, że się znajduje w złotej świątyni sklepionej.

Nowy przybysz stał się cichy i zapatrzony. Tak samo jak dzieci, gdy po raz pierwszy ujrzaly szarość drzew i krzewów. Rozglądał się wciąż dokoła.

— Myślałem, że zmarniał — powiedział.

— Mary też tak z początku myślała, ale jednak ożył — odparł Colin.

Potem zaś zasiedli pod ich drzewem wszyscy, prócz Colina, który chciał stojąc historię swą opowiedzieć.

Była to najdziwniejsza opowieść, jaką w życiu słyszał Archibald Craven, a wypowiedziana była z chłopięcym zapalem i fantazją. Tajemnica, czary, dzikie stworzonka, niezwykle nocne spotkanie, nadejście wiosny, obrażona duma, która radzy małemu sił dodawała do stanięcia o własnych siłach, by Benowi Weatherstaff w oczy kłam zadać<sup>67</sup>. Niezwykłe towarzystwo, granie komedii, wielka tajemnica tak starannie strzeżona.

Śluchający śmiał się, aż łzy mu napłynęły do oczu, a czasami łzy miał w oczach, choć nie śmiał się wcale. Atletą, prelegent, odkrywca naukowy, wszystko to było zabawne, urocze, zdrowe, prześliczne.

— Teraz jednak — dodał na końcu — już to tajemnicą nie będzie. — Boję się, że jak mnie zobaczą, to spazmów dostaną, ale już w fotelu nigdy nie pojadę. Pójdę z tobą, tatusiu, do domu.

Obowiązki Bena Weatherstaffa rzadko pozwalały mu oddalić się z ogrodu, lecz dzisiaj wymówił się potrzebą zanieśienia do kuchni warzywa; że zaś pani Medlock zaprosiła go do kredensu na szklankę piwa, zatem był na miejscu — jak tego pragnął — w najdramatyczniejszym momencie, jaki w ostatnich pokoleniach miał miejsce w Misselthwaite Manor.

Prze jedno okno, wychodzące na dziedziniec, widać było kawał trawnika. Pani Medlock, widząc, że Ben idzie z ogrodu, miała nadzieję, że widział pana, a może nawet jego spotkanie z paniczem.

— Widzieliście którego z nich, Weatherstaff? — spytała.

<sup>67</sup>kłam zadać komuś — dowieść komuś, że jego twierdzenie jest nieprawdziwe.

Ben odjął od ust kufel, dłonią obtarł usta i odparł ze znaczącym uśmiechem.  
— Naturalnie, żem widział!  
— Obu? — dopytywała pani Medlock.  
— Obu — odparł Ben. — Dziękuję pani, napiłbym się chętnie jeszcze.  
— Razem? — mówiła pani Medlock, śpiesznie napełniając mu kufel.  
— Aha, razem! — i Ben jednym haustem wypił połowę kufła.  
— Gdzie był panicz? Jak wyglądał? Co do siebie mówili?  
— Nie słyszałem — odrzekł — bom stał za murem na drabinie. Ale pani tyle powiem: takie się tam rzeczy działy, o jakich wy tu wszyscy w całym domu nie macie wyobrażenia. A czego się macie dowiedzieć, tego się dowiecie niedługo.  
Nie upłynęła ani minuta, jak wypił resztę piwa, gdy skinął kuflem tryumfująco w stronę okna, przez które widać było trawnik.  
— Niech no pani spojrzy! — rzekł. — A co, czy to nie ciekawe? Niech pani patrzy, kto idzie przez trawnik!  
Pani Medlock spojrzała, rozpostarła ręce i pisnęła przeraźliwie, a na pisk ten cała służba męska i żeńska rzuciła się ku oknu, patrząc tak, że im oczy na wierzch wylaziły.  
Przez trawnik szedł pan na Misselthwaite, a wyglądał tak, jakim go większość służby nigdy nie widziała. Zaś u jego boku z głową podniesioną i oczyma roześmianymi kroczył pewnie i rześko, jak najzdrowszy chłopiec w Yorkshire, panicz Colin!



---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://www.wolnelektury.pl/katalog/lektura/tajemniczy-ogród>

Tekst opracowany na podstawie: Frances Hodgson Burnett, *Tajemniczy ogród*. Powieść dla młodzieży, tłum. J. Włodarkiewiczowa, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa [1917].

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://www.wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: anoldent, CC BY-SA 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl).

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).